

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 07-08 (176-177) LIPIEC-SIERPIEŃ 2019



Fenomenalna Hanka Wójciak i jej piosenki

Nestor krakowskiego dziennikarstwa Mieczysław Czuma w rozmowie z wnukiem

ujawnia całą prawdę o naszym mieście

Kulinarna stolica Europy: gdzie i jak zjeść, żeby było i smacznie, i nowocześnie,

i po krakowsku?



9 771733 045903 07

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

1949-2019

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

NIE MA NUDY!
TEATR / KINO / MUZYKA
ŚPIEW / POTANÇÓWKI
WARSZTATY / REKREACJA



BULWAR ST 2019 SZTUKI

ŁAZNIA
NOWA 15 LAT
TEATRU

70 lat
Teatr ŁAZNIA
NOWA
HUTA

TEATR ŁAZNIA NOWA – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Fot. Wiktor Pentat / kolekcja Fundacji Imago Mundi - Pływaczka. Basen w Czyżynach, 1954 rok.



Jacek Mierzejewski (1883-1925), *Martwa natura ze stołkiem*, olej na płótnie, 80 x 70 cm, ok. 1919

Kraków

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

ŁAZNIA NOWA Teatr Łazienka Nowa Kraków - Nowa Huta os. Szkolne 25

WWW.LAZNIANOWA.PL

PARTNERZY

capella cracoviensis



IMAGO MUNDI

ideal city.

Kombinator

FUNDACJA Faktor Kultura

Fundacja Faktor Kultura otrzymała dofinansowanie z Funduszu Inicjatyw Obywatelskich

FIO

PATRONI MEDIALNI

kraków.pl

KRAKÓW

interia

TVP3 KRAKÓW

GŁOS TYGODNIOWY NOWOGRÓDZKI

KARNE

Hip Huta

miasto DZIECI

czadzieci.pl

MALOPOLSKAONLINE.pl

LIPIEC-SIERPIEŃ 2019

Współpraca:

MNK MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Smakowanie miast

Tekst: Bogusław Deptuła

Miasta mają swój smak i zapach. Pewnie zgodzą się z tym wszyscy. Gdy jednak zaczniemy poszukiwania i dociekania, okazuje że wcale nie tak łatwo jednoznacznie je wskazać.

Są miasta legendy, są miasta niespodzianki, są miasta enigmy. Skraść duszę miasta. Może jednym ze sposobów, by to zrobić, to poznać jego smak. Nie mam pewności, czy tak jest rzeczywiście, ale myślę, że chwilami tak się dzieje, gdy dotrzemy do ich autentycznego i niepodrabialnego smaku. Kilka razy w życiu miałem takie wrażenie.

Zwyczajnie może się to udać na ulicy, bo chyba najprostszym ze sposobów jest street food. Są miasta mistrzowskie w tej dziedzinie i inne, gdzie to się zwyczajnie czasem udaje, oraz te, które tego ulicznego smaku nie mają. Może być nim rzecz najprostsza na świecie, czyli idealnie tłusty filet z matiasa w bułce z odrobiną drobno posiekanej cebuli, w Amster-

stego spotkania wciąż mnie wprawia w zachwyt. Po tem było jeszcze inne cukiernicze objawienie, czyli ispanian, znakomita kreacja wielkiego mistrza francuskiego cukiernictwa Pierre'a Hermésa. Niepodrabialną i zaskakującą kompozycję tworzą połączenia smakowe różnorodnych makaroników, różnego kremu obłożonego świeżymi malinami, jednak prawdziwą gwiazdą okazują się ukryte w środku owoce liczi, które dopełniają tę smakową orgietkę. Kubki smakowe są sparalizowane zachwytem, ale francuski kreator nie zapomniał oczywiście o zmysle wzroku: na każdym ciastku ułożono płatek czerwonej róży, z którego spływa ku nam cukrowa łza. To połączenie trudno przewidzieć i jeszcze trudniej mu się oprzeć. Zostaje na zawsze z próbującym.

Paryż nie jest miastem karmiącym na ulicach, pozostaje jednak na pewno miastem kawiarnianego czy restauracyjnego stolika. Tu należy siadać, siadać i patrzeć, to właśnie jest paryska specyfika, odmienność i czar; kawa nie musi być wybitna, wystarczy, że ulica jest warta wszystkich kaw świata.

Zapach pieczonych na grillu sardynek zapewne nie należy do najwspanialszych, ale jeśli wpisuje się w pejzaż miasta, może wydać się nawet magiczny, szczególnie jeśli snuje się on po wąskich i krętych uliczkach lizbońskiej Alfamy czy Mourarii, najbardziej dzielnic tego niezwykle miasta na krańcu Europy. To siła tradycji: kobiety wychodzą przed domy, na ulicach rozpalają swe podręczne grille i w najlepsze grillują małe, tanie rybki. Czy są bardzo smaczne? Raczej nie, ale to nie ma znaczenia, jedzone są chętnie i dość powszechnie. Przynajmniej tak było kiedyś i tak to zapamiętałem, ale prawdę mówiąc, dawno nie byłem w mieście nad Tagiem i może teraz to wszystko nie wygląda już tak romantycznie. Tu się też nie jada na ulicy, ale na każdym właściwie kroku są proste barki o otwartych drzwiach, do których się wstępuje na krokietę z suszonego dorsza czy kanapkę z omletem albo suszoną szynką presunto. Kuchnia portugalska, prosta i chłopska, zmienia się, nieco odchudza i goni za zmieniającymi się smakami Europy. Koniecznie, jeśli się jest w centrum przy placu Rossio, należy wypić kieliszek tutejszej wiśniówki Ginginia sprzedawanej od rana do wieczora i tak też pitej.

Jednak za prawdziwą europejską stolicę ulicznego jedzenia wielu uznaje Palermo. To miasto, dla którego najważniejsze są targi. W tym sensie ma ono w sobie coś z miast północnej Afryki, do której tu raczej blisko. Targi są ogromne i ciągną się, wcale nie w przenośni, kilometrami. Dominują warzywa i ryby, wszystkie najwyższej świeżości. Ich bogactwo zaskakuje. Cechą wyróżniającą Palermo jest to, że ludzie żyją nad swoimi straganami. A skoro spędzają tam całe swoje życie, to powstaje specyficzna dość sytuacja, której byłem świadkiem, bo codzien-

nie tam przechodziłem. Rano sprzedawano produkty, wieczorem zaś te, które się nie sprzedały, były przetwarzane i można je było kupić, ale w formie już przetworzonej: upieczone ryby czy mięsa, papryki, bakłażany. Wracający po pracy mieszkańcy mieli w ten sposób gotowy posiłek na kolację. Sam tak postępowałem. Wystarczyło dokupić ser oraz wino i kolacja gotowa. Na targach oczywiście i w nieunikniony sposób również się karmi. Znakomite są arancie, czyli pomarańczki, ryżowe kulki z nadzieniem z mięsa lub sera, groszku, szynki, smażone we fryturze na złoty kolor – proste i świetne. Są również penelle, kulki z bobu, podobne do falafela, jedzone same lub wkładane w bułki. Chyba jednak największą uliczną, ale nie tylko regionalną ciekawostką Palermo, choć kierowaną do mięsożerców, pozostaje gotowana wieprzowa śledziona. Zdaję sobie sprawę, że nie brzmi to najlepiej, bo w naszym kręgu smakowym nie łałapała się na dobre traktowanie, jednak tam jest niezwykle wprost popularna. Podgrzewana zazwyczaj w sporym garze w tłuszczu, ugotowana do miękkości, cienko krojona, wkładana jest do bułki posmarowanej ricottą, posypywana czasem pecorino, smakuje trochę jak skrzyżowanie wątróbki i serca. Raczej nieprzyprawiana, lubiłaby się z mocną musztardą, ale ta jest nieobecna w Palermo. Jadam chętnie podroby, ale nawet dla mnie to jest wyzwanie, któremu, owszem, kilkakrotnie podołałem. Smakiem, który może zjednoczyć wszystkich, na pewno będzie sfincione. To sprzedawana w wielu miejscach miasta, często z objazdowych wózków, krojona na porcje pizza czy może focaccia: proste, drożdżowe ciasto posmarowane sosem pomidorowym, posypane peperoncino, czasem z jakimiś dodatkami. Zdaję się, że trudno o coś jeszcze prostszego, ale w najbardziej nieoczywisty sposób działa, czyli chce się do tego smaku wracać i mieć go ze sobą.

Na koniec wrócę do miasta, w którym się urodziłem i które znam raczej nieźle, do Warszawy. Obok domu mojej babci mieszkającej na ulicy Tamka, na Powiślu, na roku Topiel i Drewnianej istniała wtedy i w najlepsze działała fabryka słodczy Syrena. Przed wojną nosiła nazwę Fabryka Czekolady – Franciszek Fuchs i synowie. Znacjonalizowana i połączona z Wedlem, przez całe lata komuny świetnie funkcjonowała i produkowała. Sprzedana, została ostatecznie rozebrana w 2006 roku, a na jej miejscu powstały niezbyt urodziwe i bezstylowe biurowco-apartamentowce. Czemu przywołuję tę historię? Bo dla mnie zapach dzieciństwa to zmieniające się wonie ulatujące od Fuchsa, bo babcia Jasia raczej nigdy nie mówiła „Syrena”, dla niej, a przez to i dla mnie, był to Fuchs. Urok miejsca polegał na tym, że owe zapachy się zmieniały: inaczej pachniało, gdy produkowano landrynki, inaczej gdy sezamki, inaczej gdy chałwę. Nie umiem i nie próbuję nawet tego zapamiętać. Tak pachniało moje dzieciństwo, wtedy gdy bywałem u mojej babci. Można długo rozwozić się nad zapachami, które właściwie też powinny być wpisywane do rejestru zabytków. Trudno pomyśleć nawet i dziś o praskich okolicach fabryki Wedla bez przemożnego zapachu czekolady.

Trudniej mi pisać o warszawskich smakach. Te prawdziwe i znaczące są raczej związane z domowymi wspomnieniami. Warszawa straciła wiele ze

swoich autentycznych smaków, że tak powiem: nie podniosła się po wojnie. Gdy się jednak czegoś poszukuje, zawsze w takich chwilach przywołuje się okolice praskiego Bazaru Różyckiego, gdzie sprzedawano flaki i pyzy. Tak było, a co jest dziś? Powiedziałbym: kompletna bezstylowość. Warszawskie jedzenie jest przypadkowe i bez charakteru. Zdaję sobie sprawę, że historii nie da się zawrócić i Warszawa nie stanie się na powrót miastem flaków po warszawsku, bigosu czy płucke na kwaśno – może szkoda, może nie, ale znowu chciałoby się, żeby można było znaleźć miejsce, gdzie czas stanął choć trochę w miejscu, w którym można spróbować owych niegdysiejszych warszawskich smaków. Dziś Warszawa to kebab, pizza i wiele innych potraw, które trudno uznać za swojskie.

A mogłoby być zupełnie inaczej, jak choćby w tych kilku wersach zatrzaśniętych na kartach Kwiatów polskich Juliana Tuwima:

„Był barszcz, zraziki, sznyצל z jajkiem,
Zupa rosolnik i sztukamięs (...)
Słup szpiku tłusty miało w kości (...)
– A bufet! (...)
Delicje przednie, chociaż skromne:
Słoninki różowe plastry
Pod pudrem papryki ceglastej;
Przez pół na długość przekrajane
Czółenka twardych jajek z chrzanem;
Rolmopsy; owczy ser w talarki;
Myśliwskich kabanosów parki;
(Probierny kamień wędliniarski);
Chrzanowy sos i sos tatarski;
Kiełbasa w kabłak – zmija śpiąca,
Własny swój ogon całująca;
W pieprzonym occie ulik w dzwonka
I wokół garnitur z korniszonka;
Cielęce nóżki w galarecie
(Biedactwa! Jeszcze się trzęsiecie?)
I wreszcie on, srebrzystej wódki
(Koniecznie dużej, zimnej, czystej)
Najulubieńszy druh srebrzysty,
Kawior ubogich, ust pokusa,
Bezsenne noce Lukullusa,
Modły kartofli parujących,
W niebo podniebień dym wznoszących,
Brać mleczny żwawych rybich panien:
Marynowany śledź w śmietanie!”

Poetycki, prosty przepis na nieodwracalny barowy sukces pod polskim niebem. Nic tylko zrealizować i cieszyć się powodzeniem; prostota i jakość bez najmniejszych wątpliwości dałyby liczną klientelę, a miejsce takie można by śmiało wpisać na listę turystycznych konieczności polskiej stolicy.

A krakowskie jedzenie niech pochwalą sami krakowianie.



Bogusław Deptuła – historyk i krytyk sztuki, kurator wystaw, marchand. Autor licznych publikacji z dziedziny sztuki, literatury i kulinariów – m.in. książki o związkach literatury i kuchni *Literatura od kuchni*.

**TEMAT MIESIĄCA:
KRAKOWSKIE KULINARIA****W poszukiwaniu smaku** Magda Oberc **s. 13**

Eleganckie, stylowe restauracje, małe, urokliwe knajpki z ogródkami, a także cykliczne imprezy takie jak Festiwal Pierogów, Krakowskie Zapusty czy Jarmark Świętojański nieustannie przyciągają rzesze turystów i mieszkańców. Co roku przybywa w Krakowie ciekawych kulinarnie miejsc i wydarzeń inicjowanych przez lokalnych pasjonatów kuchni. A że w tym roku stał się Stolicą Europejskiej Kultury Gastronomicznej, więc należy spodziewać się jeszcze więcej kulinarnych atrakcji.

**ESEJ**

Smakowanie miast Bogusław Deptuła **s. 1**
Zaułki, tajemne ścieżki Jan Barański **s. 26**
Cień wielkiej Chmury Janusz Filipiak **s. 41**

KRAKÓW MÓWI

Urodziłem się w czapce krakowskiej
 – z Mieczysławem Czumą / Michał Siwiec **s. 20**
Wielopokoleniowe miłośnictwo Krakowa
 – z Jackiem Purchlą / Krzysztof Jakubowski **s. 62**

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Rekomendacje: MOCAK: Natura w sztuce, natura w kinie **s. 11**
Świat, który nie powinien zginąć
 Majka Lisińska-Kozioł **s. 29**
Krystyna Janda – mądra (i odważna) obywatelka **s. 34**
Za odwagę, za intuicję, za inteligencję
 Jerzy Stuhr **s. 37**
Ewa Lipska z Silesiusem **s. 53**
Stanisław Burtkot. Wspomnienie
 Marek Karwala **s. 54**
Rekomendacje: Góry i organy **s. 55**
Rekomendacje: Polska muzyka znana i... nieznaną **s. 56**
Rekomendacje: Festiwal ETNO **s. 77**
Kronika kulturalna **s. 87**
Krakowski łącznik **s. 90**
Kraków (Główny) **s. 91**
Linia A–B **s. 92**

OBYWATELE KRAKOWA

Kto dziś pisze operowe libretta?
(Patrycja Babicka) Magda Oberc **s. 8**

HISTORIA

FOTO-RETRO Krzysztof Jakubowski **s. 10**
KALENDARZ KRAKOWSKIE
Lipiec–sierpień 1919 Krzysztof Jakubowski **s. 59**
BYŁO, NIE MINĘŁO Jan Pieszczachowicz **s. 79**

TEATR

Sylwestrowe baloniki Paweł Głowacki **s. 66**

FILM

Dokument do działania Maria Malatyńska **s. 74**

LITERATURA

Nie jestem do podziwiania
 – z Hanką Wójciak / Iga Dzieciuchowicz **s. 70**

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka **s. 84**

GALERIA „KRAKOWA”

Piotr Błachut Paweł Kopeć **s. 50**

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska **s. 5**
OKIEM BERESIA Witold Beres **s. 6**
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko **s. 7**
FELIETON GOŚCINNY Marcin Barcz **s. 40**
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **s. 81**
W WARSZAWIE Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz **s. 83**
PASY PANY Jerzy Pilch **s. 96**

OKŁADKA

Hanka Wójciak Fot. Piotr Uss Wąsowicz

Szanowny Panie Redaktorze,

na rynku pojawiła się zdrapka patriotyczna Kocham Polskę. Miłość do ojczyzny kosztuje 5 złotych i można na niej zarobić 100 tysięcy. Najczęściej za 5 złotych otrzymujemy zero miłości, ale, jak twierdzi Stanisław Jerzy Lec, „zero do zera i będzie kariera”. W końcu życie jest przecież wieczną grą...

Z refleksyjnymi pozdrowieniami

Ewa L.



Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Tajemnice Krakowa

Tekst: Witold Beres

W XIX wieku francuski pisarz Eugeniusz Sue postanowił zdobyć popularność – za radą przyjaciela napisał *Tajemnice Paryża*. Kto i kiedy opisze współczesny Kraków tak, by – słusznie – świat cały, nie mówiąc o Polsce, padł na kolana?

Powieść Francuza, drukowana najpierw w odcinkach, a pokazująca miasto od innej, nieznanej, tajemniczej strony była i jest wielkim sukcesem: bo choć Sue dzisiaj jest raczej zapomniany, to tytuł, choćby jako znak, jako powiedzenie – przetrwał.

W 150 lat po tym tytule Mark Frost i David Lynch postanowili stworzyć współczesną powieść w odcinkach – serial telewizyjny, który by opowiadał o nieznanej twarzy dzisiejszego miasta (OK, miasteczka). W ten sposób powstał hit *Miasteczko Twin Peaks*, a potem książka *Sekrety Twin Peaks*.

Niewykluczone, że jak pójdziesz do krakowskiej knajpki, to może nie dlatego, że przeczytasz o niej w miesięczniku „Kraków”, tylko ktoś ci to niejako podprogowo nakáže?

I u Francuza, i u Amerykanów decydującym napędem były rzecz jasna morderstwa, skandale i przekręty. Ale równie ważne było opisanie innej twarzy społecznej. W przypadku Paryża chodziło o klasę pozabawioną niemalże wszystkiego, a powieść wręcz oskarżała panujący porządek. W przypadku amerykańskim również szło o przedstawienie prawdziwego małomiasteczkowego wizerunku współczesnych obywateli.

Miesięcznik „Kraków” też chciałby pokazać Państwu inny Kraków.

Magda Oberc pisze o smakach Krakowa. O tych dosłownych – bo nasze miasto jest w tym roku stolicą kulinarną Europy i nie tylko obwarzankami, maczanką i pizzingiem może się pochwalić – i tych mniej oczywistych. Prowadzi nas więc po współczesnych krakowskich kulinariach – miejscach, knajpkach, przepisach niby polsko-krakowskich, a nowoczesnych, i sposobach smakowania. „Gastronomia to nie tylko gwiazdki Michelin, to także kuchnia codzienna, śniadaniowa, streetfoodowa. To wspaniałe, że możemy z tego wszystkiego korzystać w Krakowie”.

Z kolei Mieczysław Czuma, największy współczesny krakuerolog (OK, dopisujemy jeszcze Leszka Mazana i Krzysztofa Jakubowskiego), w rozmowie ze swoim wnukiem opisuje Kraków, którego nawet najzacniejsze krakusy nie znają: „Na świecie są wspanialsze katedry i muzea, ale wszyscy przybysze obowiązkowo winni odwiedzić nasze Muzeum Collegium Maius (pochwała nauki) i Muzeum Farmacji (pochwała życia). Warto przespacerować się też dawnym korytem Wisły (ulica Dietla) oraz niegdy-

siejszym korytem Rudawy (ulica Retoryka)”. A nasz redakcyjny mentor wie, co mówi...

Jest w tym numerze i opowieść o Krakowie, który znika: o mieście małych warsztatów, ginących zawodów, przeciekawych biografii rzemieślniczych. „Znikają modniarki, przepadli gdzieś zdunowie, ledwie dyszą szewcy i parasolnicy z prawdziwego zdarzenia...”. Ten nostalgiczny obraz znajdziecie w raporcie Majki Lisińskiej-Kozioł.

Jasne: kudy nam do twórców kultowego serialu, a nawet do XIX-wiecznej gwiazdy pisarskiej. W dodatku trupa w naszym Krakowie nie ma, jak to musi być w kulturze popularnej – no i na szczęście. Ale z drugiej strony – zagadka, spisek, tajemnica... – to już się znajdzie.

Bo oto największe tajemnice ujawnia specjalista od nowych technologii i związanego z nimi biznesu, ale też miłośnik Krakowa prof. Janusz Filipiak. Co prawda te tajemnice nie samego miasta dotyczą, lecz wręcz całego globu – ale chyba o to chodzi? I okazuje się, że z perspektywy Wielkiej Chmury Internetowej nie tylko jesteśmy nieustannie śledzeni, ale wręcz ktoś nami steruje i nakazuje kupować to akurat, a nie tamto...

Słowem – niewykluczone, że jak pójdziesz do krakowskiej knajpki, to może nie dlatego, że przeczytasz o niej w miesięczniku „Kraków”, tylko ktoś ci to niejako podprogowo nakáže?

Fascynujący tekst!

Słowem: w miesięczniku „Kraków” znajdziecie wszystko to, czego w wakacje możecie potrzebować w mieście.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Wolność i solidarność, czyli samorządy razem

Tekst: Krzysztof Burnetko

To postawienie w 1989 roku na wolność, solidarność i samorządność, a nie wódka wypita – bądź niewypita – przez liderów opozycji z gen. Kiszczakiem w Magdalence zmieniła losy Polski.

Prezydenci kilku polskich miast (w tym tych największych z Krakowem włącznie) podpisali w Gdańsku (nie przez przypadek oczywiście) deklarację Samorządna Rzeczpospolita. Stało się to, co sami podkreślili, „trzydzieści lat po wyborach 1989 roku, kiedy Polki i Polacy przy urnach wyborczych opowiedzieli się za demokracją”. Dokument ma być zapowiedzią współpracy samorządów, organizacji społecznych i „aktywnych obywateli”. Bez niej – zdaniem sygnatariuszy – nie sposób będzie sprostać najpilniejszym dziś, a dotyczącym każdego z nas wyzwaniom związanym z kryzysem klimatycznym, starzeniem się społeczeństwa oraz procesami demograficznymi i migracyjnymi, rewolucją technologiczną, a wreszcie przemianami kulturowymi. Nie mówiąc o tym, że właśnie na idei samorządności (a więc i decentralizacji) opiera się ustrój państwa polskiego po 1989 roku, a samoorganizujące się społeczeństwo obywatelskie – jako najlepszy sposób wpływania na władzę – jest kluczem nowoczesnej demokracji. Pierwszym krokiem ma być rozpoczęcie – i to jak najszybciej, już latem – „otwartej narady obywatelskiej nad przyszłością naszych gmin, miast, miasteczek i wsi”. Samorządowcy z całej Polski (ponad 400 wójtów, burmistrzów, prezydentów miast i marszałków województw) ogłosili też 21 tez dotyczących pozycji i funkcjonowania samorządu. Obejmują one m.in. kwestie oświaty, służby zdrowia, budownictwa komunalnego, ochrony środowiska, kształtowaniu krajobrazu i wykluczenia – a więc spraw najważniejszych dla wszystkich mieszkańców.

Sceptycy – także spośród niektórych społeczników – od razu zarzucili deklaracji ogólnikowość (coś jest na rzeczy, lecz taka już natura podobnych dokumentów) i elitaryzm (choć sygnatariusze zaprosili do akcesu wszystkich chętnych). A przede wszystkim – polityczny charakter.

Tyle tylko że kwestia pozycji samorządów stała się w Polsce ostatnio problemem politycznym właśnie. I nie prezydenci miast czy działacze organizacji pozarządowych są tego sprawcami. Dowodem – tyleż znamiennym, co symbolicznym – może być to, że rządowe media (i ich internetowi akolici) za najważniejszy komentarz do gdańskiego święta i deklaracji uznały wypowiedź prezesa rządzącej partii tycząca... picia wódki podczas ustalania wiosną 1989 roku przez liderów opozycji z czołówką komunistycznych władz reguł rozmów Okrągłego Stołu.

Ogłosił on mianowicie: „Mój śp. brat Lech Kaczyński nie fraternizował się podczas obrad w Magdalence”. Po czym zarzucił kłamstwo Donaldowi Tuszkowi (który wspominał o owej wódce w swoim przemów-

wieniu podczas gdańskich obchodów rocznicy wyborów 1989). Kłamać musi jednak nie tylko Tusk (który zresztą – zdaniem prezesa – „kłamie w każdej sprawie”), bo kłamać muszą bowiem również zdjęcia z tych spotkań.

Nie to jednak jest najważniejsze. Otóż wielki filozof Blaise Pascal powtarzał swego czasu, że gdyby nos Kleopatry był krótszy, inne byłyby losy świata. Chodziło, przypomnijmy, o wpływ, jaki uroda kró-

Za najważniejszy komentarz do gdańskiego święta wolności i solidarności oraz podpisania deklaracji Samorządnej Rzeczpospolitej rządowe media uznały wypowiedź prezesa rządzącej partii tycząca... picia wódki podczas negocjacji w Magdalence.

lowej Egiptu wywierała na najpotężniejszych władców starożytnego świata (wśród nich Juliusza Cezara i Marka Antoniusza). W Magdalence wszelako to, że negocjatorzy opozycji wypili do kolacji parę kieliszków z przedstawicielami PRL-owskich władz na losy Polski raczej nie wpłynęło. Trudno byłoby dowiedzieć, zwłaszcza że konsekwencją tego była „fraternizacja” stron. Wystarczy prześledzić stenogramy okrągłostołowych obrad i poczytać relacje uczestników, by przekonać się, że o złagodzeniu stosunku do komunistów nie było mowy.

Rzeczywiste znaczenie dla przebiegu wydarzeń miały zresztą nawet nie tyle ustalenia Okrągłego Stołu, ile wynik pierwszych wolnych od lat, choć jedynie częściowo demokratycznych wyborów 4 czerwca. I to nie tylko przez skalę poparcia dla solidarnościowej opozycji, ale też – z drugiej strony – relatywnie niską, zważywszy na przełomową wagę wydarzenia, frekwencję. A swoje zrobiło też docenienie, i to od samego początku III RP, wagi samorządów lokalnych i oddanie wielu kompetencji miastom i gminom.

Tym bardziej warto i teraz na samorządy stawiać.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Kto dziś pisze operowe libretta?

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

*Weszłaś do lasu dziecino
Bój się, bój się ty, bój
Każdego intruza las ten
Będzie szczał, będzie gryzł, będzie kłuł...*

Brzmi znajomo? Może to *Król Olch* czy baśń braci Grimm? Nie. To fragment opery *Zimne dzieci*, do której libretto napisała Patrycja Babicka, absolwentka krakowskiej teatrologii, autorka dramatów i tekstów piosenek, a także specjalistka ds. promocji kultury.

Opera *Zimne dzieci* otrzymała wyróżnienie w konkursie organizowanym przez Stowarzyszenie Autorów ZAIKS. Muzykę skomponował Atanas Valkov, mieszkający od lat w Polsce bułgarski twórca muzyki filmowej. – Znam się z Atanasem z czasów, kiedy studiowałam dramaturgię w Laboratorium Dramatu Słobodzianka w Warszawie – opowiada Babicka. Zawodowo zawsze związana była ze słowem pisanim: pracowała w wydawnictwie, uczyła polskiego w szkole, a od kilku lat zajmuje się promocją w Teatrze Bagatela.

– Pisanie traktuję jako drugi zawód – opowiada. – Widząc, jak bardzo twórcy muszą w Polsce walczyć o przetrwanie, zawsze miałam jakąś stałą pracę, dzięki której mogłam utrzymać się finansowo. A pisanie to moja pasja.

Debiutowała w 2008 roku na łamach „Dialogu” *Dramatem sensacyjnym*. Później napisała piosenki do płyty i spektaklu w reżyserii i wykonaniu Bartosza Porczyka. W 2016 roku na Scenie na Sarego (Teatr Bagatela) odbyła się premiera spektaklu jej autorstwa *Pitawal – historie kryminalne Krakowa w piosenkach*.

– Zaczęło się od tego, że Ania Rokita, która jest aktorką Teatru Bagatela, chciała wziąć udział w Przeglądzie Piosenki Aktorskiej i szukała nowego utworu – wspomina. – Napisałam wówczas *Królową os*, historię o kobiecie, która w swoim mieszkaniu przy ulicy Długiej w Krakowie zabijała kochanków i chowała ich ciała pod podłogą. Ta piosenka się spodobała, więc zaczęliśmy myśleć o tym, by zrobić coś więcej. I tak powstał spektakl złożony z 13 piosenek o zbrodniach, które przed laty wstrząsały Krakowem.

W 2017 roku wspólnie z koleżanką ze studiów Magdaleną Zarębską-Węgrzyn napisała dramat o Wandzie Rutkiewicz, który zgłosiły do konkursu Krakowska Giełda Teatralna. – Początkowo niechętnie podeszłam do tego pomysłu, bo tematyka wysokogórską jest

mi zupełnie obca. Ale potem dostrzegłam w Wandzie wiele ciekawych rys psychologicznych – wspomina. Spektakl *Ostatnie 300 metrów* znalazł się w finale konkursu, a dyrektor Henryk Schoen znów chętnie przyjął nowy tytuł na Scenie na Sarego.

Wyróżniona przez ZAIKS opera *Zimne dzieci* opowiada o mieście, na które spadła klątwa, ponieważ mieszkańcy nie chcieli do niego wpuścić obcych.

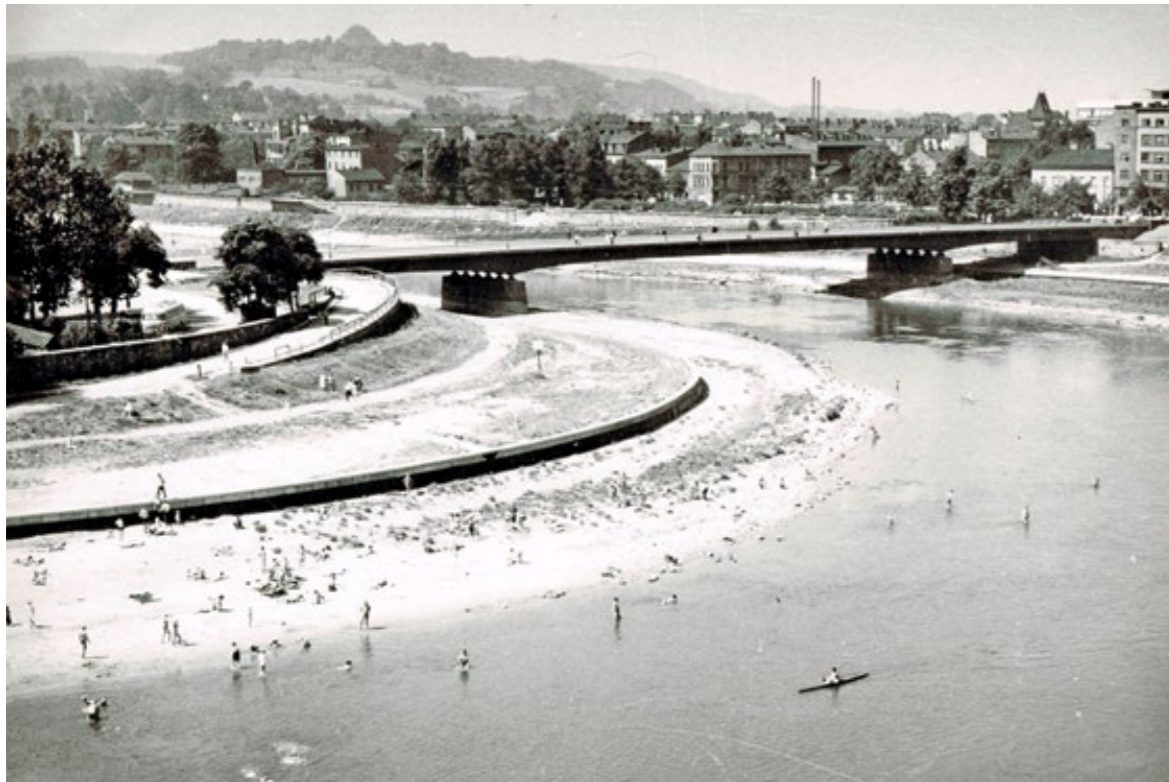
Teraz krakowska teatrolóżka postanowiła wspólnie z Atanasem Valkovem wziąć udział w konkursie na operę dla dzieci. Nadesłano 59 prac. – Kiedy zobaczyłam, jak znakomici artyści dostali się do finału, poczułam strach – przyznaje Babicka. – Wszyscy prezentowali kilkusetstronicowe gotowe partytury. My mieliśmy jedynie wstępną koncepcję i kilka stron wyciągu fortepianowego. Pracowaliśmy w szalonym tempie.

Wyróżniona przez ZAIKS opera *Zimne dzieci* opowiada o mieście, na które spadła klątwa, ponieważ mieszkańcy nie chcieli do niego wpuścić obcych.

– Tekst przyjmuje formę baśni, ale historia koncentruje się na temacie uchodźców – opowiada autorka libretta. – Mam nadzieję, że nasza opera zainteresuje jakąś instytucję i doczeka się scenicznej premiery.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiczka, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.



Ostatnie lato na plaży „Wawel”

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: Wojciech Smolak

Tradycje zorganizowanego plażowania nad Wisłą sięgają w Krakowie lat 20. ubiegłego wieku. Pierwszą plażę urządzono w 1925 roku tuż za roгатką zwierzyńską (tą przy ul. Księcia Józefa), ale jeszcze w granicach miasta. Dojść można było tam dzisiejszą ul. Wioślarską, mijając stojącą jeszcze wówczas w sąsiedztwie jedną z ostatnich bram fortecznych. Plaża była inicjatywą dowództwa 5. Pułku Saperów, w którego gestii pozostawał wtedy kilkunast-hektarowy teren pomiędzy ul. Księcia Józefa a brzegiem rzeki.

Plaża ta straciła rację bytu zapewne wraz z powstaniem u ujścia Rudawy dogodniej położonej, nowocześnie wyposażonej plaży „Krokodyl”. Po ostatniej wojnie siłą tradycji piknikowano jeszcze w okolicy ul. Wioślarskiej, jednak wkrótce zapadła mocno chybiona decyzja o budowie w tym zalewowym miejscu potężnego obiektu Kolejowego Klubu Wodnego (1953–1955).

Z „Krokodylem” konkurowała plaża z drewnianym dwukondygnacyjnym budynkiem i kawiarnią na wolnym powietrzu, urządzona w latach 1932–1933, przy moście po stronie Dębnik. Jej właścicielem i zarządcą była powołana przez emerytowanych oficerów wojska spółka z o.o. „Plaża Wawel”. Lokalizacja obok mostu była wymuszona, bo na samym cyplu stała wielka, legendarna dziś willa Rożnowskich, zajmowana wówczas przez Zarząd Dróg Wodnych. Dopiero po jej rozbiórce (jesienią 1937 roku) i finalizacji prac związanych ze skróceniem cypla o około 40 m, plaża mogła zająć rozleglejszy teren.

W czasie okupacji plażowanie nad Wisłą było dozwolone, jednak korzystali z tego tylko najbardziej zdeterminowani. Powodem były przeprowadzane tam łapanki. Największych dokonano właśnie na plaży „Wawel” w lipcu 1943 roku. Podczas dwóch takich

nalotów, w krótkim odstępie czasu zatrzymano ponad 100 osób.

Na początku lat 50. rozebrano zniszczony budynek plaży „Wawel”. Pozostał jednak na szczęście piasek, od zawsze наносzony przez nurt w okolicy cypla. Stosunkowo płytka w tym miejscu rzeka sprawiała, że kąpiel była w miarę bezpieczna. Plaża przeżyła najtrudniejsze chwile podczas pamiętnego lata stulecia w sierpniu 1963 roku. Wyliczono, że w najbardziej upalne dni w wodzie przebywało wówczas 600 osób. Dyżurująca dwójka ratowników miała sporo pracy i niestety odnotowano jeden przypadek utonięcia.

Ujęcie wykonane przez krakowskiego fotografa Wojciecha Smolaka powstało latem 1965 roku (widać gotowe już betonowe obramowanie koryta). Ostatnia z wiślanych plaż zniknęła pod wodą, po niefortunnym spiętrzeniu rzeki (o ok. 3 m) jesienią tego samego roku.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Jonasz Stern, *Trwanie*, 1983, technika mieszana/płótno, 52 × 72 × 4 cm, Kolekcja MOCAK-u/wystawa *Natura w sztuce*

MOCAK: *Natura w sztuce*, natura w kinie

Tekst: Krzysztof Burnetko

Natura od zawsze była tematem sztuki. I nie chodziło tylko o utrwalanie malowniczych widoków czy kontemplowanie doskonałości przyrody, ale też chociażby o pokazanie konfrontacji człowieka z otaczającym go światem bądź wykorzystywanie darów ziemi (także jako materii twórczej). A w końcu o ostrzeżenie przed apokalipsą, do której może prowadzić niszczenie natury.

Tym właśnie tematom poświęcone są prace (obrazy, fotografie, wideo, instalacje) ponad 70 współczesnych artystów pokazywane w ramach przygotowanej przez MOCAK wystawy *Natura w sztuce*.

Równocześnie przez całe wakacje MOCAK zaprasza na wieczorne seanse filmowe nawiązujące do problematyki wystawy. Bo przecież i w kinie natura jest wszechobecna. Nie tylko jako niepodrabialna scenografia, ale też element budowania nastroju czy w końcu temat sam w sobie. Adrian D. Kowalski wybrał dziewięć tytułów, pokazujących rozmaite formy obecności natury we współczesnej kinematografii. Zawsze jed-

nak sprowadza się to do opowieści o relacjach człowieka i przyrody. W repertuarze kina letniego MOCAK-u znajdują się zatem zarówno fabuły, jak dokumenty: *Biały Bóg* Kornéla Mundruczó, *Ága* Milko Lazarowa, *Tanna* Martina Butlera i Bentleya Deana, *Sól Ziemi* Wima Wendersa i Juliano Ribeiro Salgado, *Grizzly Man* Wernera Herzoga, *Wyprawa Kon-Tiki* Joachima Rønninga i Espena Sandberga, *Nasze jutro* Cyrila Diona i Melanie Laurent, *Barany* Grímura Hákonarsona oraz *Serce psa* Laurie Anderson (tak, tak – słynnej piosenkarki i towarzyszkii życia Lou Reeda, ale też, jak się okazuje zdolnej reżyserki, bo jej obraz w 2015 roku trafił do konkursu festiwalu w Wenecji).

Wystawa *Natura w sztuce*, Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK, ul. Lipowa 4, poziom 0, potrwa do 29 września

Kino letnie w MOCAK-u, Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK, ul. Lipowa 4, podcienie, każdy piątek od 5 lipca do 30 sierpnia, godz. 21 (wstęp 1 zł, wszystkie filmy z polskimi napisami)



Islandzki szef kuchni Gisli Matthias Audunsson w restauracji Biała Róża

W poszukiwaniu smaku

Tekst: Magda Oberc Zdjęcia: Elżbieta Marchewka, UMK

Eleganckie, stylowe restauracje, małe, urokliwe knajpki z ogródkami, a także cykliczne imprezy takie jak Festiwal Pierogów, Krakowskie Zapusty czy Jarmark Świętojański nieustannie przyciągają rzesze turystów i mieszkańców. Co roku przybywa w Krakowie ciekawych kulinarnie miejsc i wydarzeń inicjowanych przez lokalnych pasjonatów kuchni. A że w tym roku stał się Kraków Stolicą Europejskiej Kultury Gastronomicznej, więc należy spodziewać się jeszcze więcej kulinarnych atrakcji.

Kraków jest miastem o przepięknej architekturze i wspaniałej kuchni – mówiła podczas konferencji Made for Restaurant Słowenka Ana Ros, która w 2017 roku zdobyła tytuł najlepszej szefowej kuchni w konkursie The World's 50 Best Restaurants. Krakowscy restauratorzy nie mają może aż tak spektakularnych osiągnięć, ale od lat wiele lokali (w tym roku aż 61!) trafia do kulinarnych przewodników Michelin czy Gault&Millau.

Ponadto w mieście jest też oczywiście mnóstwo niewymienianych w żadnym przewodniku, ale uwielbianych przez mieszkańców klimatycznych miejsc, gdzie można smacznie zjeść. – Dziś nikt nie przychodzi do restauracji wyłącznie po to, by nasycić głód. Każdy chce również miło spędzić czas – wyjaśnia Adam Chrzastowski, konsultant w dziedzinie gastronomii.

Co sprawia, że do niektórych miejsc chcemy wracać, a do innych nie?

Na początek trochę teorii

Powszechnie uważa się, że smak odczuwamy językiem. To nie do końca prawda. – Na języku znajdują się kubki smakowe, które pobudzają przewodnictwo nerwowe – wykląda dr Joanna Chłopicka z Zakładu Bromatologii UJ. – Im silniejsze przewodnictwo, tym silniej reaguje ośrodek smaku w korze mózgowej. Tak powstają odczucia smakowe w mózgu.

Smak to chyba najbardziej skomplikowany zmysł, bo na jego odczuwanie wpływają również bodźce wzrokowe, słuchowe, nastrój i ogólne samopoczucie konsumenta. Pierwszym badaczem tego zagadnienia był amerykański neurobiolog Gordon M. Sheperd, który w 2006 roku użył terminu „neurogastronomia”. Dziś zdobycze tej nauki coraz częściej wykorzystywane są przez marketingowców i restauratorów.

Naukowcy zauważyli, że w samolotach hałas silników powoduje, iż jedzenie na po-

kładzie wydaje się mdłe. A zatem na zachowania konsumentów może wpływać też, na przykład, odpowiednio dobrana muzyka. Stąd energiczna muzyka i niewygodne krzesła to stały chwyt w barach szybkiej obsługi. Za to klasyczne dźwięki w tle mogą sprawić, że staniemy się bardziej rozrzutni. Oczywiście sprawdza się to w lokalach, gdzie równie umiejętnie dobrane jest menu, meble i wystrój wnętrza. Każdy detal ma znaczenie. Zaokrąglone kształty stołów i foteli spotykamy często w kawiarniach i cukierniach, bo podkreślają słodki smak. Kolor czerwony najczęściej wybierany jest przez producentów kawy: kawa w czerwonym kubku po prostu smakuje lepiej. Żółty powoduje zaś, że napój wydaje się bardziej kwaśny. Równie ważny jest kolor oświetlenia i ciężar sztućców. – Chyba nikt z nas nie wyobraża sobie, by jeść wykwitne dania plastikowymi sztućcami – zauważa dr Chłopicka.

Dlatego restauratorzy z taką dbałością o szczegóły tworzą klimat miejsca. Kraków ze swoją architekturą stwarza ogromne możliwości: średniowieczne piwnice, stylowe XVIII-wieczne kamienice czy industrialne pofabryczne tereny dają idealne podstawy do stworzenia niepowtarzalnych lokali.

Najważniejszy jest produkt

Wiedzę tę w praktyce testował brytyjski restaurator Heston Blumental, przygotowując dla swoich gości multisensoryczne uczyty, które angażowały nie tylko zmysł smaku i węchu, lecz także za pomocą dźwięków i kolorów wprowadzały w stan błogiego relaksu i sprawiały, że stolik w The Fat Duck trzeba było rezerwować z półrocznym wyprzedzeniem.

Także w Polsce pojawiają się restauracje wprowadzające takie nowinki jak kuchnia molekularna bądź foodpairing, czyli łączenie produktów na zasadzie zgodności

Przewodnik Michelin nagradza najlepsze światowe restauracje gwiazdkami (maksymalnie trzy). W Polsce tylko dwie warszawskie restauracje otrzymały gwiazdkę. Ponadto za piękne wnętrze i miłą obsługę testerzy Michelin przyznają komplety sztućców (najwyższa ocena to trzy komplety). W tym roku przewodnik Michelin wyróżnił 25 krakowskich restauracji:

3 komplety sztućców: Copernicus, Trzy Rybki

2 komplety sztućców: Kogel Mogel, Pod Baranem, Jarema, Amarylis, Cyrano de Bergerac, Corse, Studio Qulinarne, Szara Kazimierz, Szara, Albertina, Leonardo

1 komplet sztućców: Karakter, Pod Nosem, Bianca, La Campana, Farina, Del Papa, Bottiglieria 1881, Zazie, Miodova, Hana Sushi, Zakładka, Sąsiedzi

budowy chemicznej. W efekcie powstają takie zestawienia jak ciemna czekolada i ser pleśniowy, biała czekolada i kawior z jesiota, karmel i sól, ogórek i fiołki. – Kiedyś bawiłem się tymi smakami, mam jeszcze tabele pairingowe – wspomina Chrzastowski. – W jednej z moich restauracji serwowałem na przykład bycze jądra z sosem z wędzonej białej czekolady i rabarborem. To danie cieszyło się popularnością wśród klientów. Ale eksperymenty szybko się nudzą, a najważniejsza jest wiedza kucharza i dobry produkt.

A tych w Małopolsce nie brakuje. Na liście certyfikowanych produktów regionalnych znajdują się między innymi obwarzanek krakowski, chleb prądnicki, karp zatorski, kiełbasa lisiecka, oscypek, bryndza podhalańska, jagnięcina podhalańska, redykołka czy jabłka łuckie. Wywodzący się z Włoch nurt slow food zapoczątkował modę na promowanie lokalnych wyrobów i odkrywanie charakterystycznych w danym regionie smaków. Od kilku lat zdobywa też zwolenników w Polsce. Aby móc posługiwać się logo czerwonego ślimaka – symbolu organizacji Slow Food – trzeba przejść procedurę weryfikacyjną i udowodnić, że kuchnia korzysta z produktów sezonowych, pochodzących z najbliższej okolicy, uprawianych i pozyskiwanych w naturalny, a nie przemysłowy sposób. Szef kuchni musi się wykazać umiejętnością komponowania tych produktów i tworzenia z nich niebanalnych, ciekawych w smaku potraw. W Krakowie mamy



Kolacja Slow Food Masterclass w restauracji Biała Róża



Kolacja Slow Food Masterclass w restauracji Biała Róża

Restauracje z logo Slow Food w Małopolsce:

1. Trzy Rybki (Kraków, Hotel Stary)
2. Dwór Sieraków (Sieraków)
3. Ed Red (Kraków)
4. Biała Róża (Kraków)
5. Miodova (Kraków)
6. Gęś w Dymie (Laskowa)
7. Qualita (Kraków, Q Hotel)
8. Albertina (Kraków)
9. Sienna 104 (Gródek nad Dunajcem, Heron Live Hotel)
10. Chochołowy Dwór (Jerzmanowice)
11. Bottiglieria 1881 (Kraków)
12. Amarylis (Kraków)

osiem restauracji z logo slowfoodowego ślimaczka.

Kolacje chefów

W związku z tym, że miasto może się w tym roku szczyścić tytułem Europejskiej Stolicy Kultury Gastronomicznej, zaplanowano serię kolacji degustacyjnych z udziałem miejscowych szefów kuchni. Pierwsza odbyła się w kwietniu w restauracji Biała Róża.

W eleganckich wnętrzach na ścianach, suficie i podłodze dominuje głęboka zieleń w różnych odcieniach. Fotele obite pluszem, na stole biały obrus i piękna zastawa. Na początek *amuse-bouche* (czyli mała przekąska): lody z foie gras na pokruszonym pumperniku, ozdobione kawiozem ze ślimaka. Danie ma wyrazisty smak, by otworzyć nasze kubki smakowe. Michał Cienki z restauracji ART przygotował żur „przemyski” z rakami, polentą i bryndzą z kaszy manny. Danie nawiązuje do kuchni krakowskiej z początków XX wieku. Do tego wino Solaris 2018 z winnicy Turnau. Następnie kelnerzy w białych rękawiczkach wnoszą pstrąga ojcowskiego na niebiesko. Przepis z kuchni koszernej odtworzył Bartosz Gadzina, który w Czańcu prowadzi przetwórnictwo produkującą octy, kiszonki i oleje rzepakowe. Pstrąg ojcowski został zgłoszony do tzw. Arki Smaku – slowfoodowego programu ochrony roślin i zwierząt, mającego na celu zachowanie bioróżnorodności regionu. Hodowane w krystalicznie czystej wodzie, w sercu Ojcowskiego Parku Narodowego, rosną trzy lata nim trafią do sprzedaży. Ich mięso jest niezwykle delikatne. W Krako-

Kraków Europejską Stolicą Kultury
Gastronomicznej – kalendarium wydarzeń:

LIPIEC–SIERPIEŃ

Pikniki Krakowskie: powrót do
tradycji krakowskich majówek
i wspólnego biesiadowania w zielonych
przestrzeniach miasta

Slow Food Masterclass , część IV: warsztaty
i spotkanie z chefem – członkiem
inicjatywy Slow Food Chefs’ Alliance
(wspólnie ze Slow Food International)

Festiwal Pierogów

WRZESIEŃ

Terroir Hospitality: międzynarodowe
wydarzenie dla branży gastronomicznej
17–24 września
www.terroirsymposium.com

PAŹDZIERNIK

Międzynarodowy Kongres Gastronomiczny,
8–9 października

Slow Food Masterclass, część V: warsztaty
i spotkanie z chefem – członkiem
inicjatywy Slow Food Chefs’ Alliance
(wspólnie ze Slow Food International)

LISTOPAD

Finał Konkursu Bocuse d’Or: europejska
selekcja w Polsce najbardziej prestiżowego
na świecie konkursu kulinarnego,
21–22 listopada

Święto Młodego Wina

21–22 listopada

<http://festiwalmlodegowina.pl>

wie można go kupić na Targu Pietruszkowym
w Podgórzu lub podczas festiwalu Art & Food
Bazar na Starym Kleparzu.

Kolejne danie: otwarte ravioli z pesto
z czosnku niedźwiedziego, z kaszą gryczaną,
serem Stary Giewont i krakowskim da-
shi, czyli bulionem. – To danie współczesne,
ale korzystałem z tradycyjnych produktów
z regionu – opowiada Paweł Kras, szef kuch-
ni z restauracji Bottigliera 1881, który jest

autorem tej kompozycji smaków i kolorów.
Sommelierzy dobrali do niej hiszpańskie Nos-
so. Podczas kolacji pojawiają się także wina
z prowadzonej biodynamicznie Winnicy Wie-
liczka. Kolejne danie przygotował gość spe-
cjalny wieczoru: Gisli Matthias Audunsson
z Islandii. Przywiózł ze sobą suszoną rybę
i wodorosty – tamtejszy przysmak. Suszone
płatki ryby można smarować masłem i chru-
pać jako przekąskę. Gisli zgodnie z islandzkim
zwyczajem osobiście nalewa zupę i opowia-
da o daniu, które przygotował: – To zupa ryb-
na z drobno posiekаныmi jabłkami i suszonymi
owocami. Przepis zapisano w 1768 roku.
Według niego powinniśmy użyć suszonych
owoców, jednak wczoraj byłem w domu ro-
dzinnym Łukasza Cichego i kosztowałem tra-
dycyjnie gotowanych konfitur. Były tak pysz-
ne, że zredukowałem je nieco i użyłem do tej
zupy. Połączenie smaków morza i polskich,
słodkich owoców okazuje się wyśmienite.

Następne danie jest mięsne: bażant
z kwaśną śmietaną ze Skały i szparagami. –
To danie kuchni krakowskiej – opowiada
jego autor Łukasz Cichy z restauracji Biała
Róża. – Podobno podczas uczty u Wierzyńska
koronowane głowy raczyły się właśnie
takimi smakołykami.

Na deser lody z natki pietruszki przygoto-
wane przez Michała Cienkiego. – Mówi się, że
cukiernik to taki kucharz, któremu nie wy-
szło, ale ja właśnie marzę o tym, by kiedyś być
cukiernikiem – przyznaje ze śmiechem. De-
ser przygotował również islandzki kucharz:
skyr – jogurt z owsem i sorbetem szczawio-
wym. Znów zaskakująco wyborne połączenie.

Okazji do uczestniczenia w tego typu kola-
cji będzie jeszcze w tym roku kilka (informa-
cje można śledzić na facebookowym funpa-
ge’u Slow Food Masterclass Kraków).

Industrialnie

Nie tylko restauracje usytuowane w stylo-
wych kamienicach mają szansę zdobyć popu-
larność. Kompleks przy Dolnych Młynów to
konglomerat przeróżnych barów, restauracji,
klubów i kawiarni mieszczących się w zawi-
łych labiryntach dawnej fabryki tytoniu. Bu-
dynki te postawili Austriacy w drugiej połó-
wie XIX wieku. – Fabryka była w opłakanym
stanie i trzeba było nie lada wyobraźni, by
pomimo tych walących się dachów zobaczyć
potencjał tego miejsca – wyjaśnia Łukasz Ku-
mecki z Fundacji Tytano, która od 2016 roku
zarządza Dolnymi Młynami. Dziś doskona-
le funkcjonują tu lokale usługowe i gastro-
nomiczne, które umiejętnie zachowały in-
dustrialny styl miejsca. Wysokie, loftowe
wnętrza, ściany z czerwonej cegły lub suro-
wego betonu, kolorowe krzesła jakby rodem
z PRL-owskiej fabryki Fameg i metalowe lam-
py to elementy, które pojawiają się w całym
kompleksie. – To miasto w mieście, a jego
poszczególne lokale nie stanowią dla siebie
konkurencji, tylko się uzupełniają – wyjaśnia

Kumecki. W dzień można tu obejrzeć prace
studentów ASP, poćwiczyć sałse, ostrzyć psa,
a potem zjeść coś w Międzymiastowej, Tao
Restaurant, Veganic, Cargo lub Meet&Go (do
którego podobno po pracy przychodzą szefo-
wie kuchni z najślawniejszych krakowskich
restauracji, by posilić się wyborną kanapką
z mięsiwem). Nocą ogródki z leżakami i ha-
makami rozwieszonymi na pninach starych
drzewapełniają się rozbawionymi gośćmi
klubów.

Równie szybko popularność zyskują lo-
kale na Zabłociu, które też wykorzystują in-
dustrialny charakter okolicy. Położona na
prawym brzegu Wisły dawna przemysłowa
dzielnica przez długie lata wędlała i popadała
w zapomnienie. Otwarcie muzeum w fabry-
ce Oskara Schindlera (które co roku odwie-
dza niemal 400 tys. osób), Muzeum Sztuki
Współczesnej MOCAK i Muzeum Tadeusza
Kantora „Cricoteka”, sprawiły, że dzielnica
ożyła. Zaczęły powstawać biurowce, kluby,
bary i restauracje. Dziś hale fabryczne wy-
pełniają zapachy kuchni włoskiej i polskiej.

Kuchnie świata

Po drugiej stronie Wisły, czyli na Kazimierzu,
można znaleźć modne lokale mieszczące się
w budynkach starych zajezdni autobusowych,
nieco mroczne knajpki uwielbiane przez lo-
kalnych artystów, jak i przytulne restaura-
cje pełne mebli i pamiątek z przedwojennych
czasów. Kazimierz zaskakuje różnorodnością
stylów i smaków. Można skosztować tu kar-
pia po żydowsku, czulentu czy szlajmzupy
(tradycyjnego żydowskiego krupniku), a tak-
że specjałów z kuchni galicyjskiej. Do tego
wiele znakomitych restauracji oferujących
kuchnię japońską, gruzińską, ukraińską czy
indyjską. – Wspaniale, że również w Krako-
wie możemy zakosztować tyłu kuchni świa-
ta, autentycznych, tworzonych przez ku-
charzy z różnych kultur – mówi Katarzyna
Pilitowska, właścicielka dwóch lokali gastro-
nomicznych i organizatorka festiwalu Naj-
dzeni Fest. Wymyślone przez nią i Magda-
lenę Wójcik festiwale początkowo miały na
celu przybliżenie krakowianom lokalnych
producentów serów, win czy soków. Później
pojawiały się nowe tematy kulinarne, coraz
szerzej prezentujące doświadczenia naszych
rodaków z kuchnią włoską, portugalską czy
z Bliskiego Wschodu. W salach bankietowych
zamkniętego od ponad dwudziestu lat hote-
lu powstało miejsce spotkań producentów,
kucharzy amatorów i oczywiście mieszkań-
ców, którzy mogli skosztować tych specja-
łów w nieformalnej, swobodnej atmosferze.
– Chciałyśmy pokazać, że za jedzeniem sto-
ją konkretni jego twórcy, z którymi można
porozmawiać, zapytać o składniki, sposoby
gotowania – wyjaśnia Pilitowska. – Tak po-
jawił się kolejny pomysł: przywrócenia idei
pikników wśród zieleni. Zarząd Zieleni, Kra-
kowskie Biuro Festiwalowe i Urząd Miasta

podjęły inicjatywę i co roku podczas wakacji
organizują pikniki w krakowskich parkach.
Co weekend można z rodziną zjeść śniada-
nie na trawie kupione na stoisku wprost od
lokalnego producenta lub z food trucka. Dla
dzieci organizowane są animacje i zabawy, dla
dorosłych zajęcia z jogi, aikido lub gra w bule.

Restauracje na kółkach

Food trucki – mikrorestauracje na kółkach –
coraz częściej pojawiają się na krakowskich
placach i ulicach, a mimo to mieszkańcy na-
rzekają, że wciąż jest ich za mało. Kraków ma
w tym względzie długą tradycję, bo niebieska
nyska pod Hałą Targową serwowała grillowa-
ne kiełbaski w czasach, gdy jeszcze nie było
w mieście nawet McDonald’sa. Później food
trucki kojarzyły się głównie z kebabem i fryt-
kami, lecz dziś różnorodność oferowanych
potraw jest zdumiewająca. Stałym miejscem
food trucków jest Kazimierz, pojawiają się też
przy biurowcach na Zabłociu, Lubiczu, Rucza-
ju, a podczas Street Food Festiwalu pod Galerią
Kazimierz, dokąd zjeżdżają się z całej Polski.

– Przychodzą do nas różni ludzie: młodzi
i starzy, bo to jest świeże mięso, dobry pro-
dukt i proste jedzenie, które wszystkim sma-
kuje – mówi Tunezyjczyk Gamza Ganhouba,
właściciel UR’TACOS, serwując kolejną por-
cję tacos z baraniną i sosem fromage. Gamza
siedem lat jeździł po Polsce, a od roku osiadł
w Krakowie, bo jak mówi, tutaj ludzie są bar-
dzo życzliwi.

Krakowianie mają foodtruckowych fawo-
rytów: jedni uwielbiają krakowską maczan-
kę Andrusa, inni wybierają indyjskie sma-
ki Hindusa, a jeszcze inni batataje ze Street
Slow Food. Jedzenie z food trucka nie musi
być nudne i amatorskie. – Mamy duże do-
świadczenie, ponieważ pracowaliśmy kilka
lat w japońskiej restauracji – opowiada To-
masz Olesiński, który z Moniką Piątkowską
podają z food trucka Babu Arare wegetariań-
skie sushi. – Sprowadzamy niektóre produkty
z Japonii, inne – jak herbata z konopi – kupu-
jemy od polskich dostawców. Ich bento boxy
mają już duże grono sympatyków, chociaż fir-
ma działa dopiero od sześciu miesięcy.

– W Krakowie jest mnóstwo kreatywnych
ludzi, również w branży gastronomicznej –
ocenia Katarzyna Pilitowska. – Gastronomia
to nie tylko gwiazdki Michelin, to także kuch-
nia codzienna, śniadaniowa, streetfoodowa.
Jak dobrze, że możemy z tego korzystać.



Magdalena Oberc – absolwentka te-
atologii, dziennikarka i PR-owicz,
zainteresowana tematyką społecz-
ną i medycyną. Od kilku lat związana
z fundacją ad vocem, która prze-
ciwdziała przemocy wobec dzieci.



W czapce krakowskiej w każdym wieku jest do twarzy

Urodziłem się w czapce krakowskiej

Rozmawiał Michał Siwiec Zdjęcia: Jan Zych (oraz z archiwum rodziny)

Mieczysław Czuma: „»Przekrój« to nie tyle sukces, ile największa przygoda życia. Jako trzydziestoparolatek zostałem szefem najbardziej oryginalnego tygodnika między Łabą a Władystokiem. Niedługo potem co tydzień sprzedawaliśmy bez zwrotu 760 tysięcy egzemplarzy, a w wakacje nakład sięgał miliona. Mało tego, „Przekrój” docierał do ponad 100 różnych krajów (dwa egzemplarze trafiły nawet na wyspy Samoa).

Michał Siwiec: Dziadku, po co czytasz te gazety? Przecież wszystko jest w internecie.

Mieczysław Czuma: Bo wywodzę się z cywilizacji Gutenberga. Muszę przewracać kartki i musi mi szeleścić papier. Elektronika to nie to samo, jest zimna i bezosobowa.

Jak byłem mały, myślałem, że to nie ty piszesz książki, tylko babcia.

Babcia ukończyła AGH i jest ze świata technologii. Ona wpisuje w komputer, ale wymyślać to wszystko muszę najpierw ja.

A po co ci ta sterta kartek z numerami telefonów na biurku?

To jest mój osobisty dysk twardy. Możemy porozmawiać o czymś innym?

Dobrze, już dobrze. Jak poznałeś babcie?

Ja studiowałem filologię na UJ, gdzie była ogromna przewaga kobiet. Babcia studiowała na AGH, gdzie byli niemal sami mężczyźni. Ale żadne z nas w swoim środowisku nie znalazło partnera. Dobraliśmy się więc jak w korcu maku. A poznaliśmy się na wycieczce w Pradze, tam wszystko się zaczęło.

A pamiętasz, jak mnie poznałeś?

Ty masz to szczęście, że urodziłeś się w Krakowie, śledziłem cię więc od małości. No, może poza tymi momentami, kiedy dłużej byłeś z rodzicami w Jordanii. Namalowałeś tam dla mnie pewien obrazek przedstawiający muchę. Do dzisiaj wisi u mnie na honorowym miejscu.

Co ci się najbardziej spodobało w babci?

Babcia jest pogodna, przedsiębiorcza, otwarta, tolerancyjna. Świetnie gotuje. Okrasila moje nazwisko tytułem inżyniera, co było poza moim zasięgiem.

Zawsze bardzo smakują mi babcine pierogi.

Mnie najlepiej smakują w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy płynie przy tym muzyka *Pastorałki krakowskiej*: „Pytał się Pan Jezus jako małe dziecko, /Gdzie też jest najpiękniej na tym Bożym świecie./Słyszysz z nieba słowa: – Idź Ty do Krakowa!/Hej kolęda, kolęda...”. Jako krakauerolog twierdzą, że Pan Jezus najlepiej czuje się w Krakowie, gdzie zamieszkuje w szopce krakowskiej. W tym pięknym pałacu, który jest kompozycją wież Mariackich,

To miasto wyrzeźbione jest z gotyku, renesansu i baroku. Jego wizytówką jest oczywiście Wawel, Rynek i Kazimierz. Na świecie są wspanialsze katedry i muzea, ale wszyscy przybysze obowiązkowo winni odwiedzić Muzeum Collegium Maius (pochwała nauki) i Muzeum Farmacji (pochwała życia). Warto przespacerować się też dawnym korytem Wisły (ulica Dietla) oraz niegdysiejszym korytem Rudawy (ulica Retoryka).

attyki Sukiennic, Barbakanu i innych elementów architektury Krakowa.

Krakauerologia... Brzmi jak jakaś gałąź medycyny.

To nauka o wyższości Krakowa nad resztą świata. Coś z pogranicza historii, filozofii, socjologii, psychologii i czegoś tam jeszcze. Fakty w tej dziedzinie są zawsze prawdziwe, ale ich interpretacja jest autorska, subiektywna i służy uzasadnieniu tezy o naszej wyższości. Krakauerologia to lektura dla czytelników obdarzonych oczywiście poczuciem humoru.

Jakie są twoim zdaniem największe osobliwości Krakowa?

To miasto wyrzeźbione jest z gotyku, renesansu i baroku. Jego wizytówką jest oczywiście Wawel, Rynek, jego podziemia i Kazimierz. Na świecie są wspanialsze katedry i muzea, ale wszyscy przybysze obowiązkowo winni odwiedzić nasze Muzeum Collegium Maius (pochwała nauki) i Muzeum Farmacji (pochwała życia). Warto przespacerować się też dawnym korytem Wisły (ulica Dietla), oraz niegdysiejszym korytem Rudawy (ulica Retoryka).

Co ci się nie podoba w Krakowie?

To, że znikają księgarnie i antykwiariaty. **Uważasz, że Kraków to pępek świata. Są na to dowody?**

„Przekrój” przyciągał najwspanialsze nazwiska. Pierwsi drukowaliśmy Melchiora Wańkowicza *Karafkę La Fontaine’a*, Aleksandra Krawczuka *Poczet cesarzy rzymskich*, księżda Józefa Tischnera *Historię filozofii po góralsku*. Na naszych łamach gościły największe gwiazdy światowego kina: Gregory Peck, Clark Gable, Jack Nicholson, Billy Wilder, Robert De Niro, Sophia Loren i inni.

Wraz z Leszkiem Mazanem w killkunastu wydanych książkach wyliczamy ich aż dwieście czterdzieści siedem. Mamy więc największy średniowieczny rynek w Europie – 4 hektary, 3 ary i 28 metrów kwadratowych. Mamy największe pastwisko w środku miasta – Błonia mają 48 hektarów, więc są większe nawet od państwa Watykan (44 ha). Mamy jeden z najstarszych uniwersytetów w tej części Europy. Nasz hejnał grany jest nieprzerwanie od końca XIV wieku. Zwróć uwagę, jak wieloma dobrami i pojęciami obdarowaliśmy świat: od rachunku krakowianowego, poprzez kiełbasę krakowską, sernik krakowski, maczankę krakowską, aż po *Rondo à la krakowiak* Fryderyka Chopina. Gdyby wbić na mapie cyrkiel tam, gdzie leży Kraków i zatoczyć koło, to na



Przyszły krakauerolog zwiedzanie miasta rozpoczyna od parku Jordana (fot. z archiwum rodzinnego)

północy dotknęlibyśmy przylądka Nordkapp w Norwegii, a na południu wybrzeży Krety. Na zachodzie sięgnęlibyśmy przylądka Cabo da Roca w Portugalii, a na wschodzie powędrowalibyśmy gdzieś w stronę Uralu. Czyli pępek Europy, a więc świata.

Jesteś oczywiście rodowitym krakusem?

Chłopie, ja się nawet urodziłem w czapce krakowskiej! Moja ojczyzna to Zwierzyniec, a ściślej Półwie Zwierzynieckie – tam, gdzie Wisła wpada do Rudawy.

Ejże, nie na odwrót?

Zapamiętaj, Rudawa to najważniejsza rzeka na świecie. Na jednym jej brzegu leży Zwierzyniec, na drugim Półwie Zwierzynieckie. Na zwierzynieckim Emausie jako podrostek pchałem wielkanocną karuzelę. W wieku dojrzałym broniłem krów pasących się na Półwsiu Zwierzynieckim, na Błoniach.

Czemu?

Rada miasta chciała je stamtąd usunąć, bo nie pasowały do powstającego właśnie hotelu Cracovia – chluby tamtych czasów. Użyłem argumentu, że przywilej wypasu dała krakusom królowa Jadwiga. I tylko Rada Państwa mogłaby to zmienić. Jednak gwoli ścisłości, to nie Zwierzyniec, a podkrakowskie Niepołomice są gniazdem Czumów. Stamtąd wywodził się generał Walerian Czuma – obrońca Warszawy w 1939 roku, Ignacy Czuma – profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, współautor konstytucji kwietniowej. Stamtąd rekrutowali się noszący to nazwisko cichociemni. Z Niepołomic pochodził mój ojciec. Natomiast mamusia była góralką spod Babiej Góry. Ja jestem krakusem. A krakowiacy i górale byli już natchnieniem twórcy polskiego teatru Wojciecha Bogusławskiego. Ta mieszanka to stop szlachetny.

Kim był mój pradziadek?

Twój pradziadek Franciszek Czuma był pracownikiem krakowskiego magistratu. W 1939 roku walczył w kampanii wrześniowej. Potem, wraz z armią Andersa, odbył całą odyseję ze Związku Radzieckiego, poprzez Iran i Palestynę na front włoski. Z dumą przechowuję Order Jerzego Szóstego, nadany mu przez władze brytyjskie za uratowanie życia członkowi rodziny królewskiej w walkach pod Monte Cassino. To wysokie odznaczenie wręczył mu, już po wojnie, ambasador brytyjski właśnie w magistracie. A ja jestem dzieckiem magistrackim – do chrztu trzymał mnie Mieczysław Kaplicki, ostatni prezydent przedwojennego Krakowa. Noszę jego imię.

Do którego liceum chodziłeś?

Oczywiście do Nowodworka. Moi szkolni koledzy to król Jan III Sobieski, Józef Conrad, Jan Matejko, Estreicherowie, Tetmajerowie, Lucjan Rydel, Stanisław Wyspiański, Sławomir Mrożek. Uprzedzam też twoje kolejne pytanie. Otóż od najmłodszych lat jestem wierny Wiśle. Każdy krakowianin staje w życiu przed ważnym wyborem: Wisła albo Cracovia. Ja wybrałem tak, jak należy, Wisłę. Nie mogło



Z żoną Barbarą i wnukiem Michałem

być inaczej, skoro za młodu wypuściłem kiedyś na popas swoje króliki na boisko Cracovii, a one nażarły się tamtejszej trawy i zdechły.

Zaczynałeś od poezji.

Faktycznie, byłem kiedyś tak zwanym dobrze zapowiadającym się poetą. W 1961 roku zająłem pierwsze miejsce w prestiżowym konkursie jednego wiersza na ogólnopolskim festiwalu młodej poezji w Poznaniu. Potem był jeszcze jeden i drugi tomik poetycki. Ale gdy trafiłem do telewizji, uznałem, że poeci byli głosem narodu gdzieś tam w wieku XIX. A ja mogę przecież komunikować się ze światem poprzez nowoczesne medium.

Nie ciągnie cię już do rymowania?

Bywa, że czasem ukąsi mnie jeszcze szerszeń poezji. Moje *Abecadło krakowskie* gościło niedawno jako spektakl na scenie Teatru Ludowego w Nowej Hucie. To wierszyki o Krakowie na każdą literę alfabetu. Krakauerologia dla najmłodszych.

Dlaczego twierdzisz, że jak pracowałeś w telewizji, to była najlepsza?

Bo była. Dzięki kremówkom.

Jakim znowu kremówkom?

W tamtych czasach, aby dostać się na antenę ogólnopolską, trzeba było załatwić pieniądze i czas antenowy. Jako wicedyrektor do spraw programowych musiałem znaleźć na to sposób. Otóż w hotelu Cracovia dwóch sławnych Stefanów, Jaśkiewicz i Przebindowski, wypiekało najlepsze na świecie kremówki. Ku-

powiałem kilkadziesiąt sztuk i zabierałem do Warszawy. W każdej z naczelnych redakcji przy ich pomocy targowałem się o pieniądze i czas antenowy. Nikt nie był w stanie oprzeć się takim słodkim argumentom. W efekcie telewizja Kraków emitowała spektakle teatralne, kabarety, widowiska dla dzieci, programy muzyczne i popularnonaukowe, sławne pogadanki Wiktora Zina *Piórką i węglem*. I nie tylko. Dziś na Krzemionkach pustynia.

Z telewizji trafiłeś do „Przekroju”...

Zaraz, zaraz. To było dopiero z początkiem lat 70. Nie spytałeś jeszcze o wcześniejszą działalność studencką. Byłem jednym z założycieli międzyuczelnianego klubu literackiego Żaczek (o, tam dopiero była fabryka poezji!) i Teatru 38. Mam w swojej biografii nawet funkcję prezesa Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich. Ale wcześniej organizowałem jeszcze sławne juwenalia 600-lecia UJ.

Och, jak te krakusy kochają jubileusze!

Pokazaliśmy wtedy światu, że nie jesteśmy częścią imperium, które kończy się gdzieś we Władystoku. Rzesze zagranicznych gości, które przybyły pokłonić się naszemu uniwersytetowi, były świadectwem, że wywodzimy się z najlepszych tradycji europejskich. A finałem trwających sześć dni i sześć nocy juwenaliów miał być występ Ewy Demarczyk, która z okienka wieży Mariackiej miała zaśpiewać piosenkę Zygmunta Koniecznego do słów Wiesława Dymnego *Czarne anioły*. Nie za-

śpiewała, bo kabel do mikrofonu okazał się za krótki.

Nie mogła wziąć bezprzewodowego?
Człowieku! Takie cuda w tamtych czasach?!
Co uważasz za swój największy sukces zawodowy?

To nie tyle sukces, ile największa przygoda życia. Jako trzydziestoparolatek zostałem szefem najbardziej oryginalnego tygodnika między Łabą a Władystokiem. Niedługo potem co tydzień sprzedawaliśmy bez zwrotu 760 tysięcy egzemplarzy, a w wakacje nakład sięgał miliona. Mało tego, „Przekrój” był prenumerowany przez Polonię na całym świecie i docierał do ponad 100 różnych krajów (dwa egzemplarze trafiały nawet na wyspy Samoa).
Milionowy nakład? Milion to można mieć wyświetleń!

A my, wierz mi lub nie, mieliśmy ten milion w papierze, i wcale nie potrzebowaliśmy internetu.

Skąd ten fenomen „Przekroju”? Też dzięki kremówkom?

Czasy były szarobure. Władza wyznaczała, co wolno, czego nie wolno, i jak należy się zachowywać. A my staraliśmy się towarzyszyć czytelnikowi w jego prywatnym myśleniu o świecie. Robiliśmy pismo kameralne, adresowane niejako do każdego indywidualnie. Podpowiadaliśmy, co czytać, w co się ubrać, na co iść do kina, jak zachować się w różnych sytuacjach itp. Organizowaliśmy najrozsawniejsze akcje: fajka mniej szkodzi, pał co drugiego, otyli żyją krócej, warzywa do kuchni, kwiaty na balkony i dziesiątki innych. Zainicjowaliśmy sprzątanie Tatr, co poprzez naszą czytelniczkę w Australii zrobiło międzynarodową karierę i przetrwało się w sprzątanie świata. Nasz przekaz podszyty był humorem, a język był zawsze zrozumiały i jasny. Mówi-

szę gwiazdy światowego kina: Gregory Peck, Clark Gable, Jack Nicholson, Billy Wilder, Robert De Niro, Sophia Loren i inni. Ekskluzywne, udzielane tylko dla „Przekroju” wywiady, ci bohaterowie wzbogacali pisanymi własnoręcznie życzeniami dla czytelników. Tego nie miał nikt poza nami.

Jak to było możliwe?

Zbysiu Rogowski udawał się do Hollywood, wkradał się w łaski fryzjerów tych gwiazd i podczas golenia, strzyżenia, ondulowania – zadawał pytania i nagrywał.

Swoją redakcyjną przygodę zacząłeś jednak od zorganizowania pochodu jamników.

Jako młodziak chciałem czymś zaimponować dostojnym redaktorom, których zatrudnił jeszcze twórca pisma Marian Eile. Stąd ta wielotysięczna rzesza jamników, która przy ogromnym aplauzie nieprzeliczonych tłumów przeszła spod redakcji na Rynek. Był rok 1973. Takiego widowiska nigdy dotąd jeszcze w Krakowie nie było. Władza uznała, że to parodia pochodu pierwszomajowego. Zostałem wezwany do pewnego bardzo ważnego gmacchu, gdzie zakomunikowano mi, że jeszcze jeden taki wygłup i przestanę być naczelnym.

A byłeś nim jeszcze przez 28 lat...

Z „Przekrojem” przeżyłem zmianę ustrojów i wymianę całych epok. Potem pismo przeniesiono do Warszawy, gdzie ten krakowski produkt nie rozkwitnął. Teraz to jest kwartalnik.

Obracałeś się cały czas w środowiskach, w których aż kipiało od indywidualistów. Zrzeszenie Studentów Polskich, telewizja, „Przekrój”. Jak w takich zbiorowościach realizować własne pomysły?

Zapamiętaj tę radę. Musisz naginać wolę innych do własnej, ale tak, aby zainteresowani tego nie zauważyli. Każdemu musi się wydawać, że twój pomysł jest jego pomysłem.

Ta zasada nie sprawdza się jednak w domu. To babcia wydaje ci polecenia, abys poszedł do sklepu czy umył naczynia.

Nie wolno mylić życia zawodowego z życiem prywatnym. W domu redaktor naczelny ma być mężem, tatą, dziadkiem.

A nie kusi cię czasem, aby stopy oblegających cię papierów zastąpić internetem, tabletem?

Owszem, korzystam z internetu, to cenne źródło informacji. Trzeba być jednak wobec niego krytycznym. A jeśli chcesz zachować zażyły kontakt z autorem, prowadzić z nim kameralną, pełną refleksji rozmowę, musisz – jedna po drugiej – przewracać kartki napisanej przez niego książki. Dlatego często powtarzam, że wywodzę się z cywilizacji Gutenberga.



Michał Siwiec – jest studentem iranistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tłumaczy na perski opowiadania Sławomira Mrożka. Jako dziennikarz debiutuje. Jest także wnukiem Mieczysława Czumy.

Był rok 1973. Wielotysięczna rzesza jamników przy ogromnym aplauzie nieprzeliczonych tłumów przeszła na Rynek – takiego widowiska nigdy dotąd jeszcze w Krakowie nie było. Władza uznała, że to parodia pochodu pierwszomajowego.

liśmy, że jest to pismo dla prostych ministrów i wyrafinowanych sprzątaczek.

Czy był to tygodnik tylko małych form, rubryk?

Nie tylko, choć te drobiazgi tworzone głównie przez czytelników były ważną jego częścią. „Przekrój” przyciągał najwspanialsze nazwiska. Pierwsi drukowaliśmy Melchiora Wańkowicza *Karaftkę La Fontaine'a*, Aleksandra Krawczuka *Poczet cesarzy rzymskich*, księdza Józefa Tischnera *Historię filozofii po góralsku*. Na naszych łamach gościły najwięk-

ZAKOPANE



19 CZERWCA - 3 SIERPNIA 2019
WYSTAWA „DZWONY, DZWONKI, TURLIKI...”
LUDWISARSTWO WŁADYSŁAWA KULAWIAKA
CENTRUM KULTURY RODZIMEJ WILLA CZERWONY DWÓR

16-24 SIERPNIA 2019
51. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FOLKLORU ZIEM GÓRSKICH

28-29 CZERWCA 2019
OTWARCIE SEZONU LETNIEGO - „LATO Z RADIEM”

6-8 WRZEŚNIA 2019
15. SPOTKANIA Z FILMEM GÓRSKIM

30 CZERWCA - 11 SIERPNIA 2019
19. FESTIWAL MUZYKI ORGANOWEJ I KAMERALNEJ
ZAKOPIAŃSKIE KOŚCIOŁY, CENTRUM KULTURY RODZIMEJ WILLA CZERWONY DWÓR, MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WL. HR. ZAMOYSKIEGO

6 WRZEŚNIA - 3 LISTOPADA 2019
WYSTAWA ALFABET SZTUKI GHJ
MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WL. HR. ZAMOYSKIEGO

1 LIPCA - 15 WRZEŚNIA 2019
KULTURALNY PLAC NIEPODLEGŁOŚCI

7-14 WRZEŚNIA 2019
11. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI KAMERALNEJ „MUZYKA NA SZCZYTACH”

19 LIPCA - 1 WRZEŚNIA 2019
GÓRY - MORZE - MORZE - GÓRY. MALARSTWO, RZEŻBA, OBIEKT, GRAFIKA
MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WL. HR. ZAMOYSKIEGO

22-28 WRZEŚNIA 2019
9. ZAKOPIAŃSKIE PREZENTACJE ARTYSTYCZNE „PĘPEK ŚWIATA”
TEATR IM. ST. I. WITKIEWICZA

9-11 SIERPNIA 2019
4. ZAKOPIAŃSKI FESTIWAL LITERACKI ORAZ TARGI KSIĄŻKI „POD TATRY TYLKO Z KSIĄŻKĄ”

17-19 PAŹDZIERNIKA 2019
8. FESTIWAL „INSPIROWANE GÓRAMI...”
IM. EWY I MACIEJA BERBEKÓW

9 SIERPNIA - 28 WRZEŚNIA 2019
WYSTAWA KONKURSOWA „MADONNY PODHALAŃSKIE”
CENTRUM KULTURY RODZIMEJ WILLA CZERWONY DWÓR

ZAKOCHANE LATEM

ZAKOPANE.PL

Zaułki, tajemne ścieżki

Tekst: Jan Barański Rysunek: Małgorzata Miklaszewska

Dlaczego w trakcie wakacji warto zboczyć z ubitych traktów, czyli o łańcuchach w Tatrach, zwierciadłach tożsamościowych i zrównoważonej turystyce.

Rodzice zaszczepili mi miłość do wędrówek górskich. Stąd wiem, że w słowackich Tatrach spotyka się dużo mniej turystów niż w Polsce. Dzieje się tak zapewne z wielu powodów. Są rozleglejsze, mniejszy jest dostęp do bazy turystycznej, w ogóle na Słowacji mieszka mniej ludzi, z pewnością jest również wiele innych bardziej lub mniej możliwych do zmierzenia powodów. Trudno również ustalić, jakie znaczenie ma strategia stosowana przez słowacki odpowiednik Tatrzańskiego Parku Narodowego. Polega na tym, że w słowackich Tatrach montuje się jak najmniej pomocy wspinaczkowych, w rodzaju klamr i łańcuchów. W ten sposób na niektóre bardziej wymagające i niebezpieczne szlaki wybiorą się tylko ludzie zdecydowani i, co ważniejsze z punktu widzenia bezpieczeństwa, przygotowani. Odwiedziłem wiele szlaków po słowackiej stronie, wzdłuż których Polacy na pewno zamontowaliby już dawno różnego rodzaju ułatwienia wspinaczkowe. Ktoś mógł-

Im więcej w różnych miejscach turystów, tym bardziej upodabniają się one do siebie.

by się obruszyć – że to nie jest zgodne z duchem czasu, że nie wspiera się turystyki. Mnie jednak cieszy. Dzięki temu słowackie Tatry nie są tak zatłoczone jak polskie, przyroda jest bardziej dzika – a wszystko to daje wrażenie wyjątkowości tej części Karpat, umożliwia jej prezentowanie się we własnej okazałości.

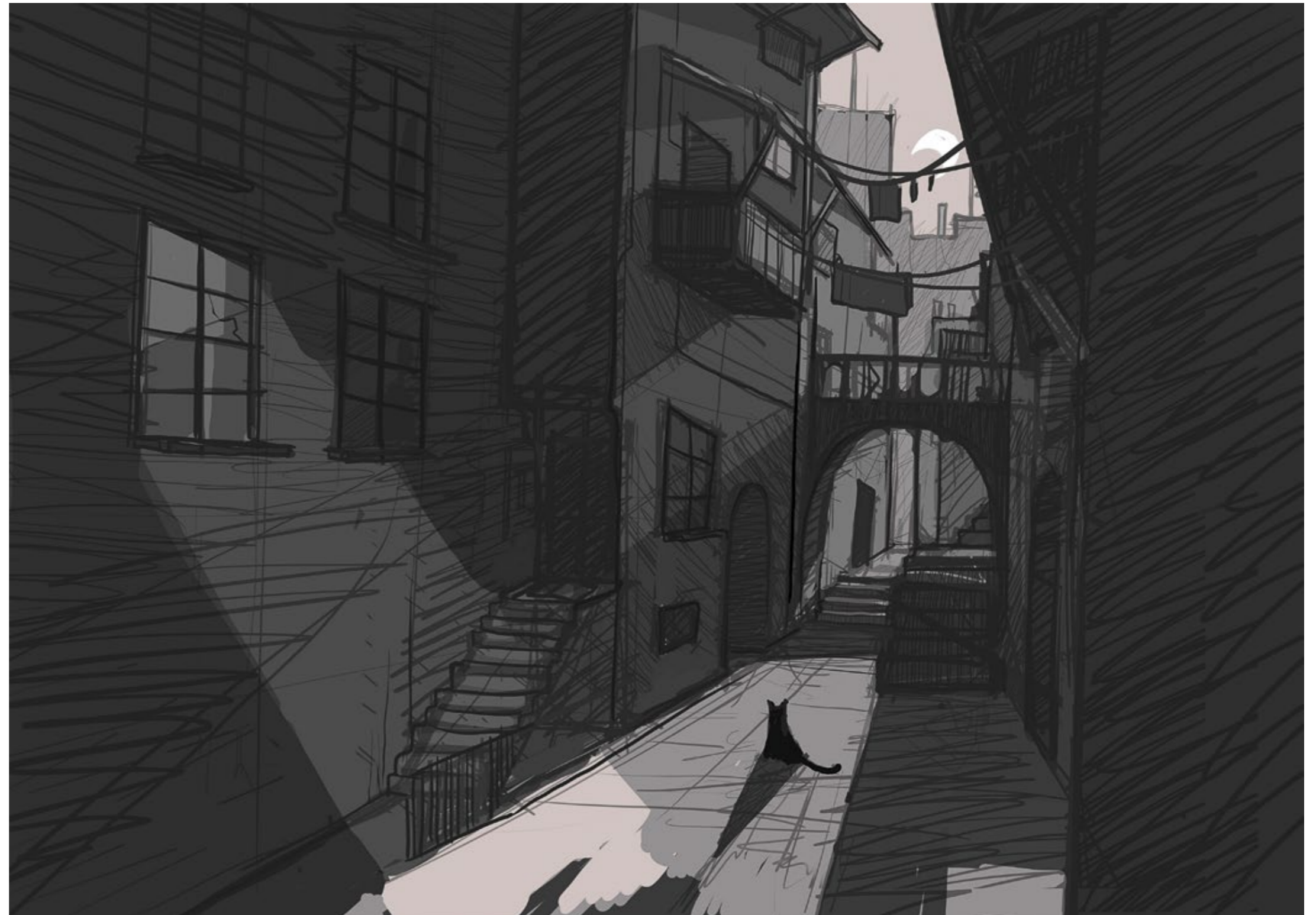
Im bowiem więcej w różnych miejscach turystów, tym bardziej upodabniają się one do siebie. Te same kurorty i promenady, niemal identyczne pamiątki do kupienia, zunifikowana gastronomia i jednakowe turystyczne sylwetki. Wokół ci, którzy chcą na tym wszystkim zarobić – handlarze, taksówkarze czy naganiacze do bliźniaczo podobnych hoteli, klubów i restauracji. Nawet jeśli jakieś elementy tego krajobrazu kulturowego wydają się na pierwszy rzut oka miejscowe, to zapewne są to tylko produkty globalizacji: zjawiska polegające na wpisaniu lokalności w globalne trendy. To udawane wydmuszki, wypchane niedźwiedzie, z którymi turyści robią sobie zdjęcia. I gdzieś spomiędzy tej niemalże wszędzie identycznej turystycznej magmy wyrastają trochę zapomniane w tym wszystkim historyczne

skarby: piramidy, katedry, starożytne ruiny czy średniowieczne miasta.

Są jednak i tacy podróżnicy, których nie interesują te turystyczne symulakra, udające siebie nawzajem. Owszem, gdzieś trzeba spać, przyda się więc baza hotelowa; trzeba też coś zjeść, potrzebna jest gastronomia, i oczywiście zobaczyć historyczne monumenty, odwiedzić ważne muzea, rozsmakować się w unikatowych zbiorach i tak dalej. Jednak tych ludzi, gdy już zobaczą to, co obowiązkowe, ciągnie gdzieś w boczne uliczki czy w odleglejsze dzielnice. Sam do nich należę. Jakiś czas temu, gdy byłem

Przyglądanie się Innym jest kluczowe dla zrozumienia samych siebie. W tym celu trzeba opuścić *orbis interior* – świat znany, oswojony, własny. Dopiero to, co odmienne i „dziwne” w Innym, uczy nas, kim jesteśmy my.

z żoną na wakacjach w Andaluzji, dwójka poznanych Polaków odradzała nam zwiedzenie jednego z miasteczek, mówiąc: „Nie ma tam nic ciekawego. To taki



hiszpański Radom”. Nie było dla nas lepszej zachęty, by koniecznie się tam dostać!

Chodzi chyba bowiem o to, żeby chociaż przez chwilę, powierzchniowo, przyrzyć się temu wszystkim, co podróżnikowi może zaprezentować *orbis exterior* – świat zewnętrzny. Dopiero opuściwszy turystyczne mrowiska, mamy możliwość obejrzenia tego „obcego świata” takim, jaki jest. Stojąc z boku, by nie zaburzać rytmu normalnego życia, można dyskretnie obserwować codzienność Inných. Jak przekonują zaś antropologowie kulturowi, przyglądanie się Innym jest kluczowe dla zrozumienia samych siebie. W tym celu trzeba opuścić *orbis interior* – świat znany, oswojony, własny. *Orbis exterior* służy w tym znaczeniu jako zwierciadło, w którym przeglądając się, dostrzegamy różne szczegóły na temat naszej tożsamości. Dopiero to, co odmienne i „dziwne” w Inných uczy nas, kim jesteśmy my. Ponieważ dopiero w zetknięciu z odmiennością elementy najróżniejszej proweniencji, które się na nas składają, uwidaczniają się, wcześniej uznawane przez nas za oczywistości. To właśnie dlatego niemal wszystkie nazwy własne

Ekspansja turystyki niewątpliwie ujednocila krajobrazy kulturowe – wyjąłwia je poprzez elementy globalistyczne, a te rzekomo lokalne, to jedynie symulakra.

ludów z całego świata w oryginalnych językach oznaczają po prostu „człowiek” – a każdemu kolejnemu napotkanemu Obcemu przygotowano były przeróżne nieludzkie cechy (przykładowo: czarne podniebienia, psie głowy, bielmo na oczach czy choćby niemota Niemców w opozycji do umiejętności posługiwania się słowem przez – *nomen omen* – Słowian). By jednak, będąc w podróży, dotrzeć do zwierciadeł odmienności, konieczne jest opuszczenie bezpiecznej, znanej przestrzeni – szczególnie do bólu przewidywalnych turystycznych centrów, których organizatorzy robią, co mogą, byśmy czuli się w nich „jak u siebie”.

Ekspansja turystyki niewątpliwie ujednocila krajobrazy kulturowe – wyjąłwia je poprzez elementy globalistyczne. Niestety, co obserwuję jako rodowity krakowianin już od lat, podobnie dzieje się z Krakowem. Wiedeńskie dorożki (lepiej chyba powiedzieć: karoce), brytyjsko-irlandzkie puby, włoskie restauracje i ponadnarodowe restauracje szybkiej obsługi – to tylko kilka przykładów weneccjalizacji. To termin oznaczający stopniowe przemienianie się turystycznych miast w skanseny, a jeszcze częściej w parki turystycznej rozrywki. Szalony, nieposkromiony napływ turystów prowadzi do nieuchronnego wypierania lokalnych mieszkańców. Jeszcze ponad dekadę temu w obrębie Plant na stałe mieszkało parę tysięcy osób, pięć lat temu było ich już nie więcej niż pięćset, obecnie szacuje się, że liczba ta nie dobiega setki, a może i pięćdziesiątki. Ta dzielnica umarła dla krakowian jako miejsce do mieszkania. Szczęśliwie, można mieć jeszcze pretekst, by „do miasta” przyjechać – jest magistrat, parę uczelni, trochę sklepów czy antykwariatów. Jeszcze można tu coś czasem za-

łatwić. Choć, jak można pesymistycznie podejrzewać, już niedługo. Przykład krakowskiego „miasta” niestety nie jest odosobniony – podobnemu procesowi podlega Kazimierz, zdaje się, że może stać się to również z Podgórzem...

Oczywiście, nie można pominąć pozytywnych aspektów „turystozy”. Według opracowań Małopolskiej Organizacji Turystycznej udział turystyki w PKB Krakowa przekracza 8 procent. Krakowskie i polskie dziedzictwo jest rozstawione na świecie, dając krakowianom powód do dumy i pomagając budować lokalną tożsamość. Chciałbym jednak dotrzeć do bardziej szczegółowych danych na temat tego, kto tak naprawdę zarabia w Krakowie dzięki turystom. Ciekawa byłaby symulacja ekonomiczna, pokazująca, jak zmieniłaby się sytuacja, gdyby ruch turystyczny został nieco ograniczony (wzorem innych sławnych turystycznie europejskich miast: Wenecji, Edynburga czy Barcelony).

„Zdobylismy turystów, ale nie mieszkańców” – to zdanie, które padło na jednym z pierwszych spotkań organizacyjnych przed 15. Światowym Kongresem Organizacji Miast Światowego Dziedzictwa OWHC, którego Kraków był na początku czerwca gospodarzem. Jednym z tematów konferencji było zjawisko overtourismu, czyli „turystycznego przesylenia”. Ekspertki z całego świata debatowały, jak udostępniając miasto zwiedzającym, nie dopuścić do pochłonięcia unikatowych dziedzictw przez turystyczne szaleństwo. To kolejna międzynarodowa sesja odbywająca się w Krakowie, w trakcie której poruszano zagadnienie tzw. turystozy. W marcu 2018 roku odbyła się organizowana przez Wydział Promocji i Turystyki UMK konferencja „Miasta Historyczne 3.0”, poświęcona relacjom między turystyką a lokalnością. Przedstawiciele różnych europejskich miast (m.in. Edynburga, Budapesztu, Tbilisi, Krakowa, Gdańska czy Torunia) podpisali deklarację współpracy na rzecz zrównoważonej turystyki. Z kolei na rzecz ochrony wyglądu Krakowa przez między innymi powołanie parku kulturowego pracują takie instytucje, jak Społeczny Komitet Ochrony Zabytków czy Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK.

*

Odwiedzając historyczne miasta, warto oddalić się od najbardziej tłocznych, turystycznych miejsc – by poprzyglądać się „prawdziwemu”, lokalnemu życiu zarówno w sferze materialnej, jak i niematerialnej. To przy tym świetna okazja, by przyrzyć się samemu sobie. A jeśli chodzi o montowanie metaforycznych klamr i łańcuchów, sprzyjających zdeptryowaniu szlaków, to może i w Krakowie uda się wypracować złoty środek.



Jan Barański – antropolog kulturowy i barman. Redaguje czasopismo antropologiczne „Barbarzyńca” i gra w piłkę.

Świat, który nie powinien zagańać

Tekst: Majka Lisińska-Kozioł Zdjęcia: Jacek Kozioł

Kraków rzemieślnikami stał. A dziś jest w mieście coraz mniej miejsca dla małych urokliwych zakładów i pracowni artystycznych.



Józef Chorąży, czapnik

Stali klienci wymierają, a nowych brak. Starzy mistrzowie tracą siły, ale nie ma komu przekazać wiedzy i dorobku życia. Więc znikają modniarki, przepadli gdzieś zdunowie, ledwie dyszą szewcy i parasolnicy z prawdziwego zdarzenia.

Ostatni czapnik

Ulica Krakowska. Oficyna. Józef Chorąży staje za ladą. Jest jedynym czapnikiem w Krakowie. Od ponad 30 lat szyje męskie nakrycia głowy. Na brak zamówień nie narzeka. – Ludzie znowu lubią być oryginalni i stawiają na jakość – mówi. On też stawia, więc nosi kolorowy, własnej roboty, kaszkiet z klinów; ulubiony, bo pasuje do wszystkiego. – Zawsze poznam, czy beret, melonik, kapeluszek wyszły spod mojej ręki. Spacerując, nie oglądam się za kobietami, ale za kaszkietami.

Do zawodu trafił przez miłość. Zanim spotkał Bożenę, córkę znanego krakowskiego czapnika Józefa Kozłowskiego, pracował jako mechanik urządzeń chłodniczych. Najpierw to ona zdała egzaminy cze-

ladnicze i mistrzowskie. A gdy na świecie pojawiły się dzieci, jej tata zaproponował zięciowi wejście do rodzinnego interesu oraz naukę zawodu. – I tak zamieniłem mechanikę na czapnictwo – opowiada Józef Chorąży. Swoje pierwsze nakrycie głowy wykonał po roku podpatrywania kunsztu mistrza Kozłowskiego: – Na „sztukę” uszyłem kaszkiet i czapkę maciejówkę.

Dyplom mistrzowski powiesił wtedy na honorowym miejscu w pracowni. Obok są te należące do dziadka żony i do teścia.

Rodzina, do której wszedł, od końca XIX wieku produkowała czapki i kapelusze w podkrakowskich Słomnikach. W okresie dwudziestolecia międzywojennego Kozłowski przeniósł się do Krakowa, na Starowiślną, gdzie pracownię czapniczą miał dziadek Adam. Klienci przychodzili do niego niemal z całego Kazimierza. Musiał być dobry, skoro utrzymał się na rynku, mimo że konkurencja była wtedy silna: działali i Kurzydło, i Krajewski, i Frydel, i Czajkowski. Dziś został w Krakowie tylko Chorąży.

Artystyczna Pracownia Kapeluszy Marii Sell trwała dziesiątki lat przy ul. św. Marka 21. Zamówienia na nakrycia głowy składały tu Wisława Szymborska czy Anna Polony. Dziś kapelusze dzieła sztuki Marii Sell można obejrzeć tylko w internecie.

W jego pracowni prawie nic się nie zmieniło: od frontu półki z czapkami wypełnione po brzegi, na zapleczu urzędzenia, wykroje, formy w większości odziedziczone po przodkach. – Szycie maciejówek, rogatywek czy meloników nie wymaga nowoczesnych technologii – śmieje się pan Józef.

Do normalnego ściegu wciąż używa starego łuczownika, bo to wytrzymała maszyna. Nie to, co jej współczesne wersje. No i mistrz Chorąży lubi wyzwania. – Jakiś czas temu szyłem czapki noszone przez żołnierzy I Kompanii Kadrowej Legionów Polskich. Fotografia zwykle nie wystarcza, żeby zrobić dobrą replikę. Trzeba sprawdzić, jaki był oryginał. – Jak mam takie zlecenie, zaglądam do muzeów – mówi. Potem robi formę lub sięga po starą. Niektórych tekturowych szablonów używał jeszcze dziadek Kozłowski. Podobnie jak stalowych nożyczek. Są na nich jego inicjały.

Szycie każdej czapki zaczyna się przy drewnianym stole.

Potem modeluje się ją na klockach wykonanych z drzewa orzechowca, tak zwanych główkach, które nadają poszyczanemu wedle wzoru materiałowi właściwy kształt. Tak jest teraz i tak było przed stu laty. – Klocki są ciężkie i przypominają wielkie puzzle, które układają się w metalowej obręczy. Każdy fason wymaga innego ułożenia.

W małym sklepie przy Krakowskiej kolejek nie ma, choć przecież po czapki nadal przychodzą tu studenci lub profesorowie. Raz na jakiś czas zjawia się polityk i komentator Jan Rokita: – Zwykle przynosi kilka pudeł z kapeluszami, które odświeżam, dopasowuję i czyszczę.

Dorożkarze zamawiają meloniki, bo się muszą na koźle dobrze się prezentować. Turyści na ogół robią zdjęcia, a tylko czasami zakupy. – Co do klientów, to powiem, że... mężczyźni są trudni. Przychozą dopiero, jak zacznie się robić zimno. I chcą czapkę od ręki – żartuje Józef Chorąży. Wtedy sprzedają się kaszkiety. Wprowadzono je do użycia w XVIII wieku w wielu armiach, także w polskiej.

Na razie rzemieślnik z Kazimierza na brak pracy nie narzeka. Tyle że następców ciągle nie ma. Dzieci wybrały inną drogę.

Mucha oskarowa ma wąską talię

Roman Bilski sprzedaje i szyje krawaty, choć z zawodu jest bosmanem żeglugi śródlądowej. Wysocki, postawny. Z czasem okazało się, że także precyzyjny i z wyobraźnią. Chętnie opowiada o rodzinnej rzemieślniczej tradycji. Przejął firmę po znanych przodkach. Pradziad Jan, z wykształcenia chemik, pod koniec XIX wieku wyruszył za ocean w poszukiwaniu lepszego życia. Znalazł dobrą pracę, a że fachowcy o jego kwalifikacjach byli poszukiwani także

na czarnym rynku, dodatkowo zajął się produkcją tak zwanej „medical whisky”, czyli bimbru. Wkrótce po powrocie zmarł. Przywiezione z Ameryki dolary odziedziczył jego syn, także Jan. Przeznaczył je na rozwój interesu.

W 1902 roku przy ulicy Floriańskiej Jan i Natan (austriacki Żyd) otworzyli firmę. Nazwali ją od połączenia swoich imion JaniNa; tak właśnie powstało skojarzenie, że Janina to dziewczyna. Wspólnicy mieli głowę do interesów i zagraniczne kontakty. Na półkach w JaniNie aż ciasno było od modnych kapeluszy, eleganckich kołnierzyków, mankietów i koszul oraz wytwornych muszek zakupionych w Wiedniu. Sklep przy Floriańskiej stał się sławny w Krakowie i okolicy. – Krawaty, które dzisiaj kojarzone są z firmą JaniNa, nie były jeszcze wtedy modne, panowie nosili muszki – opowiada Roman Bilski.

Z czasem Jan wraz ze współnikiem zaczęli szyć koszule. Firma kwitła. Jan przekazał ją synowi Stanisławowi, choć ten, z zamiłowania pilot, wcale się do tego nie palił. Dopiero pod groźbą wydziedziczenia przejął po ojcu rodzinny biznes.

Pracownia mieściła się już wtedy przy placu Dominikańskim 5. Stanisław ożenił się z Janiną Bilską. I tak jak chciał ojciec, imię synowej pasowało do nazwy firmy.

Z dwójki dzieci to właśnie Tadeusz, nie Mirosław, po latach przejął rodzinny interes.

– Wcześniej kuzyn studiował metaloznawstwo i jednocześnie uczył się fachu od ojca. Należał do trzeciego pokolenia w rodzinie, która o krawatach, muszkach, hiszpańskich pasach i wiązaniach wiedziała niemal wszystko.

W tamtym czasie firma JaniNa cieszyła się renomą także wśród zagranicznej klienteli. – W sklepiku przy placu Dominikańskim krawatów było kilkaset rodzajów – wspomina Roman Bilski. Opowiada o tak zwanym śledziu, który chętnie nosiła młodzież i kobiety. I o tym, że najpopularniejszy był swego czasu śledez classic oraz nieco węższe, przeznaczone do lekkich garniturów i jedwabnych marynarek, biznes classic i super classic.

Mistrz Bilski, jak jego poprzednicy, na krawatach i muchach zna się perfekcyjnie. Pokazuje, jak wygląda klasyczny amerykański węzeł shelby. – Może być gładki i z żezką, czyli z charakterystycznym wgłębieniem. Delikatnie bierze krawat w dłoń, nie patrzy przy tym w lustro. Sprawnie przekłada raz jeden, raz drugi jego koniec, potem przewleka wygładza węzeł i demonstruje łzę...

W niewielkim sklepiku i pracowni krawatów są setki. Najwięcej gładkich. Standardowa długość to 148 – 150 centymetrów. Ale gdy trafi się wysoki klient, trzeba dołożyć nawet i 20 centymetrów.

Ostatnio zapanowała moda na poszewki, wkładane do brustaszy, czyli górnej, zewnętrznej kieszonki marynarki. Podczas uroczystych okazji – jak ślub – poszewka sąsiaduje z kwiatem w butonierce.

Tuż obok krawatów wiszą fulary. To jakby szale czy apaszki, które można wiązać pod szyją. Pojawiły się, gdy klimat nam się oziębił i najpierw przyjęły się w armii. Żołnierze zakładali te niby szale, żeby nie marznąć. – U nas kupi pani eleganckie, jedwabne, dwustronne. Brzegi zszywa się na lewej stronie, potem trzeba materiał przewlec na właściwą i do-



Roman Bilski, krawiec krawatów, muszek i fularów

brze wyprasować. Ale że do fularów, jak mówi Roman Bilski, trzeba dorosnąć, nie cieszą się wzięciem.

A w każdym razie mniejszym niż muszki, których szeregów w kilkunastu kolorach i odcieniach wiszą za przepierzeniem. Oskarowa ma skrzydła szerokie na siedem centymetrów i cienką talię. Muszka prosta, tak zwane skrzydełko nietoperza, jest wąska i mniej wcięta. – Jeśli chodzi o muszki wiązane jesteśmy na rynku monopolistami – chwali się pan Roman.

A pasy smokingowe to już wyższa szkoła krawieckiej jazdy – dodaje. Każdy jest szyty na konkretną osobę. Trzeba go dopasować do kształtu brzucha i bioder. Ważne są plisy, które trzymają pas we właściwym miejscu. Szyje zajmują mistrzowi minimum pięć godzin. – I to jeśli siądę do elektrycznej maszyny, bo ta na korbkę ma już ponad sto lat i jest dziś tylko ozdobą. Przypomina, że nasz zakład ma wielką tradycję.

Rozmawiamy, wspominamy, oglądamy. Klientów na razie nie ma.

Najlepsze dla zakładu były lata 70. ubiegłego wieku. – Stałym gościem był aktor Jerzy Bińczycki. Dziś najczęściej przychodzą profesorowie albo nowożeńcy. Ostatnio dziewczyny z jakiejś korporacji zamówiły kilkadziesiąt muszek dla kolegów z pracy. Dla żartu. Ale dobre i to – śmieje się Roman Bilski. – Może któryś potraktuje żart poważnie. Może wpadnie i pozwoli nam dalej pisać muszki historię.

Pazurek nie jest grawerem

Niemal naprzeciwko najstarszej pracowni zegarmistrzowskiej w mieście, która przetrwała dwie wojny światowe i od 1899 roku pracuje w niej już czwarte

pokolenie Płonków (Józef, Zbigniew, Łukasz, Filip), przy Szewskiej 21 rozsiadł się grawer Alojzy Borowicz. Ma 84 lata i ani myśli o emeryturze. Ma plany na przyszłość.

Z ruchliwej ulicy przez długą sień wchodzę w spokój i mruczenie kota Pazurka. – Kiedyś mieliśmy Kaśkę. To była światowa kocica. Dostawaliśmy jej zdjęcia z Japonii, Norwegii i Anglii, na których pozowała – mówi pan Alojzy.

Czas odmierzają tu stare zegary, a na ścianach od lat wiszą grafiki profesora Wiśniewskiego, zdjęcia ułanów i... szabla. – To kopia – przyznaje grawer. – Ale pasuje mi do wystroju pracowni.

Pasuje też rysunek przedstawiający Tatry. Bo pan Alojzy jest zafascynowany górami. – Tylko że dziś widoki przywołuję już tylko we wspomnieniach – uśmiecha się do przeszłości.

Grawerem został przez przypadek. Wcześniej stracił oboje rodziców. Trafił do domu dziecka. W bocheńskim liceum w 1952 roku jako siedemnastolatek zdał maturę. – Na studia nie było mnie stać. Szukałem pracy. Myślałem o kursie na księgowego. Ale spotkałem znajomego z dawnych lat. Odwiedziłem go w Krakowie. Alfons Kołodziejczyk miał pracownię przy Rynku Głównym i zaproponował mi naukę zawodu. Zostałem i to była jedna z najlepszych decyzji w moim życiu – podkreśla rzemieślnik.

Okazało się, że ma talent do grawerki. Chłonał wiedzę w ekspresowym tempie i po krótkim czasie potrafił wykonać najbardziej skomplikowane zadanie. Zdał egzaminy – czeladniczy i mistrzowski. Znalazł pracę w dziale grawerowania. Od lat 90. ubiegłego stulecia pracuje na własną rękę, a jego



Alojzy Borowicz, grawer

Niemal naprzeciwko najstarszej pracowni zegarmistrzowskiej w mieście, która przetrwała dwie wojny światowe i od 1899 roku pracuje w niej już czwarte pokolenie Płonków (Józef, Zbigniew, Łukasz, Filip), przy Szewskiej 21 rozsiadł się grawer Alojzy Borowicz. Ma 84 lata i ani myśli o emeryturze.

pracownia jest bodaj najstarszym tego typu zakładem w Krakowie.

– Grawerowanie to odtwarzanie. Wszystko wykonuję według projektów graficznych, bo mam wyobraźnię przestrzenną. Nie potrzebuję modelu, żeby wiedzieć, jak coś powinno wyglądać – mówi mistrz. – Nie posługuję się jak współcześni grawerzy nowoczesną techniką, choć zachwyca mnie wykonywanie matryc w technice 3D. Coś niesamowitego! Tyle że teksty grawerowane przez maszyny są płaskie, nieskazitelne. Te robione ręcznie – unikatowe.

Wykonuje się więc w jego pracowni sporo prac znanych artystów, plastyków, grafików i rzeźbiarzy. – Na medale często nakładamy emalię. Wtapia się ją w miejsca wyżłobione w metalu – opowiada pan Alojzy. Na początku jest to proszek rozpuszczony w wodzie, który wypala się w temperaturze 800 stopni. Nadmiar trzeba zeszlifować, jeszcze raz wypalić i wypolerować. Oprócz emalii używa się srebra albo złota.

Zresztą pracownia oferuje szeroki wachlarz usług, od grawerowania po wyrób pieczętek. – I to jest nasz

klucz do sukcesu, że nie ograniczamy się tylko do jednego zadania – podkreśla rzemieślnik. Tyle że dzisiejsi klienci chcą mieć wszystko gotowe od razu, najlepiej na poczekaniu. A grawerstwo wymaga precyzji, skupienia, dokładności. – U nas, droga pani, nie pracuje się na wyścigi. To jest sztuka i trzeba ją szanować. A wtedy i ona jakoś człowieka uszanuje. Gdy patrzę na te sterty matryc, nie mogę uwierzyć, że samych medali zrobiłem kilkanaście tysięcy. Szkoda, żeby ten kawał mojego życia i kawał historii grawerskiej przepaść. Dlatego kupiłem lokal przy Karmelickiej. Urządzę muzeum grawerstwa. Utrwałę wspomnienia.

„Wszelkie roboty w zakres szklarstwa wchodzące”

Ulica św. Krzyża 3. Wykonuje się tu, jak głosi ponad 120-letni szyld, „wszelkie roboty w zakres szklarstwa wchodzące” – od szklenia witryn po naprawę okien i montaż lusterek.

– To miejsce zabytkowe – mówi Zbigniew Świerblewski, elektronik z zawodu, który szklarzem został ponad 30 lat temu. – Konserwator zabytków wyklucza wstawienie tu jakichkolwiek większych maszyn. Pracujemy ręcznie. A w razie dużych i skomplikowanych zamówień musimy korzystać z usług warsztatu wyposażonego w precyzyjne urządzenia – opowiada właściciel.

Warsztat Zbigniewa Świerblewskiego jest najdłuższym działającym zakładem szklarskim w mieście. Jego historia sięga lat 80. XIX wieku.

Na najwyższej półce zabytkowego regału właściciel przechowuje *Księgę Cechu Szklarzy w Krakowie* z 1960 roku. Znajduje się w niej w niej statut z 1778 roku. Nieopodal okna wisi stuletni cyrkiel do cięcia



szkła. Można mu się przyjrzeć z bliska. Gospodarz pokazuje wiedeński wzornik z próbkami kolorowego i białego szkła. – Unikatowy. Jak te farchy, czyli przegrrody, na różne rodzaje i rozmiary szklanych tafli. Nigdzie już takich nie znajdziecie – mówi pan Zbigniew.

W zakładzie używa się też nożyków szklarskich zakończonych kółkami ze zbiorniczkami na olej zapewniającymi odpowiedni poślizg i gładkość cięcia. Tylko diament nie wymagał użycia płynu. Pan Zbigniew zachował małą kolekcję noży z diamentami, które stanowią cenną pamiątkę. Dziś mało kto umie ciąć szkło diamentem, no i trudno taki diament kupić.

Wszystko tu zachwyca, choć wewnątrz prosi się o remont. Na przykład piękna witryna, którą zamówił Samuel Finkelstein, założyciel firmy. Składa się z drzwi wejściowych i okna wystawowego, ma zwiżane – nieużywane dziś – wiedeńskie żaluzje, profilowane drzwi, okna i oryginalne okucia. Niezwykłe są szklane, czarne szyldy ze złożonymi literami, właściwie dla okresu dwudziestolecia międzywojennego z czterocyfrowym numerem telefonu w rogu.

Od Finkelsteina zakład przejął młody szklarz Tadeusz Heretyk, ojczym pana Zbigniewa. – Przybrany ojciec praktykował w znanych krakowskich warsztatach, między innymi w założonej w 1880 roku firmie Teodor Zajdzikowski i Syn. Wyszkoilił 15 uczniów. I mnie razem z nimi. Na tzw. sztukę wykonałem szklaną literę „Z” – wspomina.

Komisja przyznała mu papiery mistrzowskie, mimo że litera, choć niezwykle piękna, po ocenie rozpadła się ponoć w rękach jednego z egzaminatorów.

Przed laty żywą wizytówką zakładu była suczka Diana. Miała legowisko na jednym z blatów, leni-

Warsztat Zbigniewa Świerblewskiego jest najdłuższym działającym zakładem szklarskim w mieście. Jego historia sięga lat 80. XIX wieku.

wie przyglądała się pracy szklarzy, reagowała, gdy w drzwiach stawał klient – uśmiecha się właściciel. Wtedy młody chłopak, teraz stateczny pan po siedemdziesiątce.

– Dziś mało kto wchodzi do warsztatu wprost z ulicy – mówi. – O tym, że szykuje się praca, informuje dzwonek telefonu. A ja wszystko trzymam w garści.

*

Grawer, szklarz, czapnik, producent krawatów i muszek trwają. Tak jak kilku szewców, jak pracownia parasoli przy ul. Smolki 4. Ale inne zakłady znikają bez śladu. Artystyczna Pracownia Kapeluszy Marii Sell trwała dziesiątki lat przy ul. św. Marka 21. Zamówienia na nakrycia głowy składały tu Wisława Szymborska czy Anna Polony. Dziś kapeluszone dzieła sztuki Marii Sell można obejrzeć tylko w internecie.



Majka Lisińska-Koziół – absolwentka prawa i dziennikarstwa na UJ. Zajmuje się przede wszystkim reportażem społecznym i sportowym. Laureatka wielu nagród dziennikarskich, między innymi „Złotej Gruszki”.



Krystyna Janda – mądra (i odważna) obywatelka

Tekst: Paweł Kopeć Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

„Za mądrość, która w dzisiejszych czasach jest też odwagą, oraz za niezwykle wzruszenia artystyczne, które dają nam także obywatelską nadzieję” – 1 czerwca Krystyna Janda odebrała z rąk prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego przyznawany przez nasz miesięcznik medal „Za mądrość obywatelską”.



Kiedy w Sali im. S. Wyspiańskiego Urzędu Miasta Krakowa wybrzmiał ostatni dźwięk *The Sound of Silence* w wykonaniu Jorgosa Skoliasa i Leszka Hefi Wiśniowskiego, głos zabrał prof. Jacek Majchrowski. „Dobrze się stało, że mamy w Krakowie taki medal, który bardzo wiele o naszym mieście mówi. Ten medal określa miasto otwarte, promujące pozytywistyczny polski patriotyzm. Już za parę dni będziemy obchodzić 30. rocznicę wolnych wyborów. Ta rocznica pokazuje nam, jak na lepsze zmieniła się nasza ojczyzna w ciągu tych lat. Stało się tak między innymi dzięki zasługom takich osób jak Krystyna Janda” – mówił prezydent.

Laudację na cześć laureatki wygłosił Jerzy Stuhr. Dziękował laureatce za odwagę w życiu i w sztuce, za intuicję i inteligencję.

Sama Krystyna Janda, kiedy już odebrała nagrodę z rąk Jacka Majchrowskiego, dziękowała: „Ostatnie 30 lat to najlepsze 30 lat w moim życiu. Ale przez ostatnie lata każdego dnia budzę się z uczuciem, że ktoś mi zrobił krzywdę. Każdego dnia staję oniemiała, ponieważ słyszę, jak ktoś wygłasza rację, na któ-

re nie mam odpowiedzi, na które nie można nawet zareagować. Robię, co umiem, i jest dla mnie zaskoczeniem, ale i wielkim honorem, że moje działania zostały w ten sposób docenione”.

Tego samego dnia Janda wzięła udział w debacie „Kobiety przynoszą nam wolność” w Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAR. Obok laureatki przy stole usiadły Ewa Lipska, Maria Anna Potocka oraz Iga Dzieciuchowicz, a spotkanie moderował Andrzej Morozowski. Prowadzący pytał uczestniczki między innymi, czy czują się feministkami („Wciąż spotykam mężczyzn kompletnie niewydukowanych w sprawach feminizmu czy praw kobiet w ogóle” – zżymała się Dzieciuchowicz), pojawił się wątek obecności kobiet w polityce, ruchu #metoo czy różnicy płac, ale i paradoksów postulatów feministycznych. Morozowski zapytał także Krystynę Jandę o grafikę „Daj głos”. „Dla mnie był to jedynie obrazek o korupcji wyborczej. Nie zwracałam uwagi, czy jest na nim kobieta czy mężczyzna” – wyjaśniała aktorka. pk



Krystyna Janda z Krystyną Zachwatowicz

Za odwagę, za intuicję, za inteligencję

Laudacja wygłoszona przez Jerzego Stuhra na cześć Krystyny Jandy podczas gali medalu „Za mądrość obywatelską”



Tyle pełnych przygód artystycznych lat pracowałem razem z Krystyną, że czuję się, jakbym miał wygłaszać laudację o żonie. Więc zrezygnuję z oficjalnego tonu i będę mówił z głowy. Szanowni Państwo. Chciałem się przygotować do tej laudacji, znalazłem wszystkie materiały na temat naszej laureatki, przystąpiłem do pracy, włączyłem drukarkę i... zabrakło mi papieru. Pomyślałem sobie, że to nie ma sensu: tych wszystkich ról, tych wszystkich reżyserów, tych zmagających się z dwoma scenami teatru: o tym wszystkim wiemy, to wszystko oglądamy codziennie, jesteśmy tego świadkami. Poznajemy szczegóły, czytając kolejne tomy „dzienników”, w których dzieli się z nami sobą. Pomyślałem sobie, co jest najważniejsze, aby wychwycić z tych wszystkich lat? Co podziwiam, czego zazdroścę, co cenię?

Cenię odwagę. Odwagę w życiu i w sztuce. Odwaga w sztuce to jest dla mnie takie coś, że pociąga nas, że podnieca nas to, co w pierwszej chwili wydaje się niewykonal-

ne. Dopiero wtedy zaczyna się przygoda artystyczna: kiedy stajemy przed białą kartką i nie wiemy, jak ją zapisać. Nie ma żadnej podpowiedzi, robimy coś kompletnie oddalonego od jakiegokolwiek stereotypu. Jesteśmy w tym sami. Nikt nam nie może pomóc. I dlatego podziwiam jej odwagę. Kiedy informuje mnie, że będzie robić rzecz, która wydaje się nie do ogarnięcia sceną, ekranem, kamerą, aparatem operowym. A jednak ją to pociąga. To jest odwaga, to jest odwaga twórcy. To się ceni najbardziej. Jak powiedziałem: jest się w tym samym, nikt ci w tym nie pomoże. Potem, kiedy przystąpisz do realizacji, znajdzie się wielu pomocników. Każdy będzie chciał dołożyć swoją cegiełkę. Ale w tym, gdzie się to rodzi, jest tylko dusza i mózg artysty. Dziękuję ci za tę odwagę.

Dругa rzecz, którą podziwiam – a której mi czasami brakuje – to jest intuicja. Jak wiele razy po prostu działałaś bezwiednie... a bezbłądnie. W odpowiedzi, w realizacji, w roz-



mowie z widzem. Tak, zapamiętałaś dobrze to zdanie naszego nauczyciela, naszego przyjaciela Andrzeja Wajdy. Chcesz rozmawiać z publicznością, ale na twoich warunkach. Jest to dla nas wielkim mottem do pracy. Czy dzielisz się na łamach dziennika czy ze sceny lub z ekranu: chcesz rozmawiać z widzem. Są artyści, którym ten widz nie jest aż tak bardzo potrzebny. Bardziej jest im potrzebne to, aby siebie uzewnętrznić artystycznie. Ty zaś należysz do artystów, którzy chcą rozmawiać z widzem codziennie. I to w tak różnych gatunkach – od farsy, po monolog dramatyczny-

ny – ja sam czasem miałbym opory. Rozmowa z widzem, ale na twoich warunkach. Widzimy czasem artystów, którzy chcą rozmawiać z widzem na warunkach widza. Wtedy się robi niebezpiecznie. Robi się albo grafomańsko, albo kiczowato. Dziękuję ci, że tobie to grozi.

Jest jeszcze inteligencja – zawsze bardzo się boję twoich uwag. Żaliłem się już kiedyś, że „kobieta mnie bije”. Ale i tak mam zawsze tremę, kiedy pani Krystyna jako dyrektor teatru albo reżyser przychodzi, kiedy mam u niej występować bądź reżyserować. Zagra-

łem u ciebie jakieś 500 razy, z tobą kolejne 200. Jest dla mnie wielką dumą, szczęściem i radością wychodzić z tobą na scenę, ponieważ nigdy nie wiem, co mnie spotka. Zawsze jest element zaskoczenia, niezwykle ekscytujący. Inteligencja w ocenie pracy swoich współpracowników, których masz tak wielu u siebie w teatrze. Wszyscy czekają na twoje uwagi – nie tylko od koleżanki – ale od kogoś, kto bierze za całokształt artystyczną odpowiedzialność. To jest niezwykła umiejętność.

Na koniec powiem jeszcze o kobiecości. Posłużę się anegdotą. Występowaliśmy ra-

zem na scenie we Włoszech w czasie festiwalu teatralnego w Toledo. Na widownię przyszedł Gianni Versace. Po spektaklu powiedział, że po raz pierwszy widzi kobietę, która potrafi tak eksponować swoje nogi. Zapamiętaliśmy to dobrze – zarówno ja, ale najbardziej Edward Kłosiński, przyszły mąż Pani Krystyny, który następnie kręcił i eksponował te nogi w filmie *Bez znieczulenia*.

Cieszę się ogromnie, że mogę być tu razem z Tobą w tak ważnej chwili, w moim rodzinnym Krakowie.

„Żyd, kolaborant, zdrajca” – żołnierz AK

Tekst: Marcin Barcz

W poświęconym Władysławowi Bartoszewskiemu zbiorze anegdot *Pędzę jak dziki tapir* znajduje się kilka opowieści, których humor polega na gorzkiej refleksji nad stanem ludzkiej kondycji.

Jest wśród nich historia dotycząca sierpniowych obchodów rocznicy powstania warszawskiego: „Kiedyś premier Tusk poprosił Władysława Bartoszewskiego, żeby wspólnie złożyli kwiaty pod pomnikiem Gloria Victis. Profesor do razu się zgodził: – Dobrze, pójdziemy razem. Pan będzie mógł sobie myśleć, że gwizdzą na mnie. A ja – że na pana”.

Zgromadzeni pod pomnikiem zwolennicy opozycyjnego wówczas PiS gwizdali i buczeli, więc zarów-

będzie czynem godziwym, aktem słusznym, Bogu przyjemnym. Po prostu wyręczą sprawiedliwość Bożą. Przykazanie: nie zabijaj! – nie może dotyczyć Niemców, szatanów, potworów, zbrodniarzy. (...) Takież twój obraz, Polsko katolicka, przedmurzu chrześcijaństwa”.

Takież też echo owej narodowo-katolickiej mentalności w Polsce dzisiejszej. Takie też głęboko zakorzenione powody niechęci do Bartoszewskiego. Jedna z krążących w internecie publikacji nosi tytuł *Bartoszewski – Żyd, kolaborant, zdrajca*. Właśnie: Żyd, a jeżeli nie Żyd, to przynajmniej żydowski agent, opłacany przez Izrael!

Nie ma sensu przytaczanie bzdurnych oskarżeń. Dość powiedzieć, że do wspomnianych motywacji „narodowo-katolickich”, zabarwionych zwykłym antysemityzmem, dochodzi często uraza o charakterze osobistym. Bo taką dla środowiska popierającego rządu PiS w latach 2005–2007 musiał być tekst *Marzę o kraju, którego nie musiałbym się wstydić*, opublikowany przez Bartoszewskiego we wrześniu 2007 roku: „Starałem się popierać zarówno PO, jak i PiS za każdym razem, kiedy któraś z tych partii podejmowała działania w ostatecznym rozrachunku korzystne dla Polski. (...) Są jednak granice milczenia. Są sytuacje, w których milczeć po prostu nie wolno. (...) Jako byłego ministra spraw zagranicznych najbardziej chyba przerażała mnie nieprawdopodobna niekompetencja prezentowana przez członków tego rządu w zakresie polityki międzynarodowej. Jest to bowiem dziedzina, w której za sprawą braci Kaczyńskich Polska ucierpiała najdotkliwiej”.

Przekraczając owe granice milczenia, Bartoszewski dla części rodzimej klasy politycznej i jej zwolenników stał się „Żydem, kolaborantem, zdrajcą”, człowiekiem, na którego wypadało gwizdać, buczeć i płuć podczas powstańczych uroczystości.

Dzisiaj na warszawskim Cmentarzu Wojskowym znajduje się grób Władysława Bartoszewskiego opatrzone dwoma drogimi mu słowami: „Żołnierz AK”. I niezależnie od pojawiających się w internecie wulgarnych komentarzy, na grobie tym w rocznicę urodzin, śmierci – oraz każdego 1 sierpnia, w rocznicę powstania – płoną setki zniczy.



Marcin Barcz – publicysta, były asystent Władysława Bartoszewskiego, od 2018 r. kurator wystawy o Władysławie Bartoszewskim w Niemczech.

Na warszawskim Cmentarzu Wojskowym znajduje się grób Władysława Bartoszewskiego, opatrzony dwoma drogimi mu słowami: „Żołnierz AK”. Każdego 1 sierpnia – w rocznicę Powstania – płoną na nim setki zniczy.

no na premiera RP, jak na Bartoszewskiego, w czasie powstania adiutanta placówki informacyjno-radiowej „Anna”, odznaczonego Krzyżem Walecznych.

Sama służba Bartoszewskiego w powstaniu do dzisiaj dyskredytowana jest w publikacjach tak zwanych portali narodowych. Główny zarzut tyczy tego, że służąc w radiostacji i redagując biuletyny dla ludności cywilnej, nie walczył z bronią w ręku. Pomijając fakt istotnej roli, jaką w ogarniętym walkami mieście pełnił przepływ informacji, warto zwrócić uwagę jak naiwno-przygodowe jest takie wyobrażenie żołnierza-bohatera. Tymczasem Bartoszewski podkreślał wielokrotnie, że w czasie wojennego dramatu starał się nieść pomoc (m.in. w ramach konspiracyjnej Rady Pomocy Żydom) i ratować życie – nie zaś odbierać je komukolwiek.

Zachowanie człowieczeństwa w szale podsyconej ideologicznie nienawiści i pozostanie wiernym prawdziwie chrześcijańskiemu przykazaniu – to prawdziwe bohaterstwo w czasach próby. Dziwi trudność zrozumienia tak prostego faktu przez środowiska afiszujące się przywiązaniem do wiary. A może dziwić nie powinna? Pisała przecież Zofia Kossak w wydanej przez Front Odrodzenia Polski konspiracyjnej broszurze *Jesteś katolikiem... Jakim?*: „Istnieje rodzaj katolików gorących, praktykujących, (...) nienawidzących niektórych bliźnich równie mocno, jak miłujących Boga. Na przykład: jesteś katolikiem, więc bij Żyda! (...) Dla innych przedstawiciele tegoż typu nienawiść ta koncentruje się na Niemcach lub volksdeutschach. Marzą o zemście, o różnięciu znienawidzonych wrogów. Zdaniem ich ta zemsta

Comarch SA, krakowska firma specjalizująca się w softwarze, zatrudnia ponad 6 tysięcy ludzi, ma przychody ponad 1,3 miliarda złotych rocznie, 54 spółki córki, 91 biur w 61 miastach w 32 państwach i wystawia faktury w ponad stu krajach na świecie. Z perspektywy jej prezesa prof. Janusza Filipiaka rewolucja internetowa może być zagrożeniem dla człowieka, ale też wielkim wyzwaniem dla ludzkości.

Cień wielkiej Chmury

Tekst: prof. Janusz Filipiak Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

W obecnych czasach nie widzimy rzeczywistości takiej, jaka jest, tylko takiej, jak nam to prezentuje globalna Chmura.

Najpierw kilka liczb. 68 proc. globalnej populacji korzysta z urządzeń mobilnych. A na świecie jest 7,5 miliarda ludzi! Niby 5,5 miliarda to biedota w Afryce i Azji. Lecz i owe 5,5 miliarda korzysta z urządzeń mobilnych. Zatem oni też znajdują się w globalnym obiegu informacji. Na przykład: byłem w Turcji, coś tam kupiłem i oni wystawili mi fakturę nie z komputera, nie z jakiegoś systemu informatycznego, ale po prostu z komórki. Bo wszystkie te biedne kraje korzystają jednak z komórek. Czyli: mają biedę, nie mają co jeść, ale smartfony posiadają.

Liczba serwerów na świecie przekracza 50 milionów. I nie są to serwery wolno stojące, lecz połączone siecią telekomunikacyjną. Sam Google ma dziś ponad milion serwerów! A już w 2016 roku serwerownie Google miały ponad 10 exabitów danych.

Tu pojawia się postać Teilharda de Chardin – fenomenalnego człowieka i filozofa, jezuitę, który w 1954 roku pracował akurat w Chinach i właśnie tam doszedł do wniosku, że ludzkość rozwija się w kierunku rosnącej złożoności i z coraz większą przenikającą się globalną inteligencją. Czyli *de facto* przewidział dzisiejszy internet.

Faktycznie, jeśli mamy smartfona i cokolwiek na nim robimy, to jesteśmy częścią tej globalnej Chmury informatycznej.

Chmura to zespół środków technicznych, serwerów, sieci telekomunikacyjnych i wszystkich informacji, które dostajemy. Chmura w dużym uproszczeniu to systemy gromadzenia danych, algorytmy analizy danych, *machine learning*, sieci neuronowe oraz metody wypracowywania decyzji. W istocie odwzorowuje to ludzki mózg. Przecież my zbieramy informacje, a potem mając w głowie bazy danych, przetwarzamy je za pomocą algorytmów, podejmując decyzję. To, co się dzieje w globalnej Chmurze informatycznej, to jest dokładnie to samo.

Mamy rozmaite systemy działające w Chmurze.

Najpierw: systemy pozyskiwania i propagowania informacji – Google, Facebook, Instagram, Twitter. One zbierają informacje i później się nimi dzielą. Warto pamiętać, że one same nie wytwarzają tej informacji. To my,

użytkownicy, sami dajemy im – jak frajerzy – tę informację na talerzu. Oni zaś ją bezlitośnie wykorzystują.

Druga grupa usług z Chmury to transakcje *online*. Dawniej szliśmy do sklepu na rogu i w nim kupowaliśmy potrzebne nam rzeczy. W tej chwili mamy wiele systemów, które świadczą usługi z internetu – Amazon, Alibaba, muzyka, filmy. Już nie idziemy do wypożyczalni wideo, lecz po prostu wszystko ściągamy z internetu.

Trzecia grupa to aplikacje biznesowe, czyli banki, sieci handlowe itd., gdzie cała informatyka również jest dostarczana z Chmury.

Architektura Chmury to złożone systemy informatyczne i telekomunikacyjne. Żeby operować współczesną Chmurą trzeba tysięcy inżynierów.

Kiedy zaczynała się informatyka na AGH w 1974 roku, programowaliśmy w Fortranie, a na UJ komputer miał 64 kilobajty pamięci centralnej. Żart? Tak. Ale wtedy trzeba było programować, a dzisiaj już nie. Dzisiaj nacisk kładzie się na wiedzę systemową, czyli na złożoność systemów informatycznych.

A jak wykorzystywane są owe systemy globalnej inteligencji?

Jako przykład pierwszy podaje się zwykle to, jak globalne korporacje sterują naszą świadomością w przypadku zakupów.

Ale jest i przykład drugi, czyli globalna inteligencja w Chmurze, która służy do zwiększenia skuteczności leczenia.

Oczywiście: to, że internet rządzi naszą świadomością, budzi wiele wątpliwości, zwłaszcza jeśli chodzi o sterowanie zwyczajami zakupowymi. Lecz w odniesieniu do systemów telemedycznych nie ma wątpliwości, że to one pomogą nam zadbać o zdrowie.

Największe zastrzeżenia są w przypadku manipulowania naszymi preferencjami politycznymi. Tu trzeba zrozumieć jedno: wbrew pozorom to nie Rosjanie w sensie dosłownym wpływają na preferencje polityczne we Francji czy w Stanach Zjednoczonych. To może być kilkunastu programistów, którzy programują roboty i chatbot – to one generują ten zalew propagandy. To sztuczna inteligencja działa na tym polu – oczywiście początkowo wytyczona przez cele polityczne.

A na czym polega **problem telemedycyny?**

Otóż lekarz może w ciągu dnia przyjąć ograniczoną liczbę pacjentów. Tymczasem w naszej cywilizacji wszyscy chcą być leczeni. Jednocześnie coraz mniej osób chce być lekarzem. To nie wygląda źle w Polsce, bo tu ciągle ten zawód jest atrakcyjny, natomiast w świecie studia medyczne cieszą się coraz mniejszym powodzeniem – są trudne, a zawód jest uciążliwy, bo zależy od liczby pacjentów, których przebadasz. To się kalkuluje coraz słabiej.

Ale i w Krakowie jest dziś więcej tomografów USG niż radiologów, którzy są w stanie zrobić opis takiego badania.

Dlatego globalna Chmura to wielka szansa na lepszą opiekę medyczną, zwłaszcza diagnostykę. Bo nie jest już tak, że przychodzi baba do lekarza, lecz baba klika w sieci, przedstawia objawy i ta Chmura medyczna próbuje jej pomóc. To się dopiero zaczyna, ale już wielkie koncerny wydają setki milionów dolarów na badania nad sztuczną inteligencją w diagnostyce.

I pojawienie się jej w medycynie jest nieuniknione.

Najciekawsze jest jednak **sterowanie zakupami**, czyli sterowanie naszą świadomością.

Coraz rzadziej to, co kupujemy, jest tym, co naprawdę byśmy chcieli kupić. Kupujemy to, co nam podpowiada Google. Każdy ulega tym reklamom.

Rozwija się bowiem tak zwany marketing spersonalizowany: obojętnie, co klikamy, jesteśmy profilowani w Chmurze i – na przykład – Google ma pełną informację o naszym zdrowiu, przyzwyczajeniach i skłonnościach.

Proszę nie mieć złudzeń. Wszystkie dane – imię, nazwisko, lokalizacja (przecież dostajecie z Google'a pytanie o opinię na temat w zasadzie każdego miejsca!), to wszystko siedzi w tej Chmurze! W efekcie sztuczna inteligencja profiluje każdego z nas.

Nie pomoże na to żadne RODO. Jeśli ktoś korzysta ze smartfona i na coś się tam zgodził (a czy ktoś czyta te wielostronicowe regulaminy, które się akceptuje, godząc się na korzystanie z jakiejś aplikacji!?), to już jest w Chmurze.

Krok dalej to smartwatche. W tej chwili Apple robi nawet EKG. To nie jest EKG pełne, bo tylko jednopunktowe, ale cały bit leci do Chmury. Ponadto w Stanach wszystkie firmy, które robią nam badania, wchodzą w umowę z Apple. Czyli

Chmura wie wszystko o naszym zdrowiu.

W ten sam sposób dobierze dla nas każdą ofertę.

Dlatego klasyczne sieci sprzedaży mają coraz słabsze wyniki finansowe, bo ludzie nie kupują u nich droższych towarów, tylko przychodzą, oglądają i kupują w Amazonie czy mu podobnych.

W tej chwili kapitalizacja Amazonu przekroczyła bilion dolarów i jest on największy.



To globalny lider e-commerce – sam gra we własnej lidze. Jego twórca Jeff Bezos ma 55 lat i 137 miliardów USD. I ma tylko jeden problem: w ciągu roku jego majątek się zmniejszy o połowę, bo właśnie się rozwodzi.

Amazon to jest absolutny dominator: sprzedaje za 107 miliardów dolarów rocznie. Co ciekawe, na liście największych są Apple, Amazon, Microsoft, Google, Facebook, Alibaba chiński... A czy tu jest jakaś spółka europejska? Właściwie nie.

Taki Alibaba to chiński konkurent Amazona – sprzedaje za 12 miliardów rocznie.

Ebay jest japoński. Europejskie jest Zalando – pierwsza firma obecna w Polsce. Tyle że to jest tylko 3,3 miliarda obrotów – 30 razy mniejsze przychody niż Amazonu.

Na czym polega imperium Amazonu? Na tym, że są mistrzami w spersonalizowanym marketingu, a do tego sami prowadzą dystrybucję i dostawę towaru na całym świecie przez swoje centra logistyczne. Zatrudniają w nich 550 tysięcy ludzi. Nie ma takiej drugiej korporacji na świecie, która zatrudnia ponad pół miliona ludzi – największe firmy zatrudniają poniżej 100 tysięcy. W dodatku Ama-

zon wytworzył nową generację rozwiązań informatycznych. Czyli Amazon Web Services – to jest obecnie 47 proc. informatyki. Taki Microsoft to ledwie 10 proc., Google – 4 proc., a IBM w ogóle się nie liczy. Czyli nowoczesna informatyka w tej chwili to tylko Amazon.

Kolejna sprawa to **robotyzacja**.

Oczywiście, w telewizji pokazuje się uczonych z uniwersytetów: tam robot chodzi, śpiewa, mamy też robota, który nalewa wódkę.

Ale to tylko epatowanie efektami. Komercyjne znaczenie robotów jest zupełnie

inne. Po pierwsze – są roboty, które działają w centrach logistycznych, żeby pakować paczki. I po drugie: roboty w przemyśle, które na przykład produkują samochody.

Roboty to idea Bezosa – wyeliminować człowieka! Bo dziś decydują logistyczne centra pakowania. Zwykle jest tak, że idzie zamówienie przez system komputerowy, ale potem to człowiek musi iść, wziąć z półki towar, zrobić paczkę, zaetykietować i wysłać.

Bezos chce inaczej. Dlatego za 775 milionów dolarów kupił Teva, największego producenta robotów w USA, przekształcił go w Amazon Robotics i nie chce go sprzedawać, bo robotyzuje własne centra logistyczne.

Ale jest i następny etap przed nami – to **internet rzeczy**.

W dużym skrócie: komputer wykrywa, że w domu kończy się, na przykład, mydło, a potem odpowiedni czujnik zamawia ten towar w Amazonie i pobiera pieniądze z naszego konta. W ogóle o tym nie musimy myśleć.

Za chwilę będzie więc tak: najpierw nasze zwyczaje zakupowe przeanalizuje Chmura (a to, co się dzieje w handlu, za chwilę będzie się działo na tę samą skalę w systemach społecznych, politycznych – kiedy wysyłacie na WhatsApp polityczne dowcipy, to czy one aby nie są czasem elementem tej układanki?). Potem internet analizuje nasze zachowania we wszystkich obszarach naszego życia – zdrowia, zwyczajów zakupowych itd. W efekcie dostajemy spersonalizowaną ofertę, kupujemy w sieci i roboty to pakują. Ba, lada moment inny robot – dron – będzie to dostarczał. A jak się nam coś skończy, to system zamówi to za nas. Na dodatek robot nie pije wódki, co oznacza, że nie zawali zlecenia.

My zaś powoli stajemy się tylko takim *Drunk Everymanem*, człowiekiem, który tylko wypoczywa i konsumuje, a reszta się dzieje bez jego woli. Niby podejmuje jakieś decyzje, ale kompletnie nie znając ich podstaw.

Pojawia się tu ważne pytanie cywilizacyjne: **kto to kontroluje?**

I czy to ktoś w ogóle kontroluje?

Taka drobna obserwacja: dawniej, gdy jechałem na urlop w Tatry, to siadałem, powiedzmy, na tarasie w hotelu Kasprowy, patrzyłem na Giewont i to było to. Teraz, gdy siedzę na tarasie w Kasprowym – wkurza mnie to, ale czy chcę, czy nie chcę, to otwieram smartfona i zamiast patrzeć na Giewont – klikam. Czyli jest smartfon i potem my. A jeśli chodzi o nasze dzieci, to już jest totalna porażka. Jadę z dziećmi samochodem przez najpiękniejsze rejony Europy, a one klikają, zamiast wyjrzeć przez okno.

Tak więc w obecnych czasach nie widzimy rzeczywistości takiej, jaka jest, tylko taką, jak nam to prezentuje globalna Chmura.

To jest globalna **wojna o naszą świadomość**.

Owszem, naszą świadomością zawsze manipulowano. Ba, w filozofii epistemologia za-

stanawia się, czy widzimy rzeczywistość taką, jaka jest, czy taką, jaka ona się tworzy w naszym mózgu.

Ale to raczej jest związane z naszym idealizmem.

Smartfony są tymczasem dalekie od idealizmu i rozważań epistemologicznych.

Kto więc to kontroluje? Może rządy?

Patrząc na dynamikę i rozwój amerykańskich koncernów internetowych, odpowiedź jest jedna: to są właśnie te koncerny, Google, Apple itd. One zbierają informację, a liczba danych, które o nas posiadają, przerasta wyobrażenie. Każdy jest w tej dużej liczbie serwerów sprofilowany – z imienia, nazwiska, położenia. Oni to wszystko dokładnie wiedzą. I są potęgami.

Produkt krajowy brutto w Portugalii to 204 miliardy dolarów, a produkt krajowy brutto w Polsce to 524 miliardy dolarów. Dużo? Może. Tyle że są to przychody porównywalne z przychodami Apple'a i Amazona. Oba mają przychody na poziomie 200 miliardów dolarów, które cały czas dynamicznie rosną.

I do tego mają swoją społeczność pracowników. Amazon jest największy – ma 550 tysięcy ludzi, pięć razy więcej niż Ford, Volkswagen czy Mercedes i inne największe korporacje. Ale i Apple ma 120 tysięcy pracowników, Google ma 90 tysięcy pracowników. Alibaba ma mało ludzi, ale tylko teoretycznie – jak to w Chinach, tam jest jedno wielkie oszustwo, bo ten koncern korzysta z zasobów państwowych, nie musi ich zatrudniać, a na rozkaz każdy korzysta z Alibaby. Owszem, Facebook też nie ma tak wiele – tam jest ledwie dwadzieścia parę tysięcy pracowników. (Swoją drogą to dopiero fenomen: Facebook nic nie ma, posiada tylko platformę. To my sami robimy biznes Facebookowi!).

A jak się pozycjonują firmy europejskie w porównaniu z Amazonem czy Alibabą?

Na przykład Otto, która istnieje w Niemczech od lat – miała swoje magazyny w czasach podziału świata na dwa bloki. I kiedy za żelazną kurtynę docierał nowy katalog Otto, to człowiek nie mógł oderwać oczu, zwłaszcza od części „bielizna damska”. Tak samo Zalando – również niemiecki. I jeśli chodzi o skalę – nie mają porównania z liderami. Nie chodzi nawet o wartości bezwzględne, lecz o dynamikę wzrostu – Amazon rozwija się niebywale, a firmy europejskie ledwo zipią.

I taki znaczący drobiazg: Amazon jest największą firmą na świecie, ale właściwie nie ma zysku. Dlaczego? Dlatego, że wszystko, co zarobi, reinwestuje. Sam też często jest krytykowany na giełdzie, że wycena Comarchu jest niska w porównaniu z tym, co robimy. Lecz powiedziałem wyraźnie: nie interesuje mnie maksymalizacja zysku. Interesuje mnie rozwój, reinwestycja. To samo robi Amazon.

Dziś do tego dochodzi **wojna technologiczna USA z Chinami**.

To bitwa na całego. Tyle że dziś Amerykanie nie radzą już sobie z rozwojem technologicznym Chin. Niektórzy myślą, że sukces gospodarczy Chin to trampki, koszulki i tanie długopisy. Tymczasem to właśnie Chiny produkują najbardziej zaawansowany sprzęt.

Co jakiś czas pojawiają się afery, rzekome czy prawdziwe, związane z obecnością ludzi koncernu Huawei w innych krajach. Przyczyny są zapewne różne, ale jedna się powtarza – Huawei wygrywa większość przetargów, bo ich ceny są o połowę niższe od sprzętu amerykańskiego – Cisco, IBM, HP. Chińczycy nie tylko produkują telefony, ale i większość ciężkiego sprzętu informatycznego, serwery, pamięci, routery, cały sprzęt telekomunikacyjny. Szybko, wysokiej jakości i tanio. Francja, Wielka Brytania, Niemcy także – bazują na Huawei, co szczególnie denerwuje Amerykanów.

Na dodatek Chiny wykorzystują przewagę finansową i prowadzą agresywną politykę akwizycji w Stanach Zjednoczonych. Na czym to polega? Na przykład mamy Apple'a i kupujemy iPhone'a. Lecz nie mamy świadomości, że iPhone, owszem, produkowany jest przez Foxconn na Tajwanie, ale on bierze tylko zamówienia od Apple'a, a potem wysyła do Shenzhen i robi te telefony *Made in China*, u Chińczyków. Większość technologii amerykańskich jest w tej chwili realizowana w Chinach poprzez Tajwan, ale to tylko przykrycie.

Podobnie agresywna chińska akwizycja widoczna jest w Europie. Kto pamięta o tym, że Volvo jest dziś chińskie? Owszem, wszyscy wiedzą, że Volvo to jeden z lepszych samochodów. Tylko że koncern Geely, który ma sto procent Volvo, przejął teraz dziesięć procent Mercedesa.

I to się rozszerza.

Unia Europejska próbuje wprowadzić zakaz pozyskiwania firm europejskich przez Chiny, ale tu już interesy państw są rozbieżne. Paryż choćby chce iść na współpracę z Chinami i rozbić amerykańską dominację na kontynencie.

Z kolei Donald Trump odwrotnie: chce rozbić Chiny i przywrócić wielkość USA. Ma jednak ten problem, że Chińczycy są zaawansowani technologicznie i po ich stronie jest *know-how*. Dlatego Amerykanie próbują wykorzystywać środki polityczne. Lecz wtedy Pekin ostrzega, że będzie bronić narodowej godności, a nie tylko gospodarki.

W relacjach chińsko-amerykańskich co tydzień wiele się dzieje. Kilka miesięcy temu Trump zapowiedział, że wyrzuci wszystkich studentów chińskich z Ameryki. Ale nie zrobił tego, bo oni wydają tam rocznie 18 miliardów dolarów. Zresztą – to akurat jest powód, by Stany ich wyrzuciły, bo to jest kolosalny dren *know-how*, wyciąganie wiedzy z USA.

Chiny to jeszcze jeden problem. Otóż Eric Schmidt, były prezes Google'a, powiedział

kiedyś ważną rzecz: za 15 lat na świecie będą dwa internety – jeden chiński, a drugi amerykańsko-europejski. W tej chwili wydaje się, że Google nie ma konkurencji. Ale z chińskim internetem związanych jest już 60 państw na świecie. I ta liczba rośnie.

Tu pojawia się kwestia świadomości. My nie rozumiemy Azji. Comarch działa w Azji, więc z tego powodu i ja musiałem jakoś do niej przygotować. Więc najpierw: Chińczycy nie mają religii i bogów. Tak jak shinto i buddyzm – to są raczej systemy medytacji. A Korea, Japonia czy Chiny w ogóle nie są nieobciążone Świętą Księgą. Chińczycy natomiast mają swoje niebo, które zostało zdefiniowane przez Konfucjusza w V wieku przed naszą erą jako suma wiedzy i kultury przodków. Kiedy się zastanawiam, skąd de Chardin wymyślił tę Chmurę wiedzy, to myślę, że on to wyciągnął właśnie u Konfucjusza. Bo chińskie niebo to dokładnie dzisiejsza globalna inteligencja albo Chmura internetowa.

W Chinach nie mogą działać Facebook, Google, Apple, a Amazon musiał oddać centrum logistyczne. Dlaczego Chińczycy tak walczą ze Stanami we wszystkich obszarach współczesnego internetu? Bo nie chcą dać Amerykanom swojego nieba.

A co się dzieje w Europie? My bez walki oddaliśmy nasze niebo Amerykanom. I mamy Google, a wszystkie amerykańskie korporacje rządzą naszą świadomością.

Brzmi groźnie? To po prostu rzeczywistość.

Chiny to już nie jest produkcja trampek – oni na badania systemu sztucznej inteligencji chcą wydać 150 miliardów dolarów. A my w Europie na to samo wydamy 40 miliardów.

To jest właśnie nasz główny kłopot w relacjach z Chinami.

Stany Zjednoczone mają kłopot inny. Co prawda w odróżnieniu od Europy bronią się przed przejmowaniem ich firm technologicznych. Mają też świetne start-upy. Natomiast są zbyt leniwe, żeby produkować. Czyli produkcja odbywa się w Chinach. W ten sposób czy Ameryka chce czy nie, za chwileczkę fabryki azjatyckie będą kontrolować to, co Amerykanie sprzedają.

Trzeba też pamiętać o produkcji krajowym brutto. Chiny rosną bardzo szybko, Amerykanie też rosną, a Europa się buja.

W najbliższym czasie czeka nas jeszcze jedno wyzwanie:

samochody elektryczne oraz sieć 5G.

Tu już jest totalnie źle.

Co decyduje o jakości samochodu elektrycznego? Bateria! Samochód elektryczny pojawił się dlatego, że opanowano technologię produkcji baterii. Tesla może teraz jechać 400 km na jednej baterii. Dziś samochody elektryczne właściwie nie różnią się niczym, tylko baterią. A kto rządzi światową produkcją tych baterii? Wszyscy myślą, że Tesla. Ale Tesla jeździ na... japońskim pana-

sonicu. I znowu: najwięksi producenci baterii to firmy chińskie i japońskie.

Druga sprawa to sieci 5G. Przypomnijmy: pierwsze G to były sieci analogowe, telefony, radiostacje Motoroli, takie wielkie kaloryferki – większość ludzi tego nie miała. 2G to był słynny telefon Nokii, gdzie był i głos, i SMS-y. 3G to smartfony – wtedy na miejsce Nokii wszedł Apple. 4G to współczesność: większa prędkość transmisji bez specjalnych nowych cech.

A 5G? Z całym przekonaniem i profesora, i przemysłowca stwierdzam, że na razie to tylko ściema. Byłem kilka miesięcy temu na targach w Barcelonie, ponad sto tysięcy ludzi, wszystkie korporacje i nikt nie miał telefonu 5G. O co chodzi w 5G? Przede wszystkim prędkości mają być horrendalne. To ma być 20 gigabitów na sekundę. Ale nie bardzo wiadomo po co. Przecież jeśli chcę dzisiaj obejrzeć mecz Cracovii na Daily Motions, to mi wystarczy 4G – i mam bardzo dobrą jakość. A tu proponują 20 razy więcej, nie wiadomo po co. Jedną ważną cechą – nienagłaśnianą – są małe opóźnienia w reakcji, około jednej milisekundy. Tyle, że człowiek jest w stanie reagować dopiero po 250 milisekundach. Po co więc takie parametry? Ano po to, że to się przyda do internetu rzeczy – to jest potrzebna skala w świecie maszyn. Ale tylko w świecie maszyn – bez udziału człowieka.

Dlaczego

USA i Chiny wyprzedzają Europę?

Bo na naszym kontynencie nie ma szans na nowego Jeffa Bezosa.

Pomijając różnice intelektualne i biograficzne, to nawet jeśli zjawi się człowiek mający predyspozycje i motywacje, to nie wyskaluje start-upu w Europie, bo ta przestrzeń rynkowa jest zdefragmentowana.

Jeśli spojrzeć na wielkie firmy technologiczne – to mamy tylko USA, Japonię i Chiny. Nokia przecież już nie jest europejska, jest amerykańska.

Czemu to tak wygląda? Dlatego, że Chiny i Stany Zjednoczone to są duże i jednorodne rynki.

Jeżeli jako Comarch wchodzimy, powiedzmy, do Hiszpanii, to nikt nas nie zna, a to, co zrobiliśmy we Francji, w ogóle się nie liczy. Mało tego – w każdym kraju mamy inne prawo gospodarcze, inne prawo pracy. I jeśli coś złego się dzieje (np. zwalniasz pracownika, a on cię skarży), to miejscowy sąd, gdy widzi firmę z jakiejś tam Polski czy innego słabszego kraju, od razu wyrokuje na jej niekorzyść. Tak wygląda zjednoczona Europa. Z punktu widzenia biznesu to jedna wielka porażka.

I – najważniejsze – żadna pojedyncza polityka w Europie nie jest odpowiednia dla całego kontynentu. Polityka gospodarcza dla krajów bogatych, Francji, Niemiec itd. nie jest korzystna dla regionów biedniejszych. To prowadzi do tego, że w każdym kraju UE trzeba robić biznes od początku.

Kolejna sprawa to wydatki na innowacje: Japonia 3,3 proc., USA 2,7 proc., Chiny 2,1 proc., Europa 2,0 proc., Polska 1,0 proc. Ale za to na obronność będziemy mieć 2 proc. Może ktoś widzi w tym logikę – ja nie.

Z kolei w USA mamy wielką obronę *status quo* – tak zwany układ GAFA, czyli Google, Amazon, Facebook i Apple. To po prostu jedna wielka zmowa. Przypominam, że Stany Zjednoczone były zawsze antytrudowe, przeciwne monopolizacji rynku. Dziś to się zmieniło. Te firmy są monopolistami nie tylko w skali USA, ale i świata. Czy są jakieś inne firmy amerykańskie, które z nimi konkurują? Nie, one mają absolutny monopol. A gdzie jest prawo antymonopolowe wpisane w amerykańską konstytucję? Mało tego



– one ze sobą nie konkurują, za to solidarnie wycinają konkurencję.

Europa próbuje walczyć o swoją pozycję – ale walczy nieudolnie.

Wszyscy mówią o czynnikach politycznych, a nikt nie mówi, żeby na przykład ujednolicić prawo pracy. Albo: komisarze chwają się tym, że nakładają kary na GAFA. To bzdury, bo te kary, o których słyszymy, jakieś miliard euro, to nic w porównaniu z tym, co te korporacje zarabiają.

Zresztą tak jak Amerykanie nie pokonają Chińczyków, starając się ich zatrzymać politycznie, tak Unia Europejska nie zatrzyma USA ani Chin przez nakładanie kar, bo liczy się rzeczywista wartość wytworzonych towarów.

Nie tędy droga.

Popatrzmy na RODO. To największa bzdura i pewnie to wymyślił jakiś wróg Europy. Już sama konstrukcja RODO jest tragiczna – w przypadku Comarchu zatrzymało to nam biznes na rok.

Ale, co gorsza, firmy amerykańskie nadal mogą zbierać dane o nas (i robią to skutecznie), natomiast operator europejski tego nie może robić!

Szanse Polski i Europy

W Europie mamy wysokiej jakości zasoby ludzkie. Jedną z grup hakerów zrobili ranking najlepszych informatyków. Najlepszych niby mają Chiny, potem Rosjanie, a Polska jest na trzecim miejscu.

Nieźle. Mamy tych informatyków dużo. I dobrych.



Janusz Filipiak (rocznik 1952) – profesor nauk technicznych, informatyk, nauczyciel akademicki, przedsiębiorca (prezes zarządu firmy informatycznej Comarch) i prezes sportowej spółki akcyjnej MKS Cracovia.

Absolwent krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, a następnie doktor habilito-

wany, w latach 90. kierował na AGH Katedrą Telekomunikacji. W 1991 roku otrzymał tytuł profesora nauk technicznych; specjalizuje się w telekomunikacji, w tym sieciach zintegrowanych i teleinformatyce. Autor kilku książek oraz ponad stu publikacji naukowych.

Amazon niedawno wprowadził na rynek Alexę, czyli *command system* pozwalający sterować przy pomocy głosu inteligentnym domem podpiętym do Chmury. Mało kto wie, że to

zostało wyprodukowane w Polsce przez gdański startup i nazywało się początkowo Ivona.

Często klienci z Zachodu pytają mnie, skąd Comarch bierze ludzi. A to proste – co

Natomiast Polska żyje w tej chwili z outsourcingu – to przez internet przechodzą kawałki softwaru, nasi ludzie pracują nad tym, odsyłają produkt na świat, czyli wytwarzają wartość dodaną. A te wszystkie firmy outsourcingowe twierdzą, że wartość dodana jest zero, czyli VAT nie jest naliczany. I polskie służby skarbowe nie są w stanie wyliczyć wartości dodanej wytwarzanej przez polskich informatyków.

To tak jakbyśmy sprzedawali ropę naftową za cenę zarobków ludzi, którzy ją wydobywają. A można inaczej. Kiedy, na przykład, produkujemy software w Niemczech, to nie ma miesiąca, żeby nie przychodziła do nas miejscowa skarbowka i nie sprawdzała, jaką wartość dodaną produkujemy.

Teraz trochę optymistycznie – bo **Comarch jest optymistyczny.**

Jeżeli jesteśmy w 100 krajach, działamy w Azji i Stanach, to musimy rozumieć, co się tam dzieje. I to się udaje. Żartuję, że zdobywamy tę wiedzę trochę jak Rosjanie w czasie II wojny światowej – przez rozpoznanie bojem. Nie mamy żadnych zwiadowców. Po prostu idziemy do ataku, patrzymy, skąd do nas strzelają, a potem sprawnie przegrupujemy szeregi, żeby iść tam, gdzie sukces.

Mamy własną chmurę, własne technologie, własną globalną inteligencję. Mamy centra danych na całym świecie – tu jest i Szanghaj, i Singapur, i Kraków czy Warszawa, i Stany Zjednoczone. Nie musimy zatrudniać lokalnych inżynierów, zatrudniamy wykonawców, którzy działają na podstawie instrukcji z Krakowa.

Mamy ponad 100 tysięcy procesorów w 8 tysiącach serwerów. Mamy 55 petabajtów pamięci masowej na świecie. Co to jest petabajt? 1 petabajt to inaczej 80 milionów półek z segregatorami dokumentów. Albo 13 lat ciągłego oglądania filmów. Ponad 33 tysiące ludzi na co dzień korzysta z procesów zarządzanych przez nas w tej globalnej chmurze Comarchu.

I naprawdę inwestujemy: Comarch na badania R&D (*research and development*) wydaje rocznie 60 milionów dolarów. To kolosalna kwota i o tyle mógłbym mieć lepszą wycenę Comarchu.

Oczywiście jest pytanie, jaka jest szansa firm europejskich wobec amerykańskiej dominacji? Taki Amazon wydaje 12,5 miliarda dolarów rocznie...

Ale się nie poddajemy. Wiemy, że musimy się sfokusować i jeszcze efektywniej wydawać pieniądze, mieć mądrzejszych ludzi i do brze nimi zarządzać.

Czy dajemy radę? Dajemy. Ale to temat na osobną opowieść.

(Opr. WB na podstawie wykładu wygłoszonego w Klubie Krakowskim – tekst autoryzowany, za wiedzą i zgodą prof. Filipiaka).

roku robimy program stażowy, przyjmujemy na staż czterystu informatyków po trzecim i czwartym roku studiów. A kandydatów mamy zwykle około trzech tysięcy. Czyli na ten program stażowy mamy więcej kandydatów niż liczba studentów informatyki w Wielkiej Brytanii!

Ale ten kapitał marnujemy. I oddajemy za darmo. W jaki sposób? Ano gdy przychodzą, powiedzmy, jakieś części samochodowe do opła w Polsce i nasz robotnik coś robi przy tym samochodzie, po czym samochód jest odsyłany, to nasze służby skarbowe bez problemu są w stanie wyliczyć wartość dodaną i nałożyć na to VAT.



Prowokujący uśmiech Piotra Błachuta

Tekst: Paweł Kopeć Zdjęcie: Alicja Rzepa

Artysta, rysownik satyryczny, sprzedawca najlepszego śledzia w Krakowie i działacz społeczny – wszystko to w jednej osobie. Piotr Błachuta nie lubi się jednak obnosić ze swoimi osiągnięciami. „Artysta musi być zaangażowany, ale postawy, które są nastawione na robienie szumu wokół siebie, mnie mierzą” – wzrusza ramionami.

Rysunkiem interesował się od dziecka. Marginesy w szkolnych zeszytach były zawsze po ostatni skrawek wypełnione rysunkami. Nawet ucząc się wiersza na pamięć, wolał najpierw rozrysować jego treść, bo pomagało mu to ją zapamiętać. Rzec można, typowa historia każdego, kto ze szkolnej ławki powędruje prosto do Akademii Sztuk Pięknych. W tym wypadku nie było to jednak aż tak oczywiste. Artysta od 10. roku życia gra w piłkę w Wiśle Kraków i długo wydaje się, że to ze sportem zwiąże swoje życie. Dylemat pojawia się w klasie maturalnej. Rysunek pozostaje jego pasją, myśli więc o wzornictwie na krakowskiej ASP. – Chciałem projektować sprzęt sportowy, w tamtym czasie mało dostępny w Polsce. Przygotowywałem się do egzaminów, jednocześnie trenując. Zakładałem, że jeżeli dostanę się na Akademię, to zegniam się z zawodowym sportem, a jeżeli nie, to idę na AWF – wspomina rysownik.

Egzaminy zdaje, ale nie zajmuje się sprzętem sportowym. Broni dyplom w pracowni prof. Władysława Pluty w katedrze komunikacji wizualnej, projektując nowe logo Muzeum Narodowego w Krakowie, które na kilka lat stanie się oficjalnym znakiem tej instytucji.

Po studiach nawiązuje współpracę z „Gazetą Krakowską” – to tam publikuje pierwsze rysunki satyryczne. Jednocześnie razem z żoną marzą o otwarciu galerii. Proza życia wymusza pójście na kompromis. – Postanowiliśmy ożenić naszą pasję do sztuki z pasją do gotowania, zależało nam na kreowaniu smaku estetycznego i kulinarnego. W tamtym czasie w Polsce rynek przypraw właściwie nie istniał, więc postanowiliśmy pokazać, że możliwości jest dużo więcej. Model biznesowy się sprawdził i sprzedaży było więcej i więcej... a idea galerii schodziła na coraz dalszy plan – opowiada grafik.

Choć Naturalny Sklepik – bo tak nazywa się lokal Błachutów – nigdy nie stał się wyłącznie galerią, to udało się w nim zrealizować kilka ciekawych wystaw i wydarzeń artystycznych. Na początek wystawione zostają prace Piotra oraz jego starszego syna Dawida. W czasie tej wystawy Bartosz Przybył-Ołowski z Fundacji „Razem Pamoja”, zajmu-

jący się edukacją młodzieży poprzez sztukę, proponuje rysownikowi współpracę. Razem z Fundacją Błachut realizuje kilka projektów – „Ku Afryce”, „Książka, która pomaga” czy „Stypendium na talerzu” skierowane do dzieci i młodzieży z biednych rodzin z Polski i z Kenii. Schemat był prosty – dzieci, między innymi ze slumsów w Nairobi, wykonują projekty talerzy, które następnie wykonywane są przez artystów w Polsce i sprzedawane w Sklepiku – każdy talerz to stypendium naukowe dla dziecka, które go zaprojektowało.

„Rysując, staram się namawiać ludzi do spojrzenia na innych, na niektóre problemy, nie śmiejąc się z nich, ale właśnie uśmiechając się do siebie. Nie obśmiewać, ale prowokować do uśmiechu”.

Jednocześnie Piotr przez cały czas rysuje, przede wszystkim satyry do gazet: przez lata współpracuje z „Gazetą Krakowską”, z pierwszą redakcją „Superekspresu”, a obecnie także z „Krakowem”. Trafia też do prestiżowego magazynu o sztuce i teatrze „Pavilonesque”. Tam zobaczyć można bardziej poważne prace rysownika, choć on sam przyznaje, że preferuje satyrę. – Śmiech to dobra energia. Porównując polskie ulice do ulic z południa Europy, dużo mniej uśmiechamy się do siebie nawzajem. Myślę sobie, że gdyby tego uśmiechu było więcej, świat byłby lepszy. Rysując, staram się namawiać ludzi do spojrzenia na innych, na niektóre problemy, nie śmiejąc się z nich, ale właśnie uśmiechając się do siebie. Nie obśmiewać, ale prowokować do uśmiechu – przekonuje.



Paweł Kopeć – gdańszczanin na poniewierce, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.

Piotr Błachut

Kwestionariusz Prousta po krakowsku to zestaw kilkunastu pytań, które ponoć szybko pokazują osobowość ankietowanego. Proust miał taki w tym udział, że dwukrotnie odpowiadał na pytania swej znajomej. Czasami ta salonowa psychozabawa z przełomu wieku XIX i XX wraca.

Moje hobby?

Jesteśmy w Naturalnym Sklepiku, w miejscu, które stworzyłem wraz z żoną prawie 20 lat temu, a powstało ono z miłości do gotowania, a w szczególności do przypraw. Dla kucharza przyprawy są jak farby na palecie malarza, dzięki nim można tworzyć dzieła...

Ulubiona potrawa?

Holenderski śledź matias. W Polsce śledź kojarzy się głównie z tanią przekąską do wódki, tymczasem matias jest zupełnie inny: to młody, dziewczęcy, tłusty śledź odławiany przed tarłem, odpowiednio filetowy oraz przechowywany w solance, co nadaje mu niezapomnianego smaku.

Czego się najbardziej w życiu boję?

Niedołężności. Momentu, w którym nie będę mógł rysować...

Czym jest dla mnie szczęście doskonałe?

Tym, co już mam: wspinała rodzina, satysfakcjonujący poziom życia i możliwość spełniania się zawodowo i artystycznie.

Kim chciałbym być zawodowo, gdybym nie mógłbym robić tego, co robię?

Nie chciałbym być nikim innym.

Słowa, które mnie drażnią?

Nie lubię, gdy ktoś nadużywa korporacyjnej nowomowy. Zwłaszcza wtrącania „tak” jako przecinka.

Słowo albo wyrażenie, które najbardziej kojarzy mi się z Krakowem?

„Idze, idze bajoku”.

Moja główna cecha charakteru?

Poczucie humoru, co widać na załączonym obrazku...

Cecha, którą najbardziej cenię u mężczyzn?

Poczucie estetyki.

Cecha, którą najbardziej cenię u kobiet?

Siła i inteligencja.

Co najbardziej cenię u przyjaciół?

Bezinteresowność.

Moi ulubieni bohaterowie literaccy?

Mały Książę.

Moja główna wada?

Widać ją w mojej twórczości: specjalizuję się w szybkich, czasami niemal „fotograficznych” rysunkach – to dlatego, że jestem niecierpliwy.

Błędy, które najczęściej wybaczam innym?

To te, z których dana osoba zdaje sobie sprawę i potrafi się do nich przyznać.

Mój ulubiony kolor?

Od białego do czarnego przez pełną skalę szarości...

Moi ulubieni malarze?

Fascynowali mnie zawsze twórcy, u których ważnym elementem był rysunek. Chronologicznie muszę wymienić najpierw twórcę z Lascoux – imienia nie pamiętam (śmiech). A bardziej współcześnie niewątpliwie Toulouse-Lautrec, Klimt, Egon Schiele, Witkacy i oczywiście, w końcu jesteśmy w Krakowie, Stasiu Wyspiański.

Muzyka, której słucham, gdy jestem w złym nastroju?

Nie odrağowuję złego nastroju przez słuchanie muzyki. Słucham jej raczej wtedy, kiedy czuję się dobrze.

Rzecz, której za nic nie mogę znieść?

Głupota.



Fot. Max Pfliegel/Wrocławski Dom Literatury

Ewa Lipska z Silesiusem

Ewa Lipska, znana także z łamów „Krakowa”, odebrała w tym roku prestiżową wrocławską Nagrodę Poetycką Silesius „za całokształt pracy twórczej”.

Laur za książkę roku – czyli tomik *Cele* – otrzymał Adam Kaczanowski, zaś za najciekawszy debiut jury uznało *wsie, animalia, miscellanea* Macieja Bobuli (zdecydował się on jednak podzielić swoją nagrodą pieniężną – czyli 20 tys. złotych – z pozostałymi nominowanymi do Silesiusa w tej kategorii, czyli z Michałem Domagalskim i Janem Rojewskim, co z kolei docenił prezydent Wrocławia Jacek Sutryk, który przyznał każdemu dodatkowo 2500 złotych).

Wszystkim uhonorowanym statuetkami Silesiusa gratulujemy. A korzystając z tego, że Ewa Lipska jest autorką „Krakowa”, publikujemy fragment Jej mowy z gali finałowej: „Chcę przywołać anegdotę, która związana jest z pięknym miastem Wrocławiem i znakomitą lwowską szkołą matematycz-

ną. Otóż zapytano kiedyś profesora Hugona Steinhausa, w jaki sposób doszedł do swoich matematycznych osiągnięć. – Co Pan profesor robił? – pytano. A pan profesor Steinhaus odpowiedział: – Nic. Ale długo.

Ja nie mogę powiedzieć, że nie robiłam nic, bo liczba wydanych książek temu zaprzecza. Ale na pewno robiłam długo. I oczywiście, jak się tak długo pracuje, to ogarniają czasem człowieka wątpliwości, czy to wszystko, co robi, ma sens. A wtedy nagroda jest takim zielonym światełkiem, które na chwilę człowieka znieczula.

Chciałabym jeszcze podziękować moim czytelnikom, bo bez czytelników my w zasadzie nie istniejemy. Czytelnicy to jest znakomity elektorat”.

(kb)

Stanisław Burkot: znawca literatury, edytor, gawędziarz

Tekst: Marek Karwala Zdjęcie: Krzysztof Lis



Śmierć

Zawsze o tę chwilę przybywa spóźniona.
Na próżno szarpie klamką
niewidzialnych drzwi.
Kto ile zdążył,
tego mu cofnąć nie może

W. Szymborska, *O śmierci bez przesady*

Zwykło się mówić, że śmierć zawsze przychodzi nie w porę i zbyt wcześnie. Wisława Szymborska, nieco przewrotnie, zadaje kłam temu mniemaniu. Czy aby nie ma racji?

Odszedł właśnie Profesor Stanisław Burkot, którego 87-letnie życie zdaje się potwierdzać słusność słów poetki. Pozostawił bowiem po sobie bogaty i ilościowo, i jakościowo dorobek. Cenione są jego książki, artykuły oraz recenzje historyczno- i krytycznoliterackie, obejmujące szerokie spektrum polskiej literatury. Zajmował się także działalnością edytorską. Szczególnie bliskimi jego sercu były romantyzm (wiele tekstów poświęcił Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu, był wszak wychowankiem prof. Wincentego Danka, bodaj najwybitniejszego znawcy dorobku autora *Starej baśni*) oraz literatura XX i XXI wieku. Na bieżąco śledził zjawiska w literaturze, czemu dawał wyraz w subtelnych odczytaniach i poczynionych licznych eksplikacjach. Spośród autorów współczesnych najwyżej stawiał Tadeusza Różewicza...

Profesor wzorowo wypełnił *ethos* uczonego. Wy różnił się rzetelnością i uczciwością, ale nie można

też zapominać, że pojmował swoje powołanie holi stycznie – troszczył się bowiem o rozwój następ ców, którym poświęcał wiele uwagi i nie szczędził czasu. Ponad dwadzieścia osób, także piszący te słowa, obroniło pod jego kierunkiem prace doktorskie i kontynuowało działalność naukową. Był także aktywny w szerszym środowisku odbiorców literatury i kultury – jego wykładów, wygłaszanych z przekonaniem i swadą, można było wysłuchać w kraju oraz poza granicami. Udzielał się także w gronach eksperckich i jurorskich, m.in. był przez długie lata jurorem Krakowskiej Książki Miesiąca.

Stanisław Burkot nie tylko po „profesorsku” pa trzył na życie. Miał kochającą rodzinę, uwielbiał wnuki, dla których wystrugiwał z drewna figurki zwierząt; lubił prace manualne, majsterkowanie, kolekcjonował i ożywiał stare zegary, w stanie wojennym robił nawet... swetry na drutach. Kochał rodzinne gniazdo w Turzy, gdzie od wiosny do późnej jesieni spędzał w ostatnich latach sporo czasu, a w miejscowych lasach zbierał grzyby, na których znał się jak mało kto.

Profesor, jakkolwiek zazwyczaj poważny, bywał także duszą towarzystwa, miał poczucie humoru i dar gawędziarski, potrafił przykuwać uwagę słuchaczy barwnymi opowieściami.

Żegnaj Mistrzu...

Marek Karwala jest badaczem poezji polskiej XX wieku i krytykiem sztuki.



Góry i organy

Tekst: Witold Beres Zdjęcie: za zgodą Zakopiańskiego Centrum Kultury

Oscypki czy krupniok? A może lepiej „Wajnborg versus Mendelssohn” – bo tak intrygująco, sportowo niemal, nazwano koncert w Czerwonym Dworze w Zakopanem, na przełomie czerwca i lipca.

Zakopane latem? Krupówki szczerze wypełnione turystami, setki osób zmierzające na Gubałówkę... Tymczasem w chłodzie kościelnych ścian można zażyć innej rozrywki. Dziesiątki najwybitniejszych wykonawców i muzyka z każdego zakątka świata – Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej w Zakopanem z niewielkiej imprezy dla zakreconych fanów stał się międzynarodową wizytówką miasta. W tym roku odbędzie się już jego 19. edycja.

Najbardziej znana odsłona festiwalu, czyli koncerty organowe, będą się odbywały w kościele św. Rodziny przy Krupówkach, gdzie z solowym recitalem wystąpią Irena Wiselka-Cieślak z Łodzi oraz świetny organista słowacki Marek Vrabel. A w kościele na Krzeptówkach w roli zarówno solisty, jak i akompaniatora zagra organista Wacław Golonka, który wraz z barytonem Marcinem Wolakiem wykona pieśni biblijne Antonina Dworzaka, a także pieśni religijne Stanisława Moniuszki.

Organizatorzy (Miasto Zakopane oraz Zakopiańskie Centrum Kultury) stawiają

na emocje i różnorodność – poza świątyniami w centrum miasta publiczność zostanie zaproszona także na Olczę, Harendę, Na Górkę oraz do Miejskiej Galerii Sztuki i właśnie do Czerwonego Dworu.

Repertuar też rozmaity, ale nie zabraknie takich kompozytorów jak Henryk Mikołaj Górecki, Karol Szymanowski, Wojciech Kilar czy Bolesław Wallek-Walewski.

Uwieńczeniem kameralnej odsłony festiwalu będzie występ violi organista, niezwykle ciekawego i jedynego koncertującego instrumentu tego typu na świecie. Idea jego powstania pochodzi od Leonarda da Vinci, a projektu i budowy jego rodzimej wersji podjął się świetny krakowski pianista Sławomir Zubrzycki, którego usłyszymy również w roli wykonawcy koncertu w drewnianym kościółku na Harendzie.

19. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej, Zakopane, 30 czerwca – 11 sierpnia 2019.



Elżbieta Szmytka na Festiwalu Muzyki Polskiej

Polska muzyka znana i... nieznaną

Tekst: Anna Woźniakowska Zdjęcie: Anna Kaczmarz

„Fra gli abeti il vento geme pinie” – zaśpiewa 20 lipca białoruski tenor Yuri Horodecki, a będzie to nic innego jak aria Jontka z moniuszkowskiej *Halki*. Koncertowa wersja opery, tym razem we włoskiej wersji językowej i w międzynarodowej obsadzie, zabrzmii bowiem na finał XV Festiwalu Muzyki Polskiej.

Ponad siedemdziesiąt lat temu Józef Reiss pisał, że „najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska”. W tym czasie inni muzykolodzy twierdzili, że w XIX wieku i w początkach wieku XX prócz Chopina w polskiej kulturze muzycznej nie pojawiło się nic oryginalnego, wartego uwagi, skutecznie pomijając ten okres w swych pracach naukowych. Obie opinie, często powielane i dziś, dowodzą przede wszystkim kompleksu niższości wobec europejskich dokonań przełomu XIX i XX wieku, ale i, niestety, nieznamości tematu. Z obiema skutecznie walczy powołane do życia przed kilkudziesięciu laty w Krakowie Stowarzyszenie Muzyki Polskiej. A głównym orężem w tej walce jest coroczny Festiwal Muzyki Polskiej.

Dziewięć koncertów tegorocznej edycji Festiwalu, przez trzy kolejne weekendy (od 5 lipca poczynając), przyniesie sporą porcję muzyki w świetnych wykonaniach. Mało znane wokalne-instrumentalne utwory Moniuszki, Elsnera i Kurpińskiego zagra

czeski zespół Musica Florea, francuski dyrygent Franck Chastusse poprowadzi *Symfonię Polonia* Emila Młynarskiego, Sinfonietta Cracovia zagra *Symfonię kameralną na klarinet, triangel i smyczki* Weinberga. Z arcytrudnymi ariami z oper Józefa Michała Ksawerego Poniatowskiego zmierzy się Karina Skrzyszewska, ballady Moniuszki interpretować będzie Elżbieta Szmytka. Muzykę polską zaprezentują także światowej sławy artyści: skrzypaczka Miranda Liu oraz pianiści: Cathy Krier i Kontantin Scherbakov. Usłyszymy też artystów delegowanych przez Europejskie Stowarzyszenie Agentów Artystycznych, z którym współpracuje krakowski festiwal.

Jaka jest więc muzyka polska XIX i pierwszej połowy XX wieku? Ukazana na tle epoki budzi ciekawość i ujmuje wdziękiem. Warto ją poznać, by się w niej rozsmakować.

XV Festiwal Muzyki Polskiej, 5-7, 12-14, 18-20 lipca 2019.

Krakowskie Spotkania Artystyczne 2019

DIALOGI

Malarstwo Rzeźba Rysunek

Lipiec-sierpień 1919 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

W związku ze strajkiem drukarzy 1 lipca przestały ukazywać się dzienniki. W przypadku „Nowej Reformy” przerwa trwała do 5 lipca, w przypadku „Głosu Narodu” i „Czasu” – aż do 12 lipca. Wyjątkiem był „IKC”, który dysponował własną drukarnią i najszybciej zawarł ugodę z drukarzami, podnosząc płace o 125 proc.

✦ **2 lipca.** Z kroniki „IKC”: „Na dworcu towarowym zauważył wczoraj strażnik 61-letniego starca Józefa Kośmidera, który skradł węgiel z wozów kolejowych. Gdy na wezwanie Kośmider nie zatrzymał się, strażnik oddał do niego dwa strzały, raniąc go w nogę. Kośmider zeznał, że kradł z nędzy, bo w domu panuje głód. Żona i dwie córki z wycieńczenia leżą ciężko chore, a on od trzech dni nie miał nic w ustach. Kośmidera wypuszczono na wolność”.

✦ **2 lipca.** Wystawieniem *Straszego dworu* zainaugurowano w Teatrze im. Słowackiego pierwszy po wojnie sezon operowy. Przygotowano też inscenizację *Halki*, *Cyganerii* i *Carmen* – zapowiadał „IKC”.

✦ **6 lipca.** Jak podała „Nowa Reforma”: „18 i 28 czerwca odbyły się posiedzenia Wydziału Komitetu Muzeum Narodowego, na których rozpatrywano szczegółowo między innymi świeżo wydaną broszurę dr. Franciszka Kleina »O stanie Muzeum Narodowego w Krakowie«. Ścisłe badania wykazują, że zarzuty poczynione tam dyrektorowi muzeum prof. Feliksowi Koperze są zgoła bezpodstawne, niczym nieoparte i dlatego Komitet przeszedł nad nimi do porządku dziennego”.

✦ **8 lipca.** „Jak informuje magistrat, skutkiem restryktu ministra aprowizacji, w gospodach publicznych, jak kawiarnie, cukiernie, restauracje i hotele, podawanie cukru zostaje wzbronione. Zezwala się użyć na powyższy cel sacharyny” – przestrzegala „Nowa Reforma”.

✦ **12 lipca.** Jak zapowiadał „IKC”: „W niedzielę 13 bm., o godz. 11 rano odbędzie się w Sądzie Okręgowym Karnym, w sali przysięgłych wiec wszystkich sędziów w sprawie nędzy sędziów i obmyślenia skutecznego środka jej zapobieżenia”.

✦ **12 lipca.** Notatka z tej samej kroniki: „Najstarsze polskie pismo satyryczne ukończyło w bieżącym miesiącu jubileusz 50-lecia. Pierwszy bowiem numer »Dyabła« wyszedł 7 lipca 1869 roku. Redakcja dla uczczenia tej rocznicy przygotowuje wydanie podwójnego numeru jubileuszowego”.

✦ **13 lipca.** „Nowa Reforma” zamieściła sprostowanie: „Od p. Jana Goetza Okocimskiego otrzymaliśmy następujące pismo: »Dzienniki podały wiadomość, jakoby sprzedawca swe dobra Francuzom. Upraszam o sprostowanie, że ta pogłoska jest z gruntu fałszywą, że majątku mego ziemskiego ani przemysłowego nikomu nie sprzedałem i na ten temat z nikim nie paktowałem. Okocim 10 lipca 1919 roku – Jan Goetz Okocimski«”.

✦ **13 lipca.** Z kroniki „IKC”: „Dziś przybyło z Włoch do Krakowa 12 wagonów z mundurami dla wojsk polskich. Cenny ten ładunek przywiózł mjr Buglione di Monale”.

✦ **13 lipca.** Towarzystwo Strzeleckie reaktywowało tradycję wyboru króla kurkowego. W uroczysto-

Aresztowano ociemniałego Karola Płonkę, który skradł kozę będącą własnością jednego z woźnych Szpitala św. Łazarza. Kozę odebrano i oddano właścicielowi.

ści wzięli udział między innymi generałowie Haller i Symon, a także generałowie francuscy i oficerowie armii włoskiej. Królem został kupiec, dr Władysław Nieć. Fotoreportaż z uroczystości zamieściły „Nowości Ilustrowane”.

✦ **14 lipca.** „Budowa nowych gmachów rządowych w Krakowie, a mianowicie Dyrekcji Skarbowej, Akademii Górniczej i Kliniki Ginekologicznej, ma być wkrótce rozpoczęta. Jak słyhać, ministerstwo robót publicznych prace te ma podobno oddać jednej uprzywilejowanej firmie, co w kołach tutejszych architektów przyjęto co najmniej ze zdziwieniem. Protekcyjny monopol budowlany nie wyjdzie nikomu na dobre, a najmniej tym gmachom, które publicznym groszem mają być wybudowane. Domagamy się w tej sprawie wyjaśnień” – niepokoił się „IKC”.

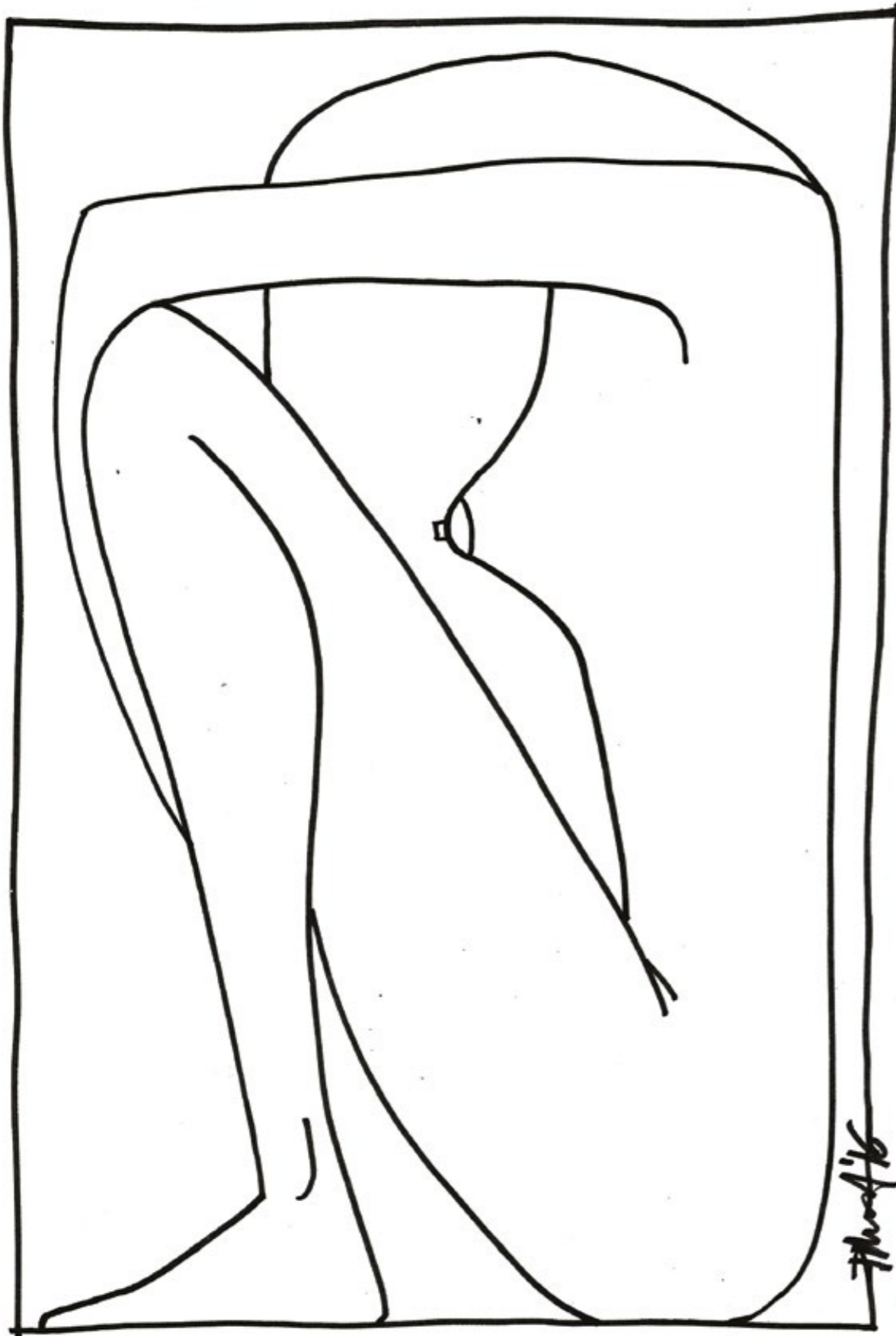
✦ **16 lipca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „U niejakiego Stefana Dobranowskiego policja zakwestionowała cztery ornaty kościelne. Dobranowski, pytany o ich pochodzenie, oświadczył, że odziedziczył je po rodzicach. Policja bada tę kwestię spadkową”.

✦ **16 lipca.** „Policja aresztowała Wilhelma Tuchowskiego, Stanisława Wilgockiego, Franciszka Zatorskiego i Stanisława Zygmunta, którzy po całonocnej wyprawie wraz z dorożkarzem Michałem Pęczkiem, wywołali w pewnym domu przy al. Słowackiego ogromną awanturę. Bandyci rozbili bramę wpadli do pokoi mieszkańek i dotkliwie je pobili. W czasie aresztowania znaleziono przy nich większą ilość pieniędzy, które niewątpliwie pochodzą z kradzieży” – relacjonował reporter „IKC”.

Enigmatyczne stwierdzenie „w pewnym domu” spowodowane było tym, że chodziło o dom nierządu, jeden z czterech działających wtedy w Krakowie. Przybytki te zdelegalizowano jeszcze w tym samym roku (na terenie całego kraju, ostatecznie w 1922 roku). Dom, o którym mowa, przetrwał i jest obecnie oficyną frontowej kamienicy wystawionej przy al. Słowackiego 29 w latach 30.

✦ **17 lipca.** Z kroniki „Czasu”: „Wyścigi kolarskie urzędują w dniu 20 bm. oddział kolarski Sokoła krakowskiego”.

✦ **18 lipca.** Dzienniki informowały ku przestrodze o karze śmierci, jaką wydał sąd doraźny w Krakowie na bandytę Kłeczka z Miękinii. Był on długo postrachem wsi położonych w okolicach Krzeszowic, na-



Piotr Błachut, *Akt 1*, rysunek



Sala w krakowskim gmachu Sokoła była od zawsze widownią najróżniejszych imprez – sportowych, kulturalnych, politycznych – i ta tradycja trwa po dziś dzień. Widokówka, 1924, archiwum autora

padając i rabując kobiety. Wyrok przez rozstrzelanie wykonano dwie godziny po ogłoszeniu, na dziedzińcu sądu przy ul. Kanoniczej 1.

✦ **18 lipca.** „Wczoraj wieczorem przychwycono niebezpiecznego złodzieja Karola Świgońa z Wyciąża, któremu skonfiskowano wielką ilość skradzionej garderoby. Świgoń spostrzegłszy zbliżającego się agenta policyjnego, skoczył do Wisły i usiłował ją przepłynąć, by umknąć do Podgórze, jednakowoż na środku rzeki opuściły go siły i począł wołać o ratunek. Wyciągnięto go z rzeki i oddano policji. Ten sam złodziej przed kilku dniami uciekł już na skradzionym rowerze przed pościgiem” – relacjonował reporter „Czasu”.

✦ **18 lipca.** „Klub sportowy Cracovia donosi, że korty tenisowe znakomicie urządzone są już gotowe do użytku w parku gier Cracovii u wylotu ul. Wolskiej. Zgłoszenia przyjmuje się na miejscu, od godz. 5 i pół po południu” – zachęcał „IKC”.
Ulica Wolska, to dzisiejsza ul. Piłsudskiego (nazwę zmieniono w 1933 roku). Korty Cracovii urządzone od strony ul. Filareckiej. W latach 1956–1960 na kortach działało pierwsze w Krakowie kino letnie o nazwie Cracovia.

✦ **19 lipca.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Izrael Drobek z Lublina idąc z hotelu Monopol do hotelu City, zasłabł na ul. św. Gertrudy. Pospieszono mu z pomocą, jednakże przy tej sposobności skradziono mu portfel z 37 tys. marek niemieckich”.

✦ **20 lipca.** Oryginalne zdarzenie opisał „Czas”: „Jerzy Nowak, krawiec z Wielkiej Górki w powiecie bielskim, zgłosił wczoraj policji na dworcu kolejowym, że skradziono mu 17 tys. koron. Niespełna pół godziny później odprowadzono go na policję za kradzież 65 koron,

na szkodę pewnego podróżnego. Nowak tłumaczył, że skoro jego okradli, to i on musiał ukraść”.

✦ **22 lipca.** „Automobil straży pożarnej jadąc szybko do zgłoszenia, na rogu ulic Stradomskiej i św. Gertrudy chcąc wyminąć dorożkę, wpadł na żelazny słup podtrzymujący przewody tramwajowe. Skutki były straszne. Wszyscy strażacy znajdujący się w samochodzie wypadli na bruk, a jeden z nich uderzył tak nieszczęśliwie w narożnik chodnika, że zginął na miejscu. Inni doznali cięższych lub lżejszych potłuczeń. Automobil uległ kompletnemu zniszczeniu” – relacjonował „IKC”.

✦ **26 lipca.** O niecodziennej kradzieży donosiła „Nowa Reforma”: „Wczorajszej nocy skradziono w Teatrze Żydowskim przy ul. Bocheńskiej kurtynę wartości 2 tys. koron”.

✦ *Teatr Żydowski zainaugurował działalność około 1910 roku, w oficynie nowej kamienicy przy ul. Bocheńskiej 7. Reaktywowany pod koniec I wojny światowej, regularnym, profesjonalnym teatrem stał się dopiero od 1926 roku. W latach 1945–1986, w jego siedzibie występował amatorski Teatr Kolejarski.*

✦ **28 lipca.** „W sobotę 23 sierpnia w sali Sokoła wygłosi odczyt z zagadnień ducha i duszy ludzkiej p. Stanisław Przybyszewski. Bilety w księgarni Krzyżanowskiego” – zapowiadała z wyprzedzeniem „Czas”.
Księgarnia Krzyżanowskiego działała od 1870 roku przy ul. Floriańskiej 7. Później jej główna siedziba, wraz ze składem nut, mieściła się w Rynku Głównym 36. Dziś jej tradycje kontynuuje (w tym samym miejscu) księgarnia muzyczna Kurant.

✦ **28 lipca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Jak wiadomo, Towarzystwo »Żegluga Polska« sprowadza

do Krakowa na galarach węgiel w dużych ilościach. W ostatnich dniach policja wykryła, że służba na galarach fałszuje wagę węgla przez obfite zlewianie ich wodą, przez co naraża publiczność na straty”.

✦ **30 lipca.** „Na Plantach około kościoła ruskiego znaleziono martwe dziecię liczące dwa do trzech miesięcy, płci żeńskiej” – donosił „Czas”.

✦ *„Ruskim” nazywany był potocznie kościół św. Norberta u wylotu ul. Wiślniej, będący wtedy (podobnie jak dziś), pod zarządem parafii greckokatolickiej.*

✦ **5 sierpnia.** Z kroniki „Czasu”: „Pisma warszawskie donoszą, że lotnik włoski, który przywiózł pocztę dla misji włoskiej, przeleciał drogę z Krakowa do Warszawy w ciągu 1 godz. i 27 min.”

✦ **5-8 sierpnia.** Powtórzyły się uliczne zamieszki wywołane fatalną aprowizacją. Znow doszło do rabunkowych napadów na sklepy i restauracje, wymuszano też wydanie darmowych posiłków. Prowodyrami były kobiety, w asyście wyrostków. Prasa wszystkich odcieni zgodnie potępiała zajścia.

✦ **6 sierpnia.** Na Błoniach odbyły się – opisywane obszernie w dziennikach – uroczystości piątej rocznicy wymarszu z Oleandrów legionistów Józefa Piłsudskiego. Uczestniczyli w nich między innymi gen. Kazimierz Sosnkowski (jako delegat Naczelnika Państwa) oraz gen. Józef Haller. Po mszy polowej ks. infułat Czesław Wądołny poświęcił kamień węgielny pod przyszły pomnik wolności (miał stanąć na Błoniach). Uroczystość zakończyła defilada wojskowa.

✦ **6 sierpnia.** „Policja ujęła wczoraj trzech agitatorów bolszewickich: Izraela Mozesa, Herscha Neisera i Einiga Bauma, którzy obchodzili wsię powiatu krakowskiego, zwabiając ludność muzyką katarynek i szerzyli propagandę bolszewicką” – relacjonował „IKC”.

✦ **7 sierpnia.** Z kroniki „IKC”: „Wczoraj aresztowała policja niejaką Bronisławę Koziańską, która w kinie Wanda wycięła sąsiadce kieszeń z płaszczą, kryjącą portmonetkę ze znaczną kwotą”.

✦ **7 sierpnia.** „Wyrostki miejskie, pozbawione wszelkiej opieki, stały się plagą Krakowa. Całe czerechy umorusanych oberwańców włóczęją się po mieście, łącząc się z szumowinami i wytwarzają zamęty, tak podatne do operacji kieszonkowców i tworzenia rozruchów. Wczoraj Franciszek Grych, lat 13, i Adam Piórecki, lat 14, napadli przy ul. Podzamcze na 14-letnią Annę Uryan, obrzucili ją wyciskiem z malin, a oczy zalali jakąś cuchnącą cieczą. Policja oddała malców rodzicom do ukarania” – pomstował „IKC”.

✦ **11 sierpnia.** „Głos Narodu” relacjonował spotkanie prezydenta miasta Federowicza z Radą Apropowizacyjną, jakie odbyło się tuż po kilkudniowych zamieszkach. Prezydent zapewnił, że zaopatrzenie poprawi się, bo w drodze jest między innymi 200 wagonów ziemniaków z poznańskiego oraz 250 wagonów roślin strączkowych i mąki, a także biały cukier i sól.

✦ **15 sierpnia.** W dniu dzisiejszym obchodzimy święto N. Marii Panny zwanej „Zielną”, od zwyczaju święcenia ziół, który w kościele chrześcijańskim jest od dawna uroczystości obchodzony. Miasto przedstawia barwny widok, gdy tłumy dziewcząt wiejskich w krakowskich strojach idą z naręczami ziół do kościoła Mariackiego, jak to jest praktykowane od wieków – opisywał reporter „IKC”.

✦ **16 sierpnia.** „Na strych jednego z domów w Rynku Podgórskim włamał się Stanisław Wisłocki. Spako-

wał skradzioną bieliznę w duży toból, lecz na schodach został zatrzymany przez agenta policji, z którym podczas aresztowania stoczył zaciętą walkę” – odnotował reporter „Głosu Narodu”.

✦ **17 sierpnia.** Gazety relacjonowały przyjazd i pobyt w Krakowie amerykańskiego senatora Herberta Hoovera, pomysłodawcy i organizatora akcji pomocy dla dzieci polskich. W programie znalazły się między innymi: zwiedzanie Wawelu, obiad w Grand Hotelu oraz spotkanie z 6 tys. dzieci w parku Jordana. Hooverowi towarzyszył premier Paderewski.
Herbert Hoover, został kilka lat później 31. prezydentem Stanów Zjednoczonych. Urząd pełnił w latach 1928–1932.

✦ **17 sierpnia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Aresztowano ociemniałego Karola Płonkę, który skradł kożę będącą własnością jednego z woźnych Szpitala św. Łazarza. Kożę odebrano i oddano właścicielowi”.

✦ **19 sierpnia.** „W niedzielę wezwano pogotowie ratunkowe na dworzec kolei, gdzie znaleziono w ciężkim stanie kupca z Wolbromia, który zapewne przez pomyłkę napił się octu zagęszczonego (miał go z sobą) zamiast wódki. Chorego odwieziono do Szpitala św. Łazarza” – odnotował „Głos Narodu”.

✦ **22 sierpnia.** Z opisanymi wyżej smutnymi wypadkami koresponduje notatka z „Czasu”: „W więzieniach Krajowego Sądu Karnego panuje od dłuższego czasu takie przepełnienie, że policja zmuszona jest często rezygnować z aresztowania złodziei, poprzestając na odebraniu im rzeczy skradzionych. Sprawa dostarczenia lokalu na areszty jest nagłą, albowiem rzemieślnicy wszelkiego rodzaju, licząc na bezkarność, uprawiają zuchwale swoje rzemiosło”.

✦ **22-25 sierpnia.** Dzienniki donosiły o napadach dokonanych przez szajkę złożoną z czterech uzbrojonych bandytów. Okradziono między innymi księży salezjanów w Dębniakach, włościanina Jakubowicza na Rybitwach i Jana Owcę na Zwierzyńcu. W tym ostatnim przypadku ofiarą gwałtu padła 13-letnia córka Owcy, która zmarła następnego dnia w szpitalu. Sprawców dość szybko schwytano i skazano na śmierć.

✦ **24 sierpnia.** Do Krakowa dotarł pierwszy transport rannych powstańców ze Śląska. Kilkudniowe walki i powstania o przyłączenie Górnego Śląska do Polski w praktyce wygasły. Za pośrednictwem dzienników organizowano zbiórki pieniędzy na pomoc dla Górnoszlązaków. Jako pierwsza zareagowała redakcja „IKC”, ofiarując tysiąc koron.

✦ **29 sierpnia.** „Samochody jeżdżą po ulicach Krakowa z prędkością, która ustawicznie powoduje nieszczęśliwe wypadki. Automobil prywatny potrafił 13-letnią Marię Pilarską, która doznała złamania nogi. Dziesięć minut po tym wypadku, samochód wojskowy najechał na ul. Retoryka, na 18-letnią robotnicę Marię Daros, która doznała ciężkich kontuzji” – ubolewał „Głos Narodu”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Wielopokoleniowe miłośnictwo Krakowa

Rozmawiał Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Prof. Jacek Purchla, prezes Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa i redaktor naczelny „Rocznika Krakowskiego”: Kraków u schyłku XIX wieku był jedynym polskim ośrodkiem naukowym, w którym istniało środowisko historyków sztuki. A „Rocznik Krakowski” już przed stu laty stał się jednym z najważniejszych tytułów polskiej humanistyki.

Krzysztof Jakubowski: Idea ochrony zabytków narodziła się w Krakowie w okresie dynamicznego rozwoju i modernizacji miasta. W latach 80. i 90. XIX wieku pod skrzydłami autonomii rozkwita w mieście handel i przemysł. Wzmagają się też ruchy budowlane. Tyle że niesie to zagrożenia dla zabytkowej tkanki...

Prof. Jacek Purchla: Nowoczesny Kraków rozdzielił się w skomplikowanej sytuacji. Pełnił nie tylko funkcję duchowej stolicy narodu pozbawionego państwa, ale był również austriacką twierdzą z 6-tysięcznym garnizonem. Gorset fortyfikacji hamował ekspansję terytorialną miasta i wzmagał presję modernizacyjną na zabytkową substancję. Symbolem stała się historia wybudowania Teatru Miejskiego w miejscu zburzonego w tym celu średnio-wiecznego kompleksu Duchaków. Nie pomogły protesty, w tym Jana Matejki. Śmierć malarza 1 listopada 1893 roku zbiegła się niemal dokładnie z otwarciem Teatru Miejskiego. Teatr był zapowiedzią nowej epoki – zbliżającej się do bram miasta kapitalistycznej nowoczesności i rozmachu. Jej widowym znakiem stała się między innymi zaprowadzona w teatrze elektryczność, wyprzedzająca o kilkanaście lat powstanie elektrowni miejskiej. Konflikt między Matejką a radą miasta o lokalizację gmachu teatralnego miał więc szerszy kontekst. Dotyczył relacji między przeszłością a przyszłością Krakowa! Rok 1893 stanowić może cezurę w dziejach miasta.

Odpowiedzią była mobilizacja kręgów konserwatorskich...

Kraków już od pierwszej połowy wieku XIX wyrastał na laboratorium polskiej myśli konserwatorskiej. Barbakan, spalony w pożarach roku 1850 kościoły Dominikanów i Fanciszkanów, regotycyzacja kościoła Mariackiego, restauracja Katedry Wawelskiej to kolejne rozdziały pionierskich na ziemiach polskich debat i operacji konserwatorskich. Tworzeniu środowiska konserwatorskiego sprzyjała sytuacja, w jakiej znalazła się Galicja po ugodzie austro-polskiej. Tradycja w różnych jej aspektach i konserwatywny kult historii mogły naj-

pełniej realizować się właśnie pod Wawelem. Kraków odczytany został nie tylko jako muzeum Polski pod otwartym niebem, lecz także jako miejsce przechowywania pamiątek ojczystych uratowanych z burzy dziejowej.

Potrzebę wykorzystania dziedzictwa dla rozwoju rozumiał też Józef Dietl, pierwszy prezydent Krakowa. Podjęta z jego inicjatywy restauracja Sukiennic i przekształcenie *palais du commerce* w świątynię muz, w której otwarto pierwsze polskie Muzeum Narodowe, świadczą o odpowiedzialności samorządu miejskiego za kreowanie funkcji dawnej stolicy jako „skarbnicy narodowych pamiątek i złotej księgi polskiej historii”.

Historia sztuki – jako dyscyplina nauki – nie miała na ziemiach polskich zbyt długiej tradycji...

Historia sztuki to dziecko wieku XIX i ówczesnego kultu przeszłości. W Krakowie wcale nie byliśmy spóźnieni! Tradycja starożytnictwa, której symbolem pozostaje Ambroży Grabowski i jego pionierskie dzieła, znalazła kontynuację w postaci pierwszej na ziemiach polskich Katedry Historii Sztuki, która powstała na Uniwersytecie Jagiellońskim już w 1882 roku. Jej twórcą i wychowawcą pierwszego pokolenia historyków sztuki był Marian Sokołowski. Skądinąd już wcześniej, bo od roku 1872, udzielał się on w działającej przy krakowskiej Akademii Umiejętności Komisji dla Badania Historii Sztuki. Ta zaś wyrosła z Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, gdzie podstawy pod tę rodzącą się dopiero w Europie dyscyplinę kładli między innymi Władysław Łuszczkiewicz i Józef Łepkowski. Łepkowski był twórcą pierwszej polskiej katedry archeologii, ale odegrał rolę także jako konserwator zabytków i prekursor badań nad historią sztuki. Równocześnie od końca lat 80. działało Grono Konserwatorów Galicji Zachodniej, które skupiało pokaźną już grupę badaczy pomników naszej architektury. W 1890 roku z inicjatywy Łepkowskiego rozpoczęto inwentaryzację zabytków Krakowa! **A wraz z powstaniem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa pojawi-**



Jacek Purchla (ur. 1954) – historyk sztuki i ekonomista, profesor zwyczajny nauk humanistycznych, specjalista z zakresu dziedzictwa kulturowego i historii miast. W latach 1990–91 wiceprezydent Krakowa, potem założyciel i wieloletni dyrektor Międzynarodowego Centrum Kultury, nauczyciel akademicki Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie i Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Polskiej Akademii Umiejętności. Jest członkiem wielu organizacji krajowych i zagranicznych, m.in. Polskiej Akademii Umiejętności, Komitetu Nauk o Sztuce PAN, Polskiego Komitetu ds.

UNESCO, Rady Europa Nostra w Hadze; pełnił też funkcję przewodniczącego Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO. Od roku 1989 jest redaktorem „Rocznika Krakowskiego”. Autor kilkunastu książek, głównie powiązanych z tematyką krakowską, m.in.: *Jak powstał nowoczesny Kraków* (1979), *Matecznik Polski. Pozaekonomiczne czynniki rozwoju Krakowa w okresie autonomii galicyjskiej* (1990), *Kraków w Europie Środką* (2000), *Gry w miasto* (2011). W ostatnim numerze „Krakowa” opublikowaliśmy jego esej *Dziedzictwo-Kraków-Wolność*.



Stanisław Krzyżanowski (1865–1917), mediewista, prof. historii UJ, prezes TMHiZK i pierwszy redaktor „Rocznika Krakowskiego”

autorytet pomógł w nadaniu pismu poziomu – zamieszczone przed 100 laty rozprawy wciąż mają wartość merytoryczną. Przykładowo, tom 4 rocznika Krzyżanowski poświęcił 500. rocznicy odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego, publikując tak ważne źródła, jak pierwsze uniwersyteckie przywileje.

Z kolei tom 6 z 1904 roku to pierwsza próba syntezy kultury i sztuki Krakowa! Równocześnie „Rocznik” stał się miejscem publikowania odkryć konserwatorskich i to tak spektakularnych, jak ogłoszona w roku 1918 przez Adolfa Szyszko-Bohusza rozprawa o rotundzie świętych Feliksa i Adaukta na Wawelu. W ten sposób „Rocznik Krakowski” stał się jednym z najważniejszych tytułów polskiej humanistyki. Potwierdzają to nazwiska autorów nieomal tysiąca już rozpraw opublikowanych od roku 1898.

Do dziś budzi podziw szata graficzna i jakość ilustracji. W przypadku tomu 6 krakowscy drukarze musieli szukać wsparcia aż w Wiedniu...

Strona edytorska „Rocznika” zawsze była staranna, a nawet wytworna. Dość powiedzieć, że okładkę jednego z pierwszych numerów zaprojektował Stanisław Wyspiański. „Rocznik” był nie tylko wizytówką Towarzystwa i krakowskiego środowiska naukowego, ale też nauki polskiej. Mogłem się o tym przeko-

ła się możliwość regularnej edycji wydawnictw popularnonaukowych...

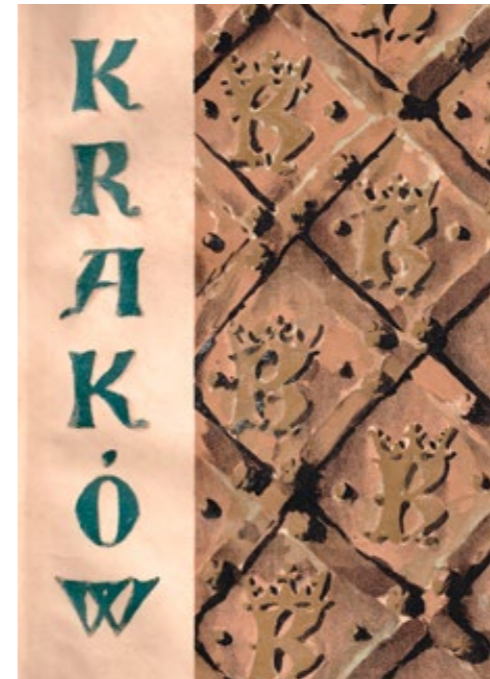
Towarzystwo zawiązało się 21 listopada 1896 roku, a rozpoczęło formalnie działalność 1 stycznia następnego roku. Celem była popularyzacja dziejów Krakowa i dziedzictwa kulturowego starej stolicy Polski. Już w tymże roku 1897 ukazały się pierwsze cztery tomy „Biblioteki Krakowskiej”. Klemens Bąkowski – jeden z założycieli Towarzystwa i jego wielki dobroczyńca (ofiarował mu kamienicę przy ulicy św. Jana 12) – tom 3 „Biblioteki” zatytułował *O wartości zabytków świeckiego budownictwa Krakowa!* Rok później – jako tom 6 – Bąkowski wydał pionierską *Historię Krakowa w zarysie*.

O ile „Biblioteka” miała „rozpowszechnić znajomość i zamiłowanie historii i zabytków Krakowa”, to „Rocznik Krakowski”, którego pierwszy numer ukazał się w roku 1898, był czasopiśmie naukowym, wokół którego skupiła się grupa najwybitniejszych badaczy dziejów i sztuki miasta. Wśród autorów pierwszych rozpraw byli założyciele Towarzystwa: Franciszek Piekosiński, Władysław Łuszczkiewicz, Józef Wawel-Louis, Stanisław Estreicher, Leonard Lepczyński i Stanisław Wyspiański, który w pierwszym tomie zamieścił artykuł o polichromii w kościele św. Krzyża. **Redaktorem naczelnym został Stanisław Krzyżanowski, ówczesny dyrektor Archiwum Akt Dawnych...**

A przede wszystkim wybitny mediewista i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego



Niewątpliwym walorem nr 4 „Rocznika Krakowskiego” (1901 r.) była utrzymana w duchu secesji okładka autorstwa Stanisława Wyspiańskiego



Okładkę poświęconego kulturze i sztuce Krakowa nr 6 „Rocznika Krakowskiego” zaprojektował początkujący wówczas artysta Jan Gumowski

nać, zwiedzając Bibliotekę Kongresu w Waszyngtonie. Tam kompletują nasz „Rocznik” od roku 1898!

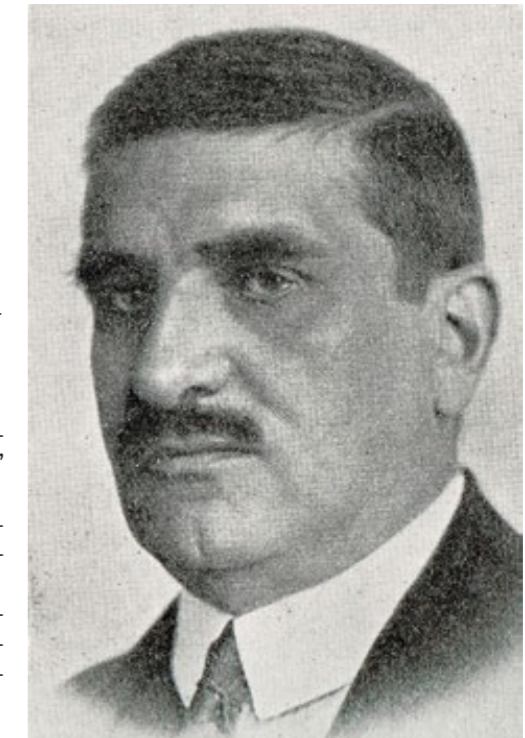
Sam pierwszy raz usłyszałem o „Roczniku” bodaj jeszcze w szkole podstawowej, kiedy to w Radiu Kraków ze swadą opowiadał o piśmie profesor Karol Estreicher. Jego kadencja to epoka w historii tytułu. Przejmował stopniowo odpowiedzialność za „Rocznik” z rąk profesorów Jana Dąbrowskiego i Adama Bochnaka, by od roku 1966 aż do swej śmierci być jego suwerennym redaktorem. Podkreślam rolę Karola Estreichera – mojego profesora historii sztuki – bo był on również ambasadorem „Rocznika”, zachęcając nas, młodych, nie tylko do czytania, ale i pisania do tej wielopokoleniowej księgi miłośnictwa Krakowa. Od matury, od niezapomnianego kursu przewodników po Krakowie i członkostwa w Towarzystwie, a więc od 45 lat, „Rocznik” jest częścią mego światopoglądu. Na studiowaniu „Rocznika” opierałem się, przygotowując ponad 40 lat temu mój debiut wydawniczy, czyli ogłoszoną w serii „Biblioteki Krakowskiej” książkę *Jak powstał nowoczesny Kraków*.

Swoistym testamentem Karola Estreichera stał się tom 50, który ukazał się w roku 1979. Tom 51 – przygotowany przez Profesora w stanie wojennym – ukazał się dopiero pod datą roku 1987. Miałem zaszczyt nie tylko debiutować wówczas na łamach „Rocznika”, ale wspierać kolejnych jego redaktorów: profesorów Jana M. Małeckiego i Jerzego Wyrzumskiego. To im zawdzięczamy kontynuację tradycji. Tom 52, który ukazał się pod datą roku 1986 i otwierał nowy etap w histo-

rii „Rocznika”, przyniósł między innymi fundamentalny tekst prof. Gerarda Labudy *Jak i kiedy Kraków został stolicą Polski piastowskiej?* Bo do debaty na forum „Rocznika” zapraszamy też uczonych z innych ośrodków i z zagranicy. Waga problematyki krakowskiej wykracza poza ramy historii lokalnej.

Jak wygląda dziś praca redakcyjna?

Cykl wydawniczy rocznika daje większy komfort pracy, ale i podnosi poprzeczkę. Teksty są poddawane wewnętrznej, a później zewnętrznej recenzji. Wspólnie z komitetem redakcyjnym staram się pilnować również



Karol Estreicher, historyk sztuki, prof. UJ, w latach 1966–1984 redaktor „Rocznika Krakowskiego”

różnorodności tematycznej „Rocznika” i proporcji między historią i sztuką Krakowa.

Na przełomie lat 70. i 80. nakład tytułu przekraczał 700 egzemplarzy... Jaki jest obecnie? Pierwszą grupą czytelników są członkowie Towarzystwa – a tych jest ponad trzystu. Ale dziś możemy dostosowywać nakład do popytu, pamiętając o Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej, która umieszcza *on-line* kolejne tomy rocznika, poczynając od roku 1898. Świat się zmienia, ale nie zmienia się Kraków jako źródło tematów.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Sylwestrowe baloniki

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Michał Ramus/Teatr Słowackiego

Wtorek

Jako że seans *Lalka* – według powieści Bolesława Prusa przez Wojciecha Klemma na dużej scenie Teatru Słowackiego wyreżyserowany – jest wehikułem w istocie transsyberyjskim i zmienić tego już się nie da, wielkodusznym gestem dyrekcji byłoby wstawienie w miejsce pięknych, zabytkowych foteli na widowni – rozkładanych łóżek polowych lub choćby materacy dmuchanych. W ostateczności mogłyby to być koce w szkocką kratę... Bawią te zdanka kogoś?

Środa

Nie. Nie bawi mnie wtorek. I mniejsza z tym, czy zdanka wtorkowe rzeczywiście są czy nie są godne finezyjnego kabaretu. Aby jakoś udźwignąć *Lalkę* Klemma przebrałem się za facecjonistę, Stańczyka albo nawet za samego Antoniego Słonimskiego, który w felietonie teatralnym wyznał: „O przedstawieniu *Pociąg* nic napisać nie mogę, ponieważ w pociągu tym miałem miejsce sypialne”. Przebrałem się tedy, lecz minął dzień zaledwie i nie bawią mnie fatałaszki wtorkowe, gdyż od dłuższego czasu nie bawi mnie okołoteatralne jajcarstwo jako takie. Już nie. Ileż bowiem razy można ratować się dowcipem, i to dowcipem nieuchronnie na jedno kopyto kleconym, bo źródło dowcipu – nowoczes-

Od dłuższego czasu nie bawi mnie okołoteatralne jajcarstwo.

ny teatr polski lat ostatnich – jest generalnie groteską na jedno kopyto? Już mi się nie chce rechotać ani rozbawiać wicami. Lecz jeśli nie facecja, to co? Powaga? Najlepiej – ideologiczna powaga? Mam zatem wcisnąć się w szatki młodej siły krytycznej i ulepić o *Lalce* Klemma referat traktujący wyłącznie o głębi filozoficzno-społecznej tejże *Lalki*, zupełnie przemilczając jej „ciało” sceniczne?

Piątek

Dzieło Prusa to powieść, którą stworzył z wielkich pytań swojej epoki... Kto to odkrył? Jaki geniusz? Nie pamiętam. Ktokolwiek to był, można wzuć jego buty, wstąpić na ścieżkę jego odkrycia i na kanwie dzieła Klemma detalicznie rozwinąć odkrycie, z całkowitą powagą prawiąc, co następuje. Że

na scenie widać cywilizacyjne zwanie sfer konserwatywnych z nowoczesnymi, że iskrzy pomiędzy starą arystokracją a rodzącą się klasą średnią, że cudnie reżyser ukazał nam czas społecznych przemian, kiedy to romantyczne narowy ustępują miejsca pozy-

tywistycznej pragmatyce, że zimny pieniądz wypierać zaczyna dygot czułych serc oraz że dawna miłość szczerą przepoczwarza się w nieludzką arytmetykę miłości, że... I tak dalej, dalej, jeszcze dalej, w końcu najdalej. Słowem, na tym poziomie koturnowej ogólności albo też, jak rzekłby Ludwik Flaszen, na takim dnie ideologicznego wszystkoizmu – bez najmniejszego problemu, wręcz automatycznie

wtedy, gdyby *Lalki* Klemma – w ogóle nie było na świecie. Lecz ona jest. Przez cztery godziny, długie, monotonne i puste niczym podróż Koleją Transsyberyjską – trwa na scenie. I posiada „ciało”, które nie jest przezroczyste.

Niedziela

Spytać „o czym jest dzieło?”, nie zadając wcześniej, a najlepiej, o ile to możliwe, jed-



da się oznajmić, że oto wielkie pytania epoki, w której dzieje się *Lalka* Prusa, dzięki dziełu Klemma okazały się być kluczowymi pytaniami także epoki naszej. Owszem, da się. Ponura oczywistość na tym jednak polega, że dokładnie to samo dałoby się rzec również

nocześnie, pytania „jak zrobione jest dzieło?” – to bodaj najgłupsze, co w świecie sztuki wszelkiej można uczynić. Jak mówić o dziele – nie mówiąc o dziele? Jakim cudem da się poważnie dyskutować o zwanym konserwatyzmie z nowoczesnością, kiedy na scenie ak-

tor w jarmułce, słysząc od aktora w wełnianej czapce, że zarobi – na czworaka pada i psa udając, prawą nogę przy kolumnie podnosi, malując na twarzy swej wielką ulgę pęcherza, co oczywiście ma być ironiczną metaforą żydowskiego opętania pieniądzem? Jak można analizować iskrzenie między arystokracją a nowobogackimi, kiedy aktorzy, niczym dzieci w przedszkolu, gromadnie udają zarazem konie oraz że kłusują na udawanych przez siebie koniach, co jest sygnałem, że scena odbywa się na wyścigach konnych? Jak bez stoczenia się w śmieszność recytować ideologiczne koturny o epoce przemian społecznych, o umierającym cudzie miłości czystej, wreszcie o tragicznych romantycznych zapętleniach głównego bohatera, jeśli się koturny te filozoficzne recytuje obok aktorów, którzy gadają wewnątrz założonych na swe głowy tekturowych pudeł, obok aktorki, co lubi w wannie siedzieć bez końca, obok aktora kreujującego samuraja w tkanym z włókien bambusa kapeluszu rolników wietnamskich, w bajorze po kolana sadzących źdźbła ryżu, a bezlitosne słońce pali rachityczne ich karki, obok aktora malowniczo wypluwającego dwa swoje utracone zęby lub owijającego się do snu długim dywanem w perskie szlaczki, słowem – obok stu porównywalnie zdumiewających zjawisk scenicznych, aktorskich, scenograficznych i kostiumowych?

Poniedziałek

Jak by się nie zaklinało rzeczywistości, jak by się nie błagało jej o nieistnienie, o skorzystanie z czapki niewidki, aktor grający Żyda udającego psa z uniesioną przy słupie tylną łapą – nie stanie się przezroczysty. Kartonowe pudła na głowach. Stara balia na ramionach. Wanna jako sofa. Ołtarz w kredensie. Sztuczne kwiaty w szufladach kredensu. Pikująca podróż zębów. Człękokształtne konie. Dywanowa kołdra. Czerwone światełka i strzępy pieśni Jacques'a Brela, czyli jak sobie Jaś Paryż rozpustny wyobraża. Wielokrotny balet gimnastyczny, pojedynczo bądź w grupach. Przypominająca szkieletora przy rondzie Mogiłskim konstrukcja, zapieniająca scenę słupami. Kaszkiet angielskiego lorda, fajka słynnego londyńskiego detektywa, wełniana czapka artysty o lewicowych nastrojach i trzy lub cztery meloniki smoliste. Czółenka na wysokich obcasach, trepy amerykańskiej armii, adidas, dres kibica nieznanego zespołu piłkarskiego, bejsbolówka oraz kalafior w ażurowej siatce, jeśli to kalafior. Nic nie jest przezroczyste. Do tego – a wymieniałem ledwie jedną pięćdziesiątą planktonu tworzącego „ciało” *Lalki* Klemma – dochodzą postacie, figury – przecież sedno opowieści.

Wtorek

Co powiedzieć o Wokulskim, Rzeckim, Łęckiej i reszcie? Gdzieś u Oscara Wilde'a spo-

tykają się na balu oko w oko markiz z markizem i gdy szczepionymi rękami potrzęsają na powitanie, jeden, omiatając uważnym spojrzeniem oblicze drugiego, z żalem wyznaje: „Przypominam sobie pana imię, lecz jakoś nie mogę sobie przypomnieć pana twarzy”. Nie wiele więcej mogą rzec o aktorstwie, a to „niewiele” – garść słów o paru czystych momentach, kilku zgrabnych etiudach, może



dziesięciu zrozumiałych spojrzeniach – nie ma większego znaczenia. Ma za to znaczenie nieubłagany fakt, że również brak twarzy nie jest przezroczysty. Gorzej nawet. Zwłaszcza brak twarzy jest wyjątkowo dojmująco nieprzezroczysty.

Czwartek

Że Klemm – jak to się dziś mówi – odważnie przeniósł stare słowa Prusa w aktualne realia, że odział je współczesnym kostiumem, wcisnął w dzisiejsze intonacje, rytmy, barwy oraz kształty – to w sumie nie problem. Nawet rozpięcie form pomiędzy Sasem a lasem, rozpięcie tworzące majestatyczny bałagan – można przełknąć. Sednem błędu tego „ciała”

rzyc do swego filmu doskonałe echo planktonu rzeczy składających się na świat *Lalki* Prusa. A rzeczywistość przez Klemma przedstawiona? Coś z jasełek, zawsze bezpiecznie papuzich. Coś z dziecinnych teatrzyków kleconych naprędce z byle czego. Coś z banału bibuły, styropianu i dmuchanych baloników, w sylwestra dyndających nad tanecznym parkietem. Plastik? Plastik.

jest jego odpustowość. Diagnozy Prusa mają znaczenie o tyle, o ile osadzone są w rzeczywistości poważnej, wszystkim jedno, czy tej warszawskiej z końca XIX wieku, czy krakowskiej dziś. Dobrze wiedział o tym Wojciech Jerzy Has, kiedy nakazał Jerzemu Skarżyńskiemu stwo-



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Nie jestem do podziwiania

Rozmawiała Iga Dzieciuchowicz Zdjęcie: Piotr Uss Wąsowicz

Hanka Wójciak: Bo ja w drugim człowieku się przeglądam.

Są artyści, z którymi człowiek natychmiast by się zaprzyjaźnił i zwierzył ze wszystkiego. Taka jest Hanka Wójciak – krakowska wokalistka, autorka tekstów piosenek i kompozytorka. Laureatka pierwszej nagrody na 46. Studenckim Festiwalu Piosenki w 2010 roku. Założycielka kapeli Hanka Wójciak i zespołu SHA. A także dziennikarka związana z Radem Kraków.

(Na początku przychodzi SMS: „Mów mi Hanka!”)

Iga Dzieciuchowicz: Hanka, Ty wciąż mówisz o innych ludziach!

Hanka Wójciak: Spotykam ludzi niezwykłych i mam to szczęście, że chcą ze mną być. W tworzeniu i w życiu potrzebuję zachwyty drugim człowiekiem – to mnie napędza i niesie całymi miesiącami, latami. Niektóre spotkania bardzo mnie odmieniły. Dzięki nim mogę dalej stawiać kroki po swojemu.

Na przykład?

Jakieś dwa lata temu biegłam na koncert mojego przyjaciela, oczywiście już byłam spóźniona. Patrzę, przed Teatrem Nowym stoi Adam Michnik. I nagle słyszę samą siebie, jak tak z głupia frant wypalam: – Panie Adamie, po raz pierwszy widzę Pana na żywo! Gdy się zorientowałam, co powiedziałam, wpadłam w popłoch. Od razu wyszło na jaw, że na żadnym spotkaniu z nim nie byłam. Pan Michnik na to: – I co? Zyskuję czy tracę? Dałam mu swoją płytę, on zaprosił mnie na lunch. Tak się zaczęła nasza serdeczna znajomość. Spotkanie z tym diablem w ludzkiej skórze dla jednych, a bohaterem dla drugich sprawiło, że zaczęłam interesować się historią, polityką. Zapragnęłam bardziej rozumieć rzeczywistość, która nie jest czarno-biała. Zaczęłam czytać na potęgę, jeździć na spotkania autorskie, obudziłam się do bardziej świadomego życia.

Gdy słuchałam twojej drugiej płyty *Zastona*, pomyślałam, że musisz być świetną kumpelą. I zro-

biło mi się smutno, gdy w jednej ze zwrotek śpiewasz o tym, że nic nie brałaś od trzech lat. Nie jesteś w swoich tekstach grzeczną dziewczynką.

W moich piosenkach własne przeżycia miksują się z historiami innych ludzi. Śpiewam zazwyczaj w pierwszej osobie, ale ile jest tam doświadczeń Hanka, niech pozostanie tajemnicą. Na pewno w mojej twórczości dochodzi do głosu refleksyjna, melancholijna część mnie. Także ta, która pozwala sobie na smutek czy złość. Długo byłam tą, która jest zawsze wesoła, uśmiechnięta. Tak często słyszę – ile ty masz energii! Mam, ale ta nadmiarowość objawia się także po drugiej stronie...

Hanka, nawet na stypie wymyśliłaś wesołą piosenkę...

Miałam osiem lat, gdy zmarła moja babcia. Stypa była straszliwie smutna, szepnęłam więc do mojej kuzynki: „Cheboj, Tereska, idziemy na górę, wymyślimy piosenkę”. To była chyba forma odreagowania, wtedy po raz pierwszy przyszło do mnie pisanie. Pamiętam własne zażenowanie, bo chciałam, żeby to był smutny utwór, a wyszło, jak wyszło:

- Hej Hanuś, moja Hanuś, co ześ mi ty zrobiła, za-biłaś mego męża na wojnie pod Kościelą!
- Ka łon tys bedzie lezoł?
- Hej, w śpytolu w Krakowie.
- Hej, kiedy będzie pogrzeb?
- Hej, w środę, ło godzinie...
- O której tyz godzinie?
- Hej, o trzeciej nad raniem!
- Hej, jak się ubieremy?
- Hej, w góralskie ubranie.
- Hej, jak się ucesemy?
- Hej, w koki az do nieba!
- Cześć, Teres, jo jus końce.
- Hej, Hanuś, do widzenia!

Jedna drugiej zabiła męża, ale obie się zastanawiają, w co ubrać się na pogrzeb – czy to nie piękny przykład kobiecej przyjaźni?

(Hanka długo się śmieje)

Dbanie o gwarę i wspólne muzykowanie były dla mnie codziennością. Śpiewałam w zespole Giewont, jednak nigdy nie odważyłam się zatańczyć solo. W przedszkolu i szkole zauważono, że ładnie idzie mi mówienie wierszyków. Grałam między innymi Polskę. Później sama zaczęłam układać scenariusze i dialogi szkolnych przedstawień. Śpiewałam też w przyszkolnym zespole Akord założonym przez nauczycielkę śpiewu Danielę Wiśniewską. Gdy miałam 17 lat napisałam swoją pierwszą poważną piosenkę. Był to erotyk oparty na skali orientalnej *Janicku mój*. Skąd taka skala – pojęcia nie mam. Janicka zawarłam na pierwszej płycie, śpiewam go do dziś, bo uważam, że to całkiem niezły kawałek. Chociaż pierwsze jego wykonanie było traumatyczne...

Co się stało?

Mnie się zawsze coś przydarza! Jestem wielką niezdara. Wymyśliłam wtedy, że wbiegnę na scenę z takim indiańskim okrzykiem. Lecę, lecę w tych kierpcach i jak mnie nie praśnie na samym środku! Koszmar! Scena była jednak wysoka, znajomi widzieli mnie tylko od pasa w górę. Myśleli, że zrobiłam szpagat! (śmiech) Po koncercie podeszła do mnie elegancka para, państwo Hirsz, rozmówiani w kulturze podhalańskiej. Powiedzieli, że muszę koniecznie wziąć udział w konkursie „Pamiętajmy o Osieckiej”. Tak zrobiłam. Zaśpiewałam Osiecką po góralsku i zajęłam trzecie miejsce.

A potem poznałaś Indianina...

Chwilę po przeprowadzeniu się do Krakowa spełniłam moje wielkie marzenie. Zaczęłam grać na ulicy. W ciągu dwóch godzin wpadało czasem nawet czterysta złotych! Nie mogłabym tak grać w Zakopanem, wszyscy mnie tam znają! Pewnego dnia zatrzymał się piękny jak posąg Indianin, zachwycił mnie tak, że natychmiast porzuciłam swojego ówczesnego chłopca. Indianin był z innego świata. Oczywiście nic z tego nie wyszło, bo okazał się zajęty, ale nasza przyjaźń trwa do dziś. Pochodzę z konserwatywnej katolickiej rodziny. A Aldo? Ojciec z Boliwii, matka z Tetmajerów. Od początku namawiał mnie do ucznia się śpiewu eksperymentalnego, opowiadał o innych religiach, a ja go słuchałam – kogo mi polecił, tam szłam i nigdy się nie rozczarowałam. Tak poznałam Sainkho Namtchylak, Gendosa, Olgę Szwaigier, Jacka Ostaszewskiego. Za radą Aldo, obok pedagogiki, zaczęłam także studiować religioznawstwo. W tym czasie uczyłam się już w Szkole Muzycznej przy Basztowej, gdzie poznałam Andrzeja Zaryckiego. Cudny człowiek, wielki kompozytor, najdroższy nauczyciel...

Wygrałaś też Studencki Festiwal Piosenki, w którym zwycięzców wybierali między innymi Ewa Kornecka, Zygmunt Konieczny, Marcin Kydryński...

Byłam wtedy chora, niedyspozycja sprawiła, że bezwiednie weszłam w tak zwany rejestr gwizdkowy, który poznałam na jednym z warsztatów. Nigdy później już tak nie zaśpiewałam tej piosenki. Wystąpiłam między innymi z Mateuszem Nowickim, poznanym na religioznawstwie, i Andrzejem Zagajewskim, jego kolegą. Dziś chłopaki święcą try-

umfy w zespole Hańba! Za pieniądze z wygranej zrobiłam imprezę, gdzie obok nas zaśpiewali inni laureaci. Przyszło mnóstwo ludzi, było pyszne jedzenie, świetnie się bawiliśmy. Nasze sierniężne wtedy jeszcze granie podobało się! Pomyślałam: nie możemy tego zmarnować.

I nagrałaś debiutancką płytę *Znachorka*.

Koncert promujący odbył się w Radiu Kraków, które wydało nam album. Dziedzinić pękał w szwach, a podpisywanie płyt trwało dwie godziny! To był dla mnie wzruszający dzień. Pamiętam, że popłakałam się, śpiewając *Matulę*. Natychmiast poczułam otulające mnie ciepło płynące od moich słuchaczy. Nie jestem do podziwiania, nie lubię tej dysproporcji wyznaczonej przez scenę, mikrofony i światła – jestem wyżej, jestem głośniejsza, jestem bardziej widoczna. To mnie peszy. A przecież śpiewam o radościach i smutkach, które każdy z nas przeżywa. Dlatego zawsze na koncertach proszę, by oświetlić publiczność – chcę się z nią przywitać, nie lubię stać na podniesieniu, zachęcam do wspólnego śpiewania, często wychodzę do ludzi, śpiewam bez mikrofonu. Potrzebuję widzieć, czuć słuchaczy. Rosłam w środowisku, w którym ważna jest wspólnota, a muzyka wiąże ludzi. Nasze koncerty nazywam spotkaniami, to wzajemne dzielenie się i obdarowywanie. Wzajemność jest tu kluczowa! Jeśli się pojawi, dzieją się cuda.

Wspólnota to też teatr. Zagrałaś *Jagusię z Wesela* w słuchowisku Andrzeja Seweryna.

Kiedyś na rozmowę do Radia Kraków zaprosił mnie Jan Stępień. Na korytarzu wisiało ogłoszenie o przesłuchaniach do tej roli. Ostatni dzień zgłoszeń! A gwara krakowska taka podobna do góralskiej. Przyszło około stu kandydatek, wszystkie ze szkół teatralnych. Andrzej Seweryn nawet na nas nie patrzył. Tylko słuchał. Wydawało mi się, że nie jest mną zbytoby zachwycony. Ale wygrałam ten casting! Praca nad spektaklem to była magia. Pamiętam, jak Andrzej Seweryn rozczulił się przy frazie: „Zaspać to bolenie”. Potem wzięłam te słowa do jednej z piosenek.

Zaspałaś to bolenie?

Och, teraz ja się rozczuliłam. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę potrafiła zaspać bolenie. Pisanie często rodzi się z bólu. Jednak przyjmuję bolenie jako istotną część życia. Część, która może być transformująca, uzdrawiająca. Mój przyjaciel mówi: zagwarantowane nam jest tylko cierpienie i przemijanie. To uderzające, ale prawdziwe! Bo już na przykład wzajemna miłość jest darem. Nie mamy pewności, że trafi nam się wygrana w kosmicznej ruletce...

Życzę Ci, by Ci się trafiła. Powiedz, że będzie trzecia płyta.

Będzie. Premierę najpewniej połączymy z jubileuszem 10-lecia wygranej na Studenckim Festiwalu Piosenki. Jestem wdzięczna, że od tylu lat mogę dzielić radości i smutki z moimi słuchaczami.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskaliami”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą” i portalem publicystyczno-społecznym Polska Ma Sens. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień dziennikarka Interii.

Hanka Wójciak

Piosenki

Alicjo z Krainy Czarów

Alicjo z Krainy Czarów
Nie bój się świata i ludzi
W śnie pełnym cieni i dziwów
Gdzie mali nazbyt są duzi

W czasoprzestrzeni dziwnej
Dwoisz się troisz i rośniesz
Surowo oceniasz siebie
Pytasz – kiedy dorosnę?

Lękasz się tej mikstury
– Co po wypiciu się stanie?
Rozpękasz w tysiące drobin
W myśli nieposkładane

A każda z nich tętni czuciem
Łaknie muzyki i światła
Każda miliony ma oczu
I w samej sobie się gmatwa

Alicjo z Krainy Czarów
Jam twoje w lustrze odbicie
Niewiele ci mogę pomóc
Tak samo wadzę się z życiem

Biegnę bez ładu i składu
Na pęd szalony się godzę
Zmęczona sobą tak bardzo
Umieram w bólach się rodzę

Na świat pełen gniewu i oszczerstw
Lekarstwa nie znajdziesz, mała
Dopóki chorego serca
Czułością nie dotkniesz sama

Jak to się robi – nie wiem...
Może odpowiedź za rogiem?
Może gdzieś w świętych księgach?
Gdzieś poza czasem i Bogiem?

Alicjo z Krainy Czarów
Przesyłam ci pozdrowienie
Może tym cichym gestem
Niewiele zdziałam czy zmienię

Lecz nie wstydź się płakać, kochana
Gdy spojrzysz wreszcie w me oczy
Z miłości utkane, światła
Z przedziwnej, czystej dobroci

Pamiętaj, proszę, że jestem
Kocham cię całą, jak leci
A każdy twój kawałeczek
Puszcza zajączki i świece

nie |tak |ty

nie chcę więcej twoich słów
ciszy ciszy ciszy łaknę
sunie poprzez wersów dukt
tęskny nietaktowny apel

czemu ciszy boisz się?
czemu wciąż o ciszy gadasz?
a gdy ciszą jestem ja
słów ulewą odpowiadasz

prosisz – ciszą przemów dziś
nie mąc ciszy głosem żadnem
dosyć już wytartych fraz –
ciszy ciszy ciszy pragniesz

a ja ciszy lękam się
patrz o ciszy ciągle gadam
i gdy ciszą jesteś ty
znów litery marne składam

cudem ciszo nakarm nas
odpowiedzi na wołanie
zanim niewymowny głód
głuchym się milczeniem
stanie

Słabość

Dziś mi jakoś ciężko
dziś mi jakoś źle
Zwijam się w kłębuszek
w sobie kulę się
Oczy wypłakuję
Już kolejny raz
Ile takich nocy
Da mi jeszcze świat?

Świat – ten mój maleńki
Bliscy, Kraków, ty
Niepotrzebne nerwy
Niepotrzebne łzy
Świat – ten obcy, wielki
Co go z gazet znam
Wojny, głód, niedola
Co z tym zrobić mam?

Co jest najważniejsze?
Zapytałeś mnie
Prawda! Tylko Prawda! –
Uśmiechnęłam się
Często sama nie wiem
Czym ta Prawda jest
Ale chcę jej szukać

Chociaż nie wiem gdzie

Wciąż się uczę siebie
Mało siebie znam
Wciąż za dużo mówię
Słabą wolę mam
Bywam wciąż jak dziecko
Mimo biegu lat
Jeszcze wciąż się mylę
Kto wróg, a kto brat

I na tyle głupot
tracę cenny czas
I na tyle zwątpień
Wciąż narażam nas
Przyjmij moją słabość
Choć tak smuci cię
Przytul mnie i kochaj
Kochaj całą mnie

Wierzba

A cóż to a cóż to z tobą dziś się dzieje?
Czemu nagle czemu tak dziwnie truchlejesz?
Nie bój się mnie nie bój, ja wciąż taka sama
Nic się nie zmieniłam, dana ci ja dana

A ty na mnie patrzysz dziwne robisz oczy
Może zbrzydłam nieco? Przyjdź po ciemku
w nocy
Możem nie tak śliczna możem nie tak ładna
Jak gdy ci najpierwsze pocałunki kradłam

Kradłam ci je kradłam oj moje kochanie
Bezwstydnie łamałam siódme przykazanie
Nie minęła chwila straszna przyszła kara
Pod zieloną wierzba samotna zostałam!

Długo oj jak długo na ciebie czekałam
Pod zieloną wierzbą stałam wyglądałam
Wierzbę małą wierzbę podlewałam łzami
Wierzba wielkie drzewo, czekałam latami!

A okrutni ludzie tak się ze mnie śmiali
Gdy co roku większą wierzbę oglądali
A ja stałam niema nawet mnie wiem sama
Kiedym do tej wierzby podobna się stała:

Bruzdy na mej twarzy wyrzeźbione łzami
Nogi w ziemię wrosły tańczą z korzeniami
Czekam ja na ciebie płaczą ze mną drzewa
A ciebie mój miły, a ciebie wciąż nie ma!

Aż przyszedłeś w końcu w lato szarzejące
Usiadłeś przy wierzbie na tej naszej łące
Miałas na mnie czekać! Zawyłeś wprost
w niebo!
A ja stałam obok
A mnie serce pękło

Dokument do działania

Tekst: Maria Malatyńska Rysunek: Piotr Błachut

Dzisiaj będzie o „tym” filmie. O dokumencie filmowym, który stał się głośny i został przyjęty przez wielomilionową, wciąż powiększającą się widownię ze skrajnymi emocjami, czyli zarówno entuzjastycznie, jak z głębokim negatywnym zaskoczeniem.

Jednym słowem dziś piszę o filmie braci Sekielskich *Tylko nie mów nikomu*. Film stał się fenomenem dzięki swojemu tematowi, którego konsekwencje obyczajowe, społeczne i moralne są nawet dzisiaj, w dwa miesiące od majowej premiery, nie do przewidzenia. Obraz – jak wiemy – dotyczy pedofilii w Kościele. Jest z punktu widzenia niegdysiejszych ofiar księży, dziś już dorosłych, wykorzystywanych seksualnie jako dzieci, które z powodu braku wyobraźni najbliższego otoczenia, zarówno własnego, jak i kościelnego, oraz zbyt idealistycznego postawienia znaku równości między „wiarą” i „oceną obyczajową” nigdy nie zostały wysłuchane, a sprawcy nigdy nie ponieśli kary. Dlaczego więc piszę o tym,

Obraz braci Sekielskich został zrobiony po to, by zejść z ekranu i stać się inspiracją do działania.

o czym wszyscy wiedzą? Dlatego że społeczna siła tego filmu nie słabnie, a nawet można przypuszczać, że film i temat opuściły ekran i funkcjonują w tzw. normalnym życiu, coraz dosadniej domagając się moralnego i ludzkiego zadośćuczynienia. Gołym okiem widać, że obraz braci Sekielskich nie został zrobiony dla własnej legendy, tylko właśnie po to, by zejść z ekranu i stać się inspiracją do działania.

Pozostawiam więc na boku merytoryczną, czyli tematyczną siłę tego wywodu, oddając go moralistom, prawnikom, sądom i psychologom, a nawet badaczom Pisma Świętego, w którym jedyna kara jest dokładnie opisana: ktokolwiek by zgorszył maluczkich, temu lepiej kamień młyński uwiązać u szyi...

*

Każdy film dokumentalny ma dwie strony warsztatu: temat i formę. Dwa miesiące po premierze można już pokusić się o ocenę tej drugiej strony. Zwłaszcza w Krakowie, które to miasto i jego mieszkańcy są specjalnie uwrażliwieni na rozpoznanie i działanie

filmu dokumentalnego. To przecież w naszym mieście istnieje do dziś jeden z najstarszych na świecie festiwalu filmów dokumentalnych. Festiwal nie tylko znakomity, ale i ogromnie popularny. Tłok jest w każdej z festiwalowych sal, a dyskusje na temat warsztatu dokumentalnego są na porządku dziennym. A jeszcze, to do nas przyjeżdżają co roku znawcy i miłośnicy filmów dokumentalnych ze świata, jego twórcy i badacze. Zajmują się tym gatunkiem, analizują, organizują konkursy, warsztaty, laboratoria. Zatem i dzisiaj, miesiąc po zakończeniu kolejnego festiwalu filmowego, który wzbogacił widownię o sto nowych dokumentów, warto zbliżyć się do zawłóki formy ekranowej. Zwłaszcza w filmie, w którym jasno widać, że forma jest całkowicie podporządkowana tematowi, choć z drugiej strony to właśnie ta strona realizacji, swoją świadomością warsztatową potrafiła zapobiec temu, że temat nie rozsadził filmu. Na pewno zatem nie byłoby słuszne, gdyby ocenić, że forma nie chciała i nie umiała nadążyć za tematem.

Co jest podstawowym zabiegiem formalnym w *Tylko nie mów nikomu*? Drobiazg: nadmiernie ruchliwa, jakby lekko chaotyczna kamera, ujęcia niby przypadkowe, obraz chwiejny. Taki zabieg jest wyraźną sugestią, że fakty filmowane są ukradkiem. Lub że świadomie, z jakichś wyższych powodów, zachowuje się sekretność określonych sytuacji, by w konsekwencji osiągnąć ważniejszy merytoryczny cel. Odnosi się to zwłaszcza do spotkań ofiary ze sprawcą. Tej sytuacji towarzyszy jeszcze jeden formalny zabieg: ofiara filmowana jest jawnie, występuje pod imieniem i nazwiskiem, sprawca jest niemal bezimienny, a twarz ma zaciemnioną. Prawda sytuacji i cel konfrontacji pozostaje więc przede wszystkim w głosie. Nie tylko jednak w treści wypowiedzianych słów, ale i w ich brzmieniu. Znakomicie wyczuwa się to już w pierwszej w filmie konfrontacji. Przedstawia się nam pierwszą bohaterkę z imienia i nazwiska, słyszymy jej opowieść – wspomnienie z dzieciństwa, uczestniczymy



Rys. Piotr Błachut

w czymś w rodzaju psychicznego przygotowania jej do spotkania. Nie tai się tu również sytuacji dziennikarskiej, reportażowej. Obecność dziennikarza za kadrem, sprawdzanie gotowości bohaterki, wreszcie to dziennikarz montuje całe spotkanie: podwozi, „stawią przed”, filmuje całość, a nie wpływając na meritum rozmowy, jest obecny technicznie. Wszystkie te zabiegi potwierdzające fakt konfrontacji na naszych oczach wpływają na samą temperaturę spotkania. Dlatego gdy obraz stawia wobec siebie „mocną”, „dużą” (na pierwszym planie) sylwetkę kobiety, a w głębi skurczonego, starego, bezradnego w tej swojej starości mężczyzny, to trudno nie zauważyć, że wszystko odbywa się zbyt późno, a sama temperatura spotkania, pewna nerwowość, filmowana jeszcze w zamkniętej, coraz bardziej dusznej atmosferze ciasnego pokoju, wydawać się może nagle niespodziewanie niesprawiedliwa. Warsztat przynosi tu więc możliwość wyboru oceny. Albo – albo. Wbrew jednoznaczności całej sytuacji.

Drugim ważnym zabiegiem formalnym jest częste filmowanie nocą. Twarze, sylwetki, tożsamość rozmówców są wówczas niemal całkowicie utajnione. Znowu więc to, co najważniejsze (informacja, reakcja, etap śledztwa), tkwi tylko w głosie. Albo tak znanym w obrębie tego filmu jak głos reżysera, albo tak przypadkowym jak głos kolejnego, beziennego księdza, który tu jest tylko informowany o sprawie. Tu już mamy charakter reportażu śledczego, tu już sam autor filmu

Zaletą warsztatu *Tylko nie mów nikomu* jest różnorodność. Inna jest tkanka w czasie rozmów z urzędnikami Kościoła, inna z ofiarami, inna wreszcie, gdy między sekwencjami znajduje się swoisty luz reportażowy, szukanie drogi, przygotowywanie reakcji.

wchodzi w kadr, a sposób mówienia, zbyt kategoryczny, jak na delikatną sytuację, podnosi temperaturę oskarżenia drugiej strony. Albowiem druga strona „nie wie”, bo nie chce wiedzieć, bo nawet informowana, chętnie nie przyjmuje do wiadomości.

W tym kręgu filmowym mieści się jeszcze jeden zabieg warsztatowy, na który warto zwrócić uwagę: to włączanie do filmu ujęć niezwiązanych bezpośrednio z ciągiem reportażowym, które w narracji mają być argumentem wizualnym dla sprawy. Tak było, gdy autorzy pokazują sfilmowaną wcześniej scenę rekolekcji dla dzieci, odprawianych przez księdza z wyrokiem i z zakazem zbliżania się do dzieci, a scena ta staje się informacją dla przełożonych księdza, o których powyżej.

Obraz, ten włączony, wzmacnia wiarygodność informacji, a filmowany też wyraźnie z ukrycia potwierdza jeszcze raz niejasność stosunku przełożonych Kościoła do sytuacji, o której mowa.

Zaletą warsztatu opisywanego filmu jest jego różnorodność. Inna jest tkanka w czasie rozmów z urzędnikami Kościoła, inna z ofiarami, inna wreszcie, gdy między sekwencjami znajduje się swoisty reportażowy luz, szukanie drogi, przygotowywanie reakcji.

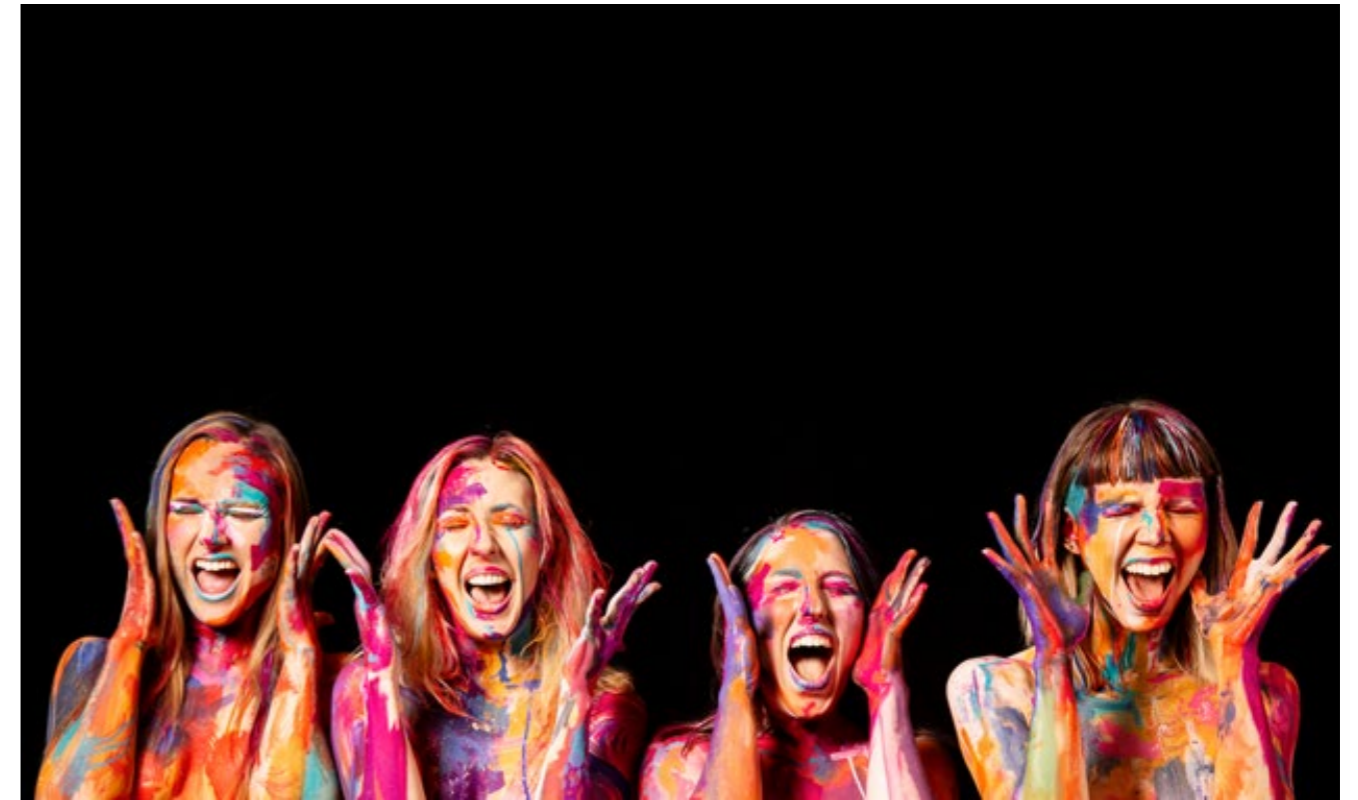
Całkowicie odrębne natomiast znaczenie ma finał filmu, czyli scena nocnego zrzucenia pomnika prałata Jankowskiego w Gdańsku. Znowu autor korzysta ze sceny nakręconej w innym czasie, nieznaną się w ciągu scenariuszowo wymyślonych dla filmu informacji. Znamy zresztą tę scenę z innych przekazów telewizyjnych i internetowych. Ale znaczenie tej sceny jest niebagatelne, bo symboliczne. To ma być satysfakcja dla odbiorców filmu. Optymistyczny symbol tego, że wielki temat jest do ruszenia i do wygrania.

*

Film dokumentalny ma sporo definicji. Notuje świat w obrazie. Świat teraźniejszy i przeszły. Nadaje mu formę, staje się wypowiedzią obserwatora lub potwierdza obraz jako komentator. Albo tylko zatrzymuje kształt zdarzeń na taśmie, by dopiero potem rzecz opracować według potrzeby struktury i czasu. Dlatego bywa inaczej nazywany. Raz jest reportażem, raz zaledwie notacją dokumentalną, cenną samą dla siebie, ale czekającą jeszcze na opracowanie i montaż. Ale jeśli jest to film dokumentalny, jak w tym wypadku, to ma swój świadomy warsztat. Musi go mieć, gdyż inaczej nie byłby filmem. I każdy, realizowany przez zawodowego twórcę jest pełnym wykorzystaniem wszystkich możliwości obrazowych i narracyjnych, montażowych i czasowych. Tylko nieraz może się złożyć tak, że jedna ze stron filmowych, w tym wypadku temat, niesie z sobą tyle wartości odkrywczych, będąc równocześnie zapowiedzią niezmiernych możliwości społecznych, że warsztat się nie dostrzega. I miarą profesjonalizmu takiego filmu jest to, że warsztat nie przeszkadza tematowi. Istnieje po to, by temat był tym bardziej wyrazisty, bo tego wymaga założenie ideowe całości. Bo film dokumentalny potrafi być elastyczny. Na tym polega jego gatunkowa doskonałość i niepowtarzalna wartość. I chyba dobrze, gdy obserwatorzy potrafią temu gatunkowi uwierzyć.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



Fińska grupa wokalna Tuuletar/Fot.: materiały promocyjne zespołu

Festiwal EtnoKraków/ Rozstaje: muzyka ponad podziałami

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Ponad 100 artystów z trzech kontynentów, 20 koncertów, warsztaty i noce tańca. W lipcu rozpocznie się święto muzyki etno, folk i world music.

Wakacje w Krakowie wśród dźwięków muzyki z najodleglejszych regionów świata to już długa tradycja. Podczas XXI Festiwalu EtnoKraków/Rozstaje wybierzemy się w podróż do przeszłości i miejsc, gdzie czas się zatrzymał – pomogą nam w tym wybitni artyści, których twórczość pozwala ocalić dawną tradycję pieśni i muzyki od zapomnienia. Na scenie inspiracje, poświęconej muzyce, która jest rekonstrukcją form archaicznych, wystąpi obwołany Paganinim XXI wieku węgierski skrzypek Felix Lajko ze swoim trio. Wielbicieli etnojazzu zachwyci Tamara Obrovac – jedna z najbardziej oryginalnych artystek gatunku zaśpiewa z formacją Transhistra Ensemble. W ramach sceny In Crudo, prezentującej nowoczesne aranżacje, usłyszymy serbską wokalistkę Svetlanę Spajic, która przybliży nam piękno muzyki bałkańskiej w tradycyjnej, emocjonalnej formie. Na scenie w Muzeum

Inżynierii Miejskiej rosyjsko-ukraińska grupa Virtualnaja Derevnia zaprezentuje pieśni tradycyjne dorzecza Wołgi i Dniepru.

Festiwal to także noce tańca, warsztaty muzyczne (na przykład pieśni serbskich, rosyjskich czy bluesa) i rzemiosła artystycznego.

Czym ta edycja Rozstajów będzie różnić się od poprzednich?

– W tym roku nowością będzie scena plenerowa na Powiślu, a dzięki współpracy z Nowohuckim Centrum Kultury festiwalowe prezentacje zawitają z dużą intensywnością właśnie do Nowej Huty. Nurt muzyki świata to zawsze język dialogu i porozumienia. Ważny motyw budowania tożsamości, identyfikacji w kontekście innych kultur ukazany jest też w spektaklu Art Color Ballet, który również znalazł się w repertuarze festiwalu – mówi Jan Słowiński, dyrektor XXI Festiwalu EtnoKraków/Rozstaje.



WAJDA

12 PRÓB / 12 TRYOUTS



W STARYM TEATRZE / AT STARY THEATRE

WYSTAWA / EXHIBITION: 2-31.07.2019

MUZEUM INTERAKTYWNE W NARODOWYM STARYM TEATRZE / INTERACTIVE MUSEUM AT THE NATIONAL STARY THEATRE / JAGIELLOŃSKA 1, KRAKÓW // WWW.MICET.PL

BYŁO, NIE MINĘŁO

Jak byłem prezesem (I)

Tekst: Jan Pieszczechowicz

Jako prezes krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich byłem traktowany przez niektórych jako zaufany doradca, członek rodziny, czasami przychodzili do mnie i żalili się – jeden na żonę, druga na męża, a inni na wydawcę, który odrzucił dzieło albo zapłacił za nie jak na ówczesne warunki byle jak.

Wśród różnych zdarzeń były też nieco kłopotliwe – pisarzom też się zdarzało, że coś zmalowali, mają jakieś kłopoty. Staralem się pomagać, jak mogłem i jak się dało. Zapamiętałem pomoc, jakiej udzieliłem obecnemu politykowi PiS Ryszardowi Terleckiemu. Przyjaźniłem się z jego ojcem Olgierdem, który – jak wiadomo – po latach z hukiem został zdemaskowany przez syna jako tajny współpracownik PRL-owskiej Służby Bezpieczeństwa. O tej jego działalności oczywiście nie wiedziałem, ale Olgierda lubiłem i lubię we wspomnieniach nadal. Pewnego razu zjawił się u mnie ze łzami w oczach, bo jego syn Rysio w ramach działalności hippisowskiej zadarł z milicją i go posadzili. Prosił, żebym pomógł. Przyznaję, że wystawiłem Rysiovi świadectwo, coś w rodzaju poręczenia, w którym łągałem jak najęty, że jest utalentowanym członkiem Koła Młodych Pisarzy, więc zalecam, polecam, gwarantuję itd. Nie wiem, czy mam się z tego usprawiedliwiać po latach. Faktem jest, że w obronie Ryszarda Terleckiego, który miał wtedy ksywę „Pies” jako aktywista hippisów w Krakowie, wystąpiłem i nie żałuję, bo był przecież synem lubianego przeze mnie pisarza.

Wśród różnych form działalności były różne kontakty zagraniczne. Przyjeżdżały delegacje. Rozeszła się wieść, że Oddział ZLP w Krakowie jest gościnny, bo rzeczywiście staraliśmy się tacy być. Pamiętam wizytę Czesława Miłosza w 1981 roku, kiedy już mógł – po uhonorowaniu literacką Nagrodą Nobla – przyjechać do Polski. Na wieść o Miłoszu, który przecież po wojnie jakiś czas mieszkał w Krakowie, zbiegł się literacki i częściowo Nieliteracki Kraków. Sala posiedzeń na ul. Krupniczej 22 pękała w szwach. Czekaliśmy, wreszcie zjawił się wysłannik Miłosza oznajmiając, że samochód z mistrzem czeka za rogiem i pyta, czy znam inne wejście do budynku. Odparłem, że nie ma takiego, chyba, że pan Miłosz zechce przejść przez płot przez posesję Mehoffera. Poszedłem do niego mówiąc: – Panie Czesławie, pan tu zdaje się mieszkał przez jakiś czas, to pan nie wie, że nie ma innego wejścia? Trudno, przedzieramy się przez bramę wejściową do Domu Literatów. Wiwaty, starzy znajomi wzruszeni,

Miłosz podczas powojennego pomieszkiwania w Krakowie pisywał do „Przekroju”. Bodaj w pierwszym numerze w 1945 r. miał felieton poświęcony gwałtownej polemice z alkoholem i alkoholikami. Zapytałem go: – Panie Czesławie, o ile Marian Eile mnie dobrze poinformował, pan w tamtym czasie nieźle popijał...

bo nagle zjawia się laureat Nobla, było kilka osób, z którymi był naprawdę zaprzyjaźniony. Bardzo lubił choćby Annę Świrszczyńską, więc Ania wiwatowała i, zdaje się, napisała jakiś utwór okazjonalny. Zresztą lubiła takie utwory – kiedyś napisała nawet grafomański wiersz poświęcony mojej osobie.

Skądinąd Miłosz podczas owego powojennego pomieszkiwania w Krakowie pisywał do „Przekroju”. Bodaj w pierwszym numerze w 1945 r. miał felieton poświęcony gwałtownej polemice z alkoholem i alkoholikami. Zapytałem go więc: – Panie Czesławie, o ile Marian Eile mnie dobrze poinformował, pan w tamtym czasie nieźle popijał... (wielu pisarzy tak robiło, próbując zatrzeć okres wojny). Miłosz odrzekł: – Tak, Eile o tym wiedział i właśnie dlatego uznał, że byłoby dobrze, jeśli w pierwszym felietonie potępiłbym alkoholizm...



Jan Pieszczechowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika „Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.



Rys. Andrzej Zaręba

Moje trzy asy

Tekst: Mieczysław Czuma

Nie, nie zamierzam pisać pamiętników ani dokumentować takich czy innych wspomnień. Nie zamierzam, choć gołym okiem widać, z jakim powodzeniem szerzy się moda na snucie pomnikowych opowieści o sobie samym, jak wielu chętnych chce dzielić się z resztą świata bogactwem własnych przeżyć i wysublimowanych przemyśleń.

Twórcy tego rodzaju piśmiennictwa chętnie zakrapiają swoje produkty szczyptą egzystencjalnej filozofii. Bohater, czyli autor, zawsze więc pokonuje, osiąga, daje radę, staje na wysokości. No i służy przykładem innym. Może to komuś wyda się i bezwstydne, ale chcę oznajmić, że autorzy podobnych osobistych hagiografii mają mi czego pozazdrościć. Los bowiem obdarzył mnie szczególnym przywilejem, co pozwala mi spoglądać na świat z wysoka. Otóż dane mi było – to takie moje trzy asy – być równocześnie uczniem Juliusza Kleinera, Zenona Klemensiewicza i Stanisława Pigonia. Najjaśniejszych gwiazd uniwersyteckiej polonistyki wszechczasów.

Piątkę od Kleinera dostałem na Plantach. Literaturę oświecenia profesor wykładał w swoim przestronnym, amfiladowym mieszkaniu przy ulicy Kapucyńskiej. Na studentów spoglądał przez szerokość otwartych drzwi. Siedział przy stole w jednym pokoju, słuchacze na rzędach ławek tłoczyli się w drugim, obok. Mnie nigdy nie oglądał, przycupywałem bowiem w przedpokoju, przy drzwiach z korytarza. Do moich powinności należało przekazywanie datków, zebranych naprzódce wśród swoich, etatowym domokrażcom, którzy świetnie orientowali się w rozkładzie zajęć pana profesora.

Któregoś dnia, podczas sesji egzaminacyjnej, zdarzyło mi się przysiąść na ławce przed Collegium Novum. Na pobliskim skwerze oglądać można było co dopiero przeniesiony z dziedzińca Collegium Maius pomnik Mikołaja Kopernika, dzieło Cypriana Godebskiego. I pewnie zwabiony tą okolicznością pojawił się tu profesor Kleiner. Usiadł na tej samej ławce. Zaczęła się rozmowa, której bohaterem był dziadek twórcy pomnika, także Cyprian. Pamiętałem z wykładów, że to pułkownik wojsk Księstwa Warszawskiego, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, bohater poległy pod Raszynem w roku 1809. Kiedy na drugi dzień zgodnie z harmonogramem zgłosiłem się na egzamin, profesor poprosił o indeks, wpisał piątkę i zakomunikował, że egzamin odbył się już wczoraj, na Plantach.

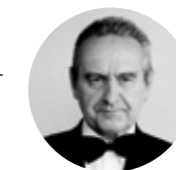
Od Klemensiewicza za wiedzę o gramatyce historycznej dostała mi się najprawdziwsza dwójka. A wszystko przez przypaloną owsiankę. Kiedy ze swadą wyjaśniałem jakieś detale odmiany przymiotników męskoosobowych i żeńskorzeczowych, z pomieszczenia obok

Dane mi było być równocześnie uczniem Juliusza Kleinera, Zenona Klemensiewicza i Stanisława Pigonia. Najjaśniejszych gwiazd uniwersyteckiej polonistyki wszechczasów.

doszedł swąd. Pojąłem, że przed katastrofą nie ma ratunku. Profesor zapytał, po raz który zdaję ten egzamin. A kiedy usłyszał, że po raz pierwszy, powiedział tylko, że on u Nit-scha gramatykę historyczną zdawał pięć razy. I dlatego to on jest teraz Klemensiewicz.

Literaturę staropolską zaliczało się u Pigonia. W indeksie, obok cennego autografu, mam w tym miejscu stopień, o którym w tamtym czasie rozprawiła się cała polonistyka: plus bardzo dobrze. Autorzy i ich utwory to było pensum tak oczywiste, że o tym na egzaminie właściwie się nie mówiło. Profesor zadawał pytania jakby obok, dopytywał o epokę, jej kulturowy rodowód, obyczaje. Jakie choroby piętnastowiecznych krakowian uwiecznił Wit Stwosz w figurach Mariackiego ołtarza? Czemu służy anioł rozpięty pod amboną w kościele św. Anny? Pamiętam, że przyszło mi opowiadać, czym na spotkaniu u Piasta gości podejmować mogła Rzepicha. Trzeba było wliczać kasze, twarogi, ryby, mięsiwa i dziesiątki, ale to dziesiątki innych potraw. Egzamin błyskawicznie kończyć mogła nieostrożna wrzutka ziemniaków, pomidorów (przyptynięty z Kolumbem) czy kalafiorów bądź selerów (przywędrowały z Boną). Szczęśliwie udało mi się te rafy ominąć.

Tę samą ocenę otrzymał od Pigonia podobno jeszcze tylko Franciszek Ziejka. Jemu dane było potem zostać rektorem UJ, mnie tylko skromnym redaktorem niehabilitowanym. Nawet tytuł profesora krakauerologii musiałem przyznać sobie sam. W każdym razie pamiętników ani opowieści o sobie samym pisać nie zamierzam. Nie zamierzam swoich wzlotów i upadków dawać za wzór do naśladowania innym. Na wszelki wypadek trzymam jednak ukryte w rękawie trzy asy...



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Wajda. Człowiek z przyszłości

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Mówił, że udany film jest filmem wszystkich twórców, a nieudany – tylko reżysera. W tysiącach notatek i rysunków sporo dotyczyło odległej przeszłości, musiał więc wiedzieć, że tego nie doczeka. A jednak planował swoje–nasze filmy. Tego lata Wajda znowu staje się obecny – jednocześnie w Warszawie i w Krakowie.

Pamiętam ostatnie spotkanie z panem Andrzejem. Zaledwie na kilka tygodni przed jego odejściem. Obsiedliśmy go, jak zawsze, a on miał 90 lat i choć poruszał się z trudem, myślał szybciej niż my wszyscy, młodzi, razem wzięci. Dlatego też go obsiadywałem. Reprezentował jednocześnie tradycję polskiej sztuki i jej wielką, współczesną inspirację. Zawsze też, mimo upływających lat, padało pytanie o następny film. Nikt nie spodziewał się, że pan Andrzej przejdzie na artystyczną emeryturę. Odnoszę nawet wrażenie, że to ciągłe kręcenie filmów w przedziwny sposób przedłużało mu życie.

O tym, jak bardzo myślał o przyszłości, świadczy scena z tego spotkania, prawdziwie filmowa. Bo kie-

siedziby i prowadzi działalność wędrującą. Pierwszy przystanek zrobiło sobie w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, gdzie pokazano powstający przez ponad dekadę dokument Jolanty Dylewskiej *Marek Edelman... i była miłość w getcie*. Nad scenariuszem pracowała Agnieszka Holland, a sceny fabularne tej poruszającej opowieści o wojnie i namiętności wyreżyserował Wajda. W ekumenicznym niebie razem z Markiem Edelmanem pewnie trzymali kciuki za powodzenie premiery.

Latem CKF rozwinie skrzydła w stolicy, zapraszając widzów między innymi do kina letniego na barce Wisława. Ale kto zechce dowolną metodą popłynąć Wisłą do Krakowa (płynimy pod prąd, czemu nie), to i tam znajdzie Wajdę. Do września można oglądać w Muzeum Narodowym wielką monograficzną wystawę poświęconą artyście i jego sztuce. Jak mówię: „wielka”, „monograficzna”, brzmi to strasznie pompatycznie i odstrasza. Ale tak nie jest! Wystawa wciąga. Jest tam coś, co pozwala się czuć intymnie i uroczyście. Osobiście. Wajda był czujnym rozmówcą bez względu na to, jak te rozmowy wyglądały, i zdaje się je jakoś kontynuować tą wystawą.

Ekspozycja ma siedem stref. Jest wszystko: domy, wojna, teatr, inspiracje malarstwem i muzyką, są aktorzy Wajdy, nagrody Wajdy i on sam w niezliczonych notatkach. Przestrzeń jest na tyle duża, aby świadomie w niej zabłądzić, ale i na tyle spójna, że nie ma mowy o zagubieniu intelektualnym. Film, który jako ruchomy wydaje się niemożliwy do pokazania w statycznej ekspozycji, został tu przedstawiony nowoczesnie i pomysłowo. Przechwytytuje nas wręcz do swojego świata.

Na Wajdę wchodzi się przez ogromne, ponad czterometrowe drzwi. Zza nich widać już zdjęcie reżysera, a na nim jego słynny ruch ręki, widoczny na wielu werkach i fotosach, a tu uchwycony przez współpracującą z Wajdą przez lata Renatę Pajchel. Ten gest to takie zagarnięcie świata. Otwarta dłoń, która zaprasza, ale widać, że nie zamknie się zaraz po tym, jak nas ściśnie. Piękna metafora filmowca, który nie przestaje zadawać ważnych pytań.



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownica z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pewnego czasu w Warszawie.

Stwierdził, że trzeba robić filmy tak, aby zaskoczyć widza myślą, której on jeszcze w tej chwili nie ma, ale będzie mieć niebawem. A reżyser musi ją mieć już, tu i teraz. Napisać o tym scenariusz, nakręcić, po wielu miesiącach, a może i latach pokazać publiczności, która powie: skąd on to, do licha, wcześniej wiedział?

dy padło owo pytanie o następny film, on niespodziewanie odpowiedział pytaniem, jaki film my sami chcielibyśmy zobaczyć? Na taką odpowiedź Wajdzie chyba nigdy nie jest się gotowym. Ktoś rzucił, że prawdziwy. Ktoś, że o miłości. Powiedzieliśmy, że może świat ludzi, którzy pracują w świecie wirtualnym może wydać się mu interesujący? Był zdziwiony, że można na tym zarobić. Na byciu w sieci. I potem powiedział coś, co zostanie ze mną na zawsze. Stwierdził, że trzeba robić filmy tak, aby zaskoczyć widza myślą, której on jeszcze w tej chwili nie ma, ale będzie mieć niebawem. A reżyser musi ją mieć już, tu i teraz. Napisać o tym scenariusz, nakręcić, po wielu miesiącach, a może i latach pokazać publiczności, która powie: skąd on to, do licha, wcześniej wiedział?

Wiosną zainaugurowało działalność Centrum Kultury Filmowej im. Andrzeja Wajdy. Ma służyć rozwojowi kultury filmowej, jej upowszechnianiu, ożywianiu i inicjowaniu. Ma skupiać się na widzu współczesnym, by nie powiedzieć nowoczesnym, którego dotyczy wiele zmian w sztuce i życiu i za nimi wraz z nim podążać. Centrum nie ma na razie

Picie krakowskim wirem

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

No i co wy tam pijecie w tym Krakowie? – pyta kolega, który, że tak powiem, nie stroni, a mieszka na co dzień w Zielonej Górze. – W Krakowie po południu prossecco, a późną nocą to wiśniówka, cytrynówka, pigwówka.

– To tak jak u nas.

– O nie, nie, nigdzie się tak nie pije jak w Krakowie.

– To znaczy jak?

– Na wesoło!

Nie wiem, jak to się dzieje, ale zazwyczaj gdzieś pomiędzy pierwszym a piątym zdaniem w rozmowie o Krakowie pada temat alkoholu. Gdyby nagrać krakowskie rozmowy w tramwajach, meleksach, przy Okrągliku, na tandecie, pod Adasiem, na Plantach, przy Biprostalu, na dowolnej pętli, u Franciszkanów, przy Jubilacie i pod szkieletem – mieszkańcy Krakowa debatują nad jednym problemem: co dziś pijemy? W innych krajach nadmierne spożywanie jest uznawane za chorobę, za to u nas niemal każdy pyta człowieka, który alkoholu odmawia, czy aby nie jest chory (ewentualnie w ciąży lub na psychotropach). Kraków to chyba jedyne miejsce w kraju, gdzie nikt nie zapyta niepijącego, czy coś mu poważnego dolega – odmowa jest tu kwintesencją najlepszego żartu („Słyszałeś go? Nie pije! Hahahahahahaha”) i ani się taki nie obejrzy, a już trzyma w dłoni trzeciego kielona.

Bo w Krakowie pije się na wesoło, z nieskrywaną radością. Co z tego, że to czasem głupia radość? Że pije się ze śmiechem, ale też trochę jakoś tak przez łzy? Że pije się najpierw z przyjaciółmi, a nad ranem już z wrogami? Że pije się z byłym i jego obecną? Że pije się do lustra, w którym nasze odbicie jest jakimś dalekim odbiciem tego, co chcielibyśmy w tym lustrze choć raz w życiu zobaczyć? Nieważne! Ważne jest to, że jest to kolektywna radość i wiemy, zawsze doskonale wiemy, że nikt nas nie przyjmie z tak szeroko otwartymi ramionami jak krakowski barman. Że w żadnym innym mieście Żabki nie są tak zielone. Nieraz słyszałam takie przyrzeczenia: dziś nie piję, nie ma opcji, pić nie będę do imienin! Wtedy zazwyczaj trzeba włączyć stoper – gdzieś po czterech minutach ów bohater zmęczonymi oczami szuka

tego diabelskiego płaza, który świeci neonem niemal na każdym rogu, tej małej, słodkiej Żabusi pytającej wzrokiem: „Ze mną się nie napijesz?”, by chwilę później dziarsko kroczyć w stronę Plant z małpką w kieszeni, wpatrując się we współtowarzysza z baranim uśmiechem. Największą szansą zawsze jest alkohol w litrach i każdy krakus to wie.

W Krakowie pije się na wesoło, z nieskrywaną radością. Co z tego, że to czasem głupia radość?

Inni nam czasem tego zazdroszczą, bo krakowianie nawet na trzeźwo są jakby pod wpływem. Jeśli ktoś tu przyjeżdża na wakacje, by szukać samotności w starych murach, to od razu może wracać, skąd przyszedł. Trudno nie popłynąć krakowskim wirem – nigdzie nie można czuć się bezpiecznym, bo bystre oko krakusa od razu zauważy, że sączyz wodę z cytryną. Co z tego, że jest południe? Krakus i tak pomyśli, żeś markotny i trzeba cię rozbawić. Sprawdziłam! Wystarczyło usiąść na chwilę na Plantach, a już pojawiło się dwóch zatroskanych młodzieńców.

– Możemy się dosiąść?

– Proszę.

– Co taka smutna?

– Ja? Nie...

– Adrian!

– Mateusz!

– Iga, miło mi!

– Piwa?



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskaliami”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą”, portalem publicystyczno-społecznym „Polska Ma Sens” i „Codziennikiem Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień dziennikarka Interii.



Krakowska Książka Miesiąca

Ma prawie 80 lat i choć mieszka w Polsce od 1967 roku, wciąż mówi z rosyjskim zaśpiewem, a śpiewa, grając na gitarze niezmiernie! A że mawia: „Jestem w takim wieku, że nie mogę już gdzie indziej wracać niż do przeszłości”, więc napisał książkę wspomnieniową. Chyba już wiadomo, że mowa o słynnym krakowskim Rosjaninie – prof. dr hab. Aloszy Awdiejewie.

Wypełniona anegdotami opowieść składa się z dwóch części. Pierwsza to wspomnienia z czasów dzieciństwa i młodości spędzonych w Związku Radzieckim do 1967 roku. Miał 27 lat, kiedy znalazł się na dworcu kolejowym w Krakowie. Stał przed klombem pełnym czerwonych róż. Pomyślał, że skoro tu nikt ich nie kradnie, mimo że nie pilnują ich milicjanci, to w takim kraju da się żyć! I żyje z nami już dziesięciolecie jako Polak z wyboru – filolog polski i językoznawca z profesji, popularny pieśniarz, muzyk, niezastąpiony gawędziarz, legenda Piwnicy pod Baranami, a nawet aktor znanych filmów, w których gra zazwyczaj Rosjan. Debiut filmowy był nie byle jaki, bo u Agnieszki Holland w *Gorączce*. I o tym wszystkim jest w drugiej części, którą zawieszła w 2018 roku.

Polak z wyboru to pouczająca dla nas – Polaków – książka, bo pozwala nam obejrzeć się w lustrze stworzonym przez Rosjanina, a od lat z wyboru Polaka, co tylko ujędrnia jego opowieść.
Janusz M. Paluch

Alosza Awdiejew, *Polak z wyboru, czyli szczęśliwy Rosjanin nad Wisłą*, Znak 2019



Rewelacja.

„Choć ewidentnie zbliża się koniec sezonu, to »ilustrowany Kurier Codzienny« nadal namawia na wypoczynek. W gazecie z 25 sierpnia, na stronie drugiej, Rafał Malczewski w relacji z Zakopanego: »Gości huk, pogoda sprzyja, banknotów pod dostatkiem, bilonu też nie brakuje. Tatrzy, letnicy, rodzima załoga, wszyscy w świetnej formie. Nikt nie myśli o końcu podróży, ufamy wichrom, które nas poniosą«”.

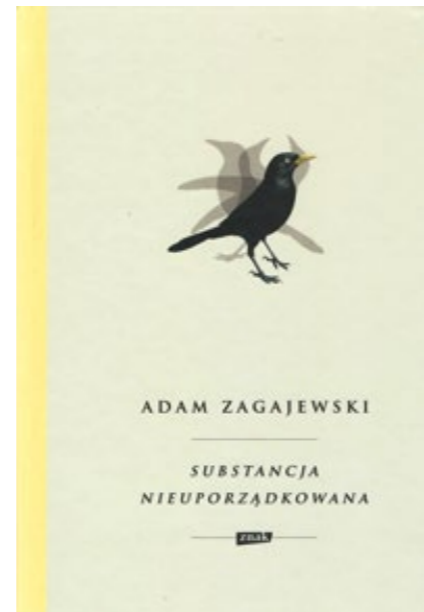
Collage. Patchwork. Mozaika. Losy ludzkie, miejsca i teksty, które dzieją się w ciągu kilku wakacyjnych miesięcy roku 1939. Dzieją się głównie w Polsce, choć jest i Gombrowicz na transatlantyku, i Berlin ponury, i Nowy Jork z wielką Wystawą Światową.

A lato było piękne tego roku... Marcin Wilk w reporterskiej opowieści zebrał historie świadków lata 1939 roku. Są ceny, przygody, miłości, podróże i wakacje. Opisując ostatnie przedwojenne lato autor zajrzał do Zakopanego, spędził trochę czasu w Gdyni, przyjrzał się Zaleszczykom, ale przede wszystkim zбочzył z popularnych tras turystycznych. I gdzie się dało – słucał relacji żyjących jeszcze świadków.

Czyta się jednym tchem, aż czasem tchu brak.

Szczerze zazdroszczę autorowi pomysłu i wykonania. (wb)

Marcin Wilk, *Pokój z widokiem. Lato 1939*, WAB, Warszawa 1939

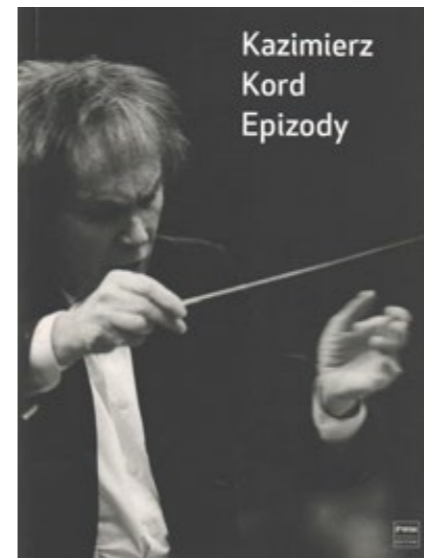


„Naszą uwagę pochłania najczęściej rozmowa o polityce i politykach, o zbliżających się wyborach – wybory mają to do siebie, że zawsze się zbliżają – o rządzie, o kłamstwie, o korupcji, o nowym kulcie jednostki, o głupocie, o populizmie. Jest to konwersacja pełna pasji, wyrastająca z naszych lęków i nadziei. Może jednak warto pamiętać, że w każdej zbiorowości, której nie zdominowali jeszcze analfabeci, toczy się także inna rozmowa, przyciągająca mniej uwagi, ale niekoniecznie mniej istotna: o Bogu, o sensie życia, o sztuce, o związku między nowoczesnością a tradycją, o śmierci”.

Podstawą do takiej właśnie rozmowy jest zbiór najnowszych esejów (i zapisów wykładów) Adama Zagajewskiego. Są tu uwagi o meandrach życia w wolności (nie tylko rozumianej politycznie, ale i egzystencjalnie – Autor dowodzi choćby, że znakiem bycia wolnym jest goszczący na twarzy uśmiech). I laudacja na cześć prawa jako gwaranta wolności. Jest o zanikającej sztuce pisanja listów (na przykładzie korespondencji Czapskiego i Heringa). O literaturze (m.in. o Hartwig i Miłoszu), plastyce (m.in. o rysunkach Herberta i malarstwie WALTOSIA), muzyce (Mahlerze i Panufniku – także w kontekście politycznym).

Co ważne, lektura *Substancji nieuporządkowanej* to obcowanie z erudycyjną, a więc często nieoczywistą refleksją, ale także z piękną polszczyzną. Nie darmo Autor jest poetą. kb

Adam Zagajewski, *Substancja nieuporządkowana*, Znak, Kraków 2019



Historia bez precedensu... Trzydziestoletni dyrygent z minimalnym dorobkiem zostaje dyrektorem Miejskiego Teatru Muzycznego w Krakowie. Inna rzecz, że w 1962 roku władze miasta niewiele ryzykowały. To była ostatnia próba ratowania krakowskiej opery. Jeśli eksperyment by się nie powiódł, scena miała zostać zlikwidowana. A Kazimierz Kord zaczął pracę od wystawienia (*nomen omen*) *Don Kichota* w inscenizacji Tadeusza Kantora. Polski świat muzyczny oszalał. Tak zaczęła się wielka kariera dyrygentka, która poprowadziła młodego dyrygenta na największe sceny operowe z nowojorską Metropolitan na czele i na najbardziej prestiżowe estrady koncertowe.

Jak to się stało, przeczytać można we wspomnieniach światowej sławy artysty. Ale *Epizody* to nie tylko opowieść o życiu muzyką i w muzyce. To także nakreślona przystępnym nawet dla laika językiem analiza pracy dyrygenta i próby znalezienia odpowiedzi na pytanie, co stanowi o jakości, o artyzmie wykonania. To opowieści o sławnych dyrygentach, solistach i reżyserach, których podziwiał, od których się uczył i z którymi pracował. Kord nie unika anegdot, ale przede wszystkim analizuje ich sztukę. Bo jego artystyczna droga to uporczywe dążenie do ideału. aw

Kazimierz Kord, *Epizody*, PWM, Kraków, 2019



Już tytuł tej małej (172 strony!) książeczki brzmi niekonwencjonalnie: *Myśmy się uodpornili – rozmowy o dojrzałości*. Uodpornienie jako dojrzałość? Uodpornienie, a może znieczulenie? „Żeby nie bolało”? Autorów jest dwóch, jak przystało na rozmowę: Jerzy Stuhr i ks. Andrzej Luter. Zaskakujące połączenie. Kto to Jerzy Stuhr – wiadomo. Mniej popularny jest drugi współautor, choć to też człowiek z tej samej branży, bo filmoznawca i krytyk, którego świetne recenzje czytaliśmy niejednym raz na różnych łamach, najczęściej w „Kinie”. Ale także myśliciel, po trosze filozof. I ksiądz. Fajny, myśliciel ksiądz.

Panowie rozmawiają. O wszystkim. Dojrzałość nie redukuje tematów. Ani się ich nie boi. Zresztą i założenie takie było... Książki narzucił je już na początku rozmowy: *O przemijaniu i cierpieniu, o pamięci, o wierze kruchej, bo cienka jest granica między wiarą i niewiarą, o sztuce, która nie pozwala zapomnieć o naszym człowieczeństwie*. Już nikt tak nie rozmawia. Bo wcale nie jest patetycznie, ale dogłębnie. I wyraźnie widać, że dojrzałość to dystans i tolerancja. I umiejętność definiowania tego, co przyszło nam przeżywać. Już nikt tak nawet nie chce rozmawiać. Mm

Jerzy Stuhr, ks. Andrzej Luter, *Myśmy się uodpornili, Rozmowy o dojrzałości*, Wydawnictwo Mando, Kraków 2019



Ekobiografia ukazuje życie w przyrodzie całkowicie zdominowanej przez człowieka. Można dowiedzieć się, jaki wpływ na historię miasta miało jego środowisko naturalne.

Mądrze to brzmi, a do czego się sprowadza? Autorzy poszczególnych rozdziałów proponują „inną” historię Krakowa, ukazując to miasto w związku ze światem przyrody. Mało kto wie, na przykład, że pierwsze obserwacje meteorologiczne prowadzone były już w początkach XVI wieku. Ścisły był związek mieszkańców miasta z Wisłą, która przynosiła liczne korzyści, ale i zagrożenie powodzią. W dawnym Krakowie żyły zwierzęta domowe i gospodarskie, bogata była flora. Można dowiedzieć się o klęskach żywiołowych i epidemiach, ale i o codzienności mieszkańców: pożywieniu, odwiecznych problemach z usuwaniem śmieci, zanieczyszczonym powietrzu, itp. Współczesne problemy ekologiczne Krakowa mają zatem wielowiekowy rodowód. Przeszłość łączy się ze współczesnością, a pośrodku znajduje się człowiek. Warto przyjrzeć się miastu z tak mało znanej strony. (ed)

Ekobiografia Krakowa, pod red. A. Izdebskiego i R. Szymtka, wyd. Znak, Kraków 2018

TEATR DLA
PRZYJEMNOŚCILETNI
FES
TI
WAL
KOMEDI
1.08-1.09REZERWACJA
TEL. 12 422 66 77
WWW.BAGATELA.PL
WWW.TEATR.PL

Ciżemka za Wyspiańskiego

Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Katarzyna Maziarz (autorka) i Małgorzata Zajac (ilustratorka) *Trochę bajki o Stanisławie Wyspiańskim* odebrały w Klubie Pod Gruszką Nagrodę Żółtej Ciżemki za najlepszą polską książkę dla dzieci i młodzieży wydaną w 2018 roku.



Laureatki Nagrody Żółtej Ciżemki 2018 Katarzyna Maziarz (z lewej) i Małgorzata Zajac

Trochę bajki to dziewięć opowiadań o eklektycznej strukturze, odsłaniających świat fascynacji miastem i jego codziennością, które dały skrzydła najbardziej oryginalnemu z krakowskich artystów – mówił o zwycięskiej książce Stanisław Dziedzic, dyrektor Biblioteki Kraków (z której inicjatywy wręczana jest nagroda) i przewodniczący Kapituły Żółtej Ciżemki.

Uzasadniając decyzję jury, dr hab. Katarzyna Wądołny-Tatar zauważyła, że „Katarzyna Maziarz stworzyła prywatny gatunek literacki: „Trochę bajki to opowieści z pogranicza biografii i fantastyki. (...) Elementy fantastyczne zwalniają autorkę z konieczności precyzowania biografii. Biografia zaś nie posiada luk, jeśli w literaturze dla najmłodszych dopuszcza wyobraźnię. Życie i dzieło wybitnego artysty są opowiedane przez osoby, przedmioty i zjawiska, z którymi Wyspiański miał styczność w poszczególnych latach i okresach. (...) Na uprzywilejowanej pozycji jest księżyc, wydobywający także swoim światłem detale przestrzeni. Autorka *Trochę bajek* (...) z zacięciem etnografa wyjaśnia pochodzenie i użyteczność dawnych przedmiotów, społecznych funkcji osób, etymologię nazw”.

Nagrada Żółtej Ciżemki ma honorować „najpiękniejsze i najbardziej wartościowe polskie wydawnictwa skierowane do młodszych czytelników”. Chodzi o wyróżnianie „tych rodzimych autorów, ilustratorów, grafików, dzięki którym literatura może wciąż silnie oddziaływać na wszechstronny rozwój dzieci i młodzieży, a przy tym przynosić im intelektualną, emocjonalną i estetyczną przyjemność z obcowania ze światem dobrej książki”.



Pierwszy raz Żółta Ciżemka przyznana została w 2017 roku w setną rocznicę śmierci Antoniny Domańskiej, autorki powieści i opowiadań dla dzieci i młodzieży (oraz pierwowzoru radczyni z *Wesela* Wyspiańskiego). To jej powieść *Historia żółtej ciżemki* stała się inspiracją do ustanowienia nagrody.

Z rąk wiceprezydenta Krakowa Andrzeja Kuliga laureatki odebrały statuetki wykonane przez prof. Krzysztofa Nitscha oraz 25 tys. zł przekazane przez prezydenta miasta prof. Jacka Majchrowskiego.

(pk/kb)

Kraków

• co
• dzień
• nie
koncerty

Summer
Jazz
Festival
Kraków

28 CZERWCA - 28 LIPCA

28.06 Nigel Kennedy
& Mike Stern

09.07 Bill Evans
& The Spy Killers

Terence Blanchard
feat. The E-Collective

Laboratorium
& guests

EGM Trio • Peter Erskine
• Eddie Gomez • Dado Moroni

17.07

27.07

28.07

www.
cracjazz.
com

07.07 | NIEDZIELA NOWOORLEAŃSKA

12.00 - 16.00 | Koncerty w kawiarniach na Rynku Głównym i przed Galerią Krakowską
Jazz Band Ball Orchestra, Boba Jazz Band, Old Metropolitan Band, Swing & Sway, Hot Swing

17.00 | Parada Nowoorleańska

18.00 | Koncert na Rynku Głównym
Wayne Ellington, Jan Ptaszyn Wróblewski, Wojciech Karolak, Przemek Dyakowski, JBBO

21.00 | PIWNICA POD BARANAMI

01.07 | Włodzimierz Nahorny Trio
02.07 | Mike Stern & Leni Stern Band (USA)
03.07 | Adam Bałdych & Krzysztof Dys
04.07 | Adam Bałdych Quartet
05.07 | Friends – Baron/Napiórkowski/Karolak/Dębski/Czerwiński
06.07 | Wojciech Karolak Trio
07.07 | Old Metropolitan Band
08.07 | Jan Ptaszyn Wróblewski Quartet
09.07 | Legends at Piwnica – Ptaszyn & Karolak Band
10.07 | Bernard Maseli Trio
11.07 | Atom String Quartet
12.07 | Rosario Giuliani Quartet (Włochy)
13.07 | Noc Jazzu – Sophia Grand Club
14.07 | Simsa Fünf (Austria)
15.07 | Krzesimir Dębski Groove Oberek
16.07 | Lora Szafran & Wojciech Gogolewski
17.07 | Szymon Mika Trio
18.07 | Marek Napiórkowski Band
19.07 | Dorota Miśkiewicz/Marek Napiórkowski
20.07 | Electric Shepard, Marek Strykowski & Co
21.07 | Sendecki & Spiegel (Niemcy)
22.07 | JBBO + Stanley Breckenridge (USA)
23.07 | Boba Jazz Band
24.07 | Krzysztof Ścierański Solo
25.07 | Grażyna Auguścik & Paulinho Garcia (Brazylia)
26.07 | Aga Zaryan & Szymon Mika

6/13/20/27/07.07 | 24.00 | Sasha Midnight Show – Tribute To Jurek Bożyk. Nocne recitale pianisty i wokalisty Andrijewskiego w Piwnicy Pod Baranami.

W ramach festiwalu: Wystawa fotografii jazzowych Łukasza Filaka w Piwnicy Pod Baranami (01.-28.07)

21.00 | PIEC ART

01.07 | Bartosz Noszka Quartet
02.07 | Mateusz Gawęda Trio
03.07 | Mateusz Pałka Trio
04.07 | Mateusz Sobiechowski „Vital Music”
05.07 | Roberto Magris
06.07 | Bogdan Hołownia
07.07 | Paweł Kaczmarczyk
08.07 | Kuba Płużek
09.07 | Dominik Wania
10.07 | Piotr Orzechowski

20.00 | KLUB ALCHEMIA

10.07 | Mikołaj Trzaska Trio
24.07 | Komeda Ahead – Oleś Brothers & Christopher Dell

KONCERTY RADIOWE

Studio S5 Radio Kraków

01.07 | 19.00 | Mark Feldman, Mario Forte, Mateusz Smoczyński

KONCERTY SPECJALNE

Gwiazdy festiwalu

11 | Auditorium Maximum
12 | Muzeum Manggha
13 | Działalność Pałacu pod Baranami

28.06 | 11 | Nigel Kennedy & Mike Stern
09.07 | 12 | Bill Evans and the Spy Killers
17.07 | 12 | Terence Blanchard feat. The E-Collective
27.07 | 13 | Koncert Finałowy: Laboratorium & Guests
28.07 | 12 | EGM Trio – Peter Erskine/ Eddie Gomez Dado Moroni Trio

21.30 | KLUB U MUNIAKA

07.07 | Roberto Magris – Przemek Dyakowski Band „Tribute to Jusz Muniak”

04.07-10.07 | SOLO PIANO WEEK

20.00 Aula Akademii Muzycznej w Krakowie

04.07 | Mateusz Pałka, Vladislav Sendecki.
6 recitali fortepianowych w klubie Piec Art (5-10.07)

21.30 | HARRIS PIANO JAZZ BAR

01.07 | Mike Stern & Leni Stern Band (USA)
02.07 | Mariusz Bogdanowicz Quintet
03.07 | Adam Kawończyk Quartet & Jam Session
04.07 | Eskaubei & Tomasz Nowak Quartet
05.07 | Michael Parker Trio (USA)
06.07 | Roberto Magris Trio (Włochy)
07.07 | Wayne Ellington Show (UK)
08.07 | Jam session
09.07 | Adam Czerwiński Trio
10.07 | Sophie Grand Club
11.07 | Keith Thompson Trio (UK)
12.07 | Maria Toro Quartet (Hiszpania)
13.07 | New Bone
14.07 | AMC Trio (Słowacja)
15.07 | Jam session
16.07 | KaroliNa & Piotr Wyleżół „Tribute to Michel Legrand”
17.07 | Tomasz „Kciuk” Jaworski Trio
18.07 | Leszek Kułakowski – Love Songs Book
19.07 | Piotr Wyleżół Trio
20.07 | Wojtek Justyna International
21.07 | Tercet Kamili Drabek
22.07 | Joachim Mencil Artisen
23.07 | Jam session
24.07 | Kajetan Galas & Małgorzata Zuber Quartet
25.07 | Krzysztof Ścierański Band
26.07 | Marian Pawlik Quartet
27.07 | Gabriel Niedziela Project
28.07 | Katarzyna Pietrzko Trio

JAZZOWA VESPA MODY W BONARCE

06.07 | Frank e la Famiglia Jazz Band
13.07 | Hot & Swing
20.07 | Old Metropolitan Band

■ Kraj nie taki piękny

Za nami 59. Krakowski Festiwal Filmowy – najstarsza i najbardziej prestiżowa (zwłaszcza w kategorii filmów dokumentalnych) krakowska impreza poświęcona kinematografii. Główną nagrodę Złotego Lajkonika odebrał w tym roku Grzegorz Paprzycki, reżyser dokumentu *Mój kraj taki piękny*. Dokument zderza ze sobą ustawki organizowane przez Obóz Narodowo-Radykalny z wystąpieniami organizacji antyfaszystowskich. – Mam nadzieję, że ten film skłania do refleksji, w jakiej sytuacji społecznej znajduje się nasze podwórko, ale też reszta świata. Wiele państw skręca dziś za mocno w prawo. Oby nie skręcało jeszcze mocniej, wiemy przecież, jak to się skończyło w przeszłości – mówił o filmie Maciej Karpiński, przewodniczący jury.

Obok *Mojego kraju...* najwyższe wyróżnienia otrzymały także *Portret Suzanne Izabeli Płocińskiej* – w kategorii „Najlepszy film krótkometrażowy”, *Adwokatka* Rachel Leah Jones – w konkursie międzynarodowych filmów dokumentalnych, i *Była sobie Aurora* Stiana Serwossa i Benjamina Langelanda jako najlepszy dokument muzyczny.

■ Powrót Smoka na Wawel

Teatr im. J. Słowackiego zakończył sezon na Działalności Arkadowym zamku wawelskiego, wracając do mitycznych korzeni miasta, czyli legendy o smoku. Choć akcja sztuki dzieje się w odległej przeszłości, to poruszone w niej problemy są jak najbardziej dzisiejsze.

W ujęciu Jakuba Roszkowskiego, reżysera *Smoka*, pojawienie się w Krakowie bestii to protest natury przeciwko zagrabięciu przyrody przez ludzi. – Sięgamy do najstarszych przekazów, próbując je połączyć z tym, co najnowsze. Staramy się myśleć o smoku jako o sile przyrody, która została wywołana przez ludzi. Dzisiejszym smokiem mogą być powodzie, tsunami czy trzęsienia ziemi. Przyroda mówi: „nie!” naszym niszczycielskim działaniom – tłumaczył swój pomysł Roszkowski.

Poradzić sobie ze smokiem nie mogą dzielni wojowie z całego kraju, ale udaje się to ostatecznie Wandzie, córce Kraka. To kolejny ułkon Roszkowskiego z wstrząsającą współczesnością – protest przeciwko zawłaszczeniu przestrzeni publicznej przez mężczyzn.

Spektakl został zagrany dwukrotnie na Wawelu, a od października wystawiany

będzie na deskach Dużej Sceny Teatru im. J. Słowackiego.

■ Festiwale w tarapatkach

Zbiórki crowdfundingowe – w taki sposób radzić sobie muszą krakowski Festiwal Conrada oraz gorlicki Festiwal im. Zygmunta Haupta. W obu przypadkach powód jest ten sam – Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego uznało, że nie są to imprezy godne państwowego dofinansowania. Organizatorzy nie ustają jednak w wysiłkach, aby móc przeprowadzić przedsięwzięcia z takim rozmachem jak w poprzednich latach. Ogłaszają w tym celu zbiórki internetowe. „Pomóż nam zorganizować święto literatury, które w kameralnej atmosferze i na tle pięknego krajobrazu Beskidu Niskiego otwiera przestrzeń do spotkania z ważnymi autorami, pisarkami, poetami, intelektualistkami i krytykami” – zachęca do wspierania gorlickiego festiwalu Andrzej Stasiuk, pisarz i *spiritus movens* Festiwalu Haupta. W kontekście polityki ministerstwa znamienne jest i to, że Festiwal Conrada został właśnie doceniony przez Europejskie Stowarzyszenie Festiwali (EFFE) w plebiscycie EFFE Laureate, rokrocznie wyróżniającym 24 najlepsze festiwale kulturalne Europy.

■ Hołd niezrozumianym

Dokładnie pół wieku temu zmarło dwóch gigantów: Krzysztof Komeda, jeden z ojców polskiego jazzu, i Marek Hłasko, pisarz, który współbudował polską wyobraźnię literacką i obyczajową lat 50. i 60. XX stulecia. Choć tworzyli w różnych dyscyplinach, to los połączył ich na emigracji w Los Angeles.

W rocznicowym widowisku ze sceny Teatru Odwróconego popłynęła suita oparta na mniej znanych utworach Komedy, przerywana przez melorecytacje fragmentów prozy Hłaski, nastawionych na potęgowanie lęku, niepewności i rezygnacji – uczuć, które stanowiły ważny wątek twórczości każdego z nich.

– Obydwu artystów postrzega się w kulturze popularnej przez pryzmat jedynie ich najpopularniejszych dzieł. Przekonani o dogłębnym niesprawiedliwości takiego stanu rzeczy, pragniemy odmienić stereotypowy odbiór ich muzycznej i literackiej sztuki – przekonywał na wstępie Szymon Wójciński, który razem z Jakubem Bańurem, Jakubem Gucikiem i Andrzejem Rozmusem przygotował widowisko. (pk)

bilety: eventim.pl, ticketmaster.pl, InfoKrakow, ul. Św. Jana 2, biuro festiwalu: ul. Karmelicka 52/1 tel. 12 633-28-39 (-10%)

organizator



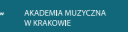
mecenas



patroni medialni



partnerzy



List do redakcji

Witam Szanowną Redakcję!

Jestem Waszą prenumeratorką od lat. Mieszkałam w Krakowie do 1977 roku, studiowałam na Akademii Sztuk Pięknych. Lecz potem wyjechałam do Szwecji. Z pobytu wakacyjnego zrobił się, jak widać, dłuższy pobyt...

Kiedy jako studentka dorabiałam na stacji benzynowej w Bronowicach na końcu ulicy 18 stycznia (wtedy jeszcze) fiałem koloru zielonego zjechał pan, z którym nawiązałam rozmowę. Opowiadałam o mojej uczelni, o sztuce. Przedstawiliśmy się sobie. Ja nazywałam się wtedy Kasia Łuczyńska. A ten pan to był Marian Eile! I zaczęła się wieloletnia znajomość. Najpierw ze mną, a potem z moimi

rodzicami już po moim wyjeździe do Szwecji.

Miałam szczęście i wyróżnienie rysować do tygodnika „Szpilki” śmieszne rysunki na ostatnią stronę „Franciszek i inni”. Zdjęcia robiła Ania Arvay albo Boguś Opióła. Dużo można by opowiadać.

Chciałabym Waszej redakcji poddać pomysł, aby napisać kilka słów o Marianie Eile. Moja mama nadal mieszka w Krakowie i dużo pamięta, odsyłam więc do niej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ma nawet kilka obrazków Mariana, które dostali rodzice w prezencie. Marian zmarł 2 grudnia 1984 roku... Może warto Go przypomnieć?

Pozdrawiam wierna jak pies Fafik
Kasia Hård

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pięszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmie, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W następnym numerze:



Kryminał Wielkiego Kalibru 2019

Zdjęcie: Max Pfliegel

Szesnasta edycja Międzynarodowego Festiwalu Kryminału Wrocław 2019 przyniosła honory dla siedmiu mistrzów tego tyleż cenionego i trudnego, co popularnego gatunku.

Nagrodę Wielkiego Kalibru (i 25 tys. zł) zdobył Robert Małecki za powieść *Skaza*. Jak zdradził przewodniczący jury prof. Zbigniew Mikołajko, kapituła doceniła, prócz precyzyjnej konstrukcji narracji, także to, że bohaterem akcji jest małe miasto i jego społeczność, a zasadniczym problemem – fatum niezawinionej winy, czyli właśnie tytułowa skaza.

Nagrodę Wielkiego Kalibru za całokształt twórczości otrzymał Bernard Minier. Francuski pisarz wyznał, że czuje się zaszczycony, trafiając do grona pisarzy, których sam podziwia: Henninga Mankella czy Jo Nesbø.

Nagroda Czytelników trafiła do Wojciecha Chmielarza za *Żmijowisko*.

Aby uczcić pamięć Janiny Paradowskiej, Fundacja Świat ma Sens przyznała Nagrodę Specjalną imienia tej wieloletniej przewodniczącej Kapituły Wielkiego Kalibru. Laurem nagrody Janiny Paradowskiej uhonorowano Igora Brejdyganta za powieść *Rysa*. Prof. Małgorzata Omilanowska w imieniu jury uzasadniła wybór tym, że autor stworzył przekonującą postać kobiecą, a nadto książka cechuje się nadzwyczajną konsekwencją i spójnością.

Miasto Wrocław ufundowało nagrody dla uczestników Kryminalnych Warsztatów Literackich – w jedenastym już konkursie „na opowiadanie kryminalne z Wrocławiem w tle”



Jak przeczytać Rusinka i nie zwariować

Grzech sprayowy

Kantor okiem Buscarino

Mozaika pamięci 1939 roku

zwyciężyły Anna Bernaczyk, Anna Kowalska i Katarzyna Zielińska.

Prezydent Wrocławia Jacek Sutryk docenił zaś szczególnie twórców imprezy, czyli Ewę Mańkowską-Grin i Irka Grinia, przyznając, że to przede wszystkim dzięki nim jego miasto stało się polską stolicą kryminału.

PS Wypada dodać, że w Kapitułę Nagrody Wielkiego Kalibru zasiada Witold Beres, miesięcznik „Kraków” był patronem festiwalu, a roczna prenumerata pisma (ufundowana przez Fundację Świat Ma Sens) znalazła się – razem z prenumeratą „Polityki” – w pakiecie nagród dodatkowych dla zwycięzców.

(kb)

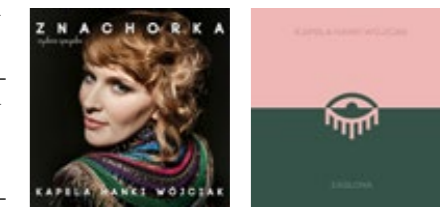
Drodzy Czytelnicy!

Czytasz „Kraków” regularnie? Chcesz być na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje w redakcji? Polub nas na Facebooku: tam znajdziesz zawsze najświeższe informacje o zbliżających się numerach, wydarzeniach, a także... konkursy z nagrodami! Dla fanów muzyki będziemy mieli bilety na wydanie jednego z rekomendowanych

w numerze festiwalu oraz płyty bohaterki numeru Hanki Wójciak – *Znachorkę* oraz *Zasłonę*, oczywiście podpisane przez artystkę.

Płyty możecie zdobyć też w inny sposób: wystarczy przysłać na adres redakcja@biblioteka.krakow.pl wiadomość, w której wymienicie trzy przymiotniki najtrafniej – Waszym zdaniem – opisujące Kraków. Jeżeli interesuje was konkretny tytuł, za-

znacznie to! CD powędrują do pierwszych czterech osób, które wyślą takiego maila.



*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Zapomniana synagoga

Jak się okazuje, czasami łatwiej przetrwać dwie wojny światowe niż starcie z przepisami administracyjnymi. Licząca przeszło 100 lat synagoga Żydów ortodoksyjnych z Nowego Targu została zrównana z ziemią na wniosek prywatnego inwestora. Stało się tak, ponieważ... zapomniano wpisać ją do rejestru zabytków.

Co prawda budynek od dawna nie pełnił funkcji religijnych – po II wojnie światowej mieścił się w niej warsztat ślusarski, a kiedy w latach 90. ubiegłego wieku budynek odzyskała gmina żydowska, natychmiast go sprzedała, jako że nie miała dość pieniędzy, aby go utrzymać i wyremontować. Niezależnie jednak od perypetii właścicielskich, gmach charakteryzował się nietypową konstrukcją i zasługiwał na utrzymanie.

Trwa przerzucanie się odpowiedzialnością – wpisu do rejestru zabytków mógł dokonać dowolny organ gminy, województwa, wojewódzki konserwator zabytków albo sam minister kultury. Na koniec nie ma to jednak znaczenia, bo po synagodze pozostało wspomnienie.

Śniadanie z małpką

Śniadanie dyrektora – pod taką nazwą ukazało się najnowsze danie krakowskiej restauracji Pastrami Deli. Śniadanie to w rzeczywistości zwykła owsianka na mleku, tyle że z orzechami, świeżymi owocami i... prądem. Lokal do owsianki dolewa 50 ml whisky. Jak informują autorzy dania, taka owsianka to spełnienie ich kulinarnych marzeń. Cała historia pozostałaby prawdopodobnie niezauważona, gdyby nie sposób, w jaki lokal postanowił wypromować danie.

„Niedawno nasz piękny kraj obiegła wiadomość, że 3 mln Polaków kupuje małpkę przed robotą (przed południem). Nie zatrzymuj się w tym tygodniu przed robotą w »Żabce« po swoją małpkę. Zatrzymaj się przy Grzegorzeckiej 21 na »Śniadanie dyrektora«, aby lepiej stawić czoło zawodowym wyzwaniom” – czytamy w komunikacie na Facebooku. Na restaurację posypały się gromy m.in. za drwienie z alkoholizmu i robienie reklamy z narodowej tragedii.

Przywołały słowa naszego autora Jerzego Pilcha: „Lepiej być znanym pijakiem niż anonimowym alkoholiczkiem”.

Uber na zielono

Utrapienie taksówkarzy, miłość fanów tanich przejazdów, czyli amerykańska firma Uber do 2022 roku chce wymienić całą swoją flotę w Wielkiej Brytanii na samochody elektryczne i hybrydowe. O ile na polskim rynku przewoźnik nie zakłada tak ambitnego planu (rynek samochodów elektrycznych jest w Polsce zwyczajnie za mały), to właśnie uczynił pierwszy krok w tym samym kierunku. W Krakowie uruchomiona została pilotażowo usługa Uber Green, dzięki której w aplikacji zamówić będzie można samochód elektryczny. Kraków jako pierwsze miasto w Polsce dołączył tym samym do miejsc, gdzie można

skorzystać z zielonych przejazdów. Dostępne są one w tej chwili m.in. w Lizbonie, Monachium, Londynie, Paryżu, Kijowie czy Bukareszcie.

Usługa wprowadzona została na próbny okres trzech miesięcy – przewoźnik bada, jakie będzie zainteresowanie i czy dysponuje dostatecznie rozbudowaną flotą. Dlaczego Kraków? – Kraków jest miastem szczególnym, jeżeli chodzi o walkę ze smogiem. To tu zaczęła się antysmogowa rewolucja – przekonuje Piotr Woźny, pełnomocnik rządu ds. programu Czyste Powietrze. Jeżeli inicjatywa okaże się sukcesem, usługa zawita także do innych miast w Polsce.

Pierwsza szóstka

Lista instytucji czy wydarzeń, o których Kraków może powiedzieć: „byliśmy pierwsi w Polsce”, jest długa. Od rzeczy wzniosłych, jak pierwszy uniwersytet, po małe, jak pierwszy automat do skupu butelek plastikowych. Teraz Kraków może pochwalić się także pierwszymi narodzinami sześcioraczków. Tymon i Filip, Nela, Kaja, Zosia i Malwina – bo takie imiona rodzice nadali nowo narodzonemu – przyszły na świat w krakowskim Szpitalu Uniwersyteckim.

Jeżeli wierzyć statystykom, rodziny sześcioraczków zdarzają się raz na 4,7 miliarda ciąż, a dodatek dość rzadko udaje się taką ciążę doprowadzić do szczęśliwego finału. Dlatego maluchy przyszły na świat w 29. tygodniu ciąży, a matka trafiła do szpitala pod stałą opiekę lekarzy już miesiąc przed porodem. Teraz nad każdym dzieckiem czuwa trzyosobowa ekipa lekarska, a maluchy pozostaną w szpitalu przynajmniej do końca lipca.

Ze wszystkich stron posypały się gratulacje. Jako pierwsi odezwali się piłkarze Cracovii, ofiarując szóstce dożywotnie karnety na mecze drużyny. Jedno z prywatnych krakowskich przedszkoli przekazało rodzicom foteliki samochodowe, w kolejnych deklaracjach prześcigały się apteki internetowe, firmy meblarskie, producenci wanierek, bucików, butelek... Jak się jednak okazało, w wielu wypadkach na obietnicach się skończyło. Sami rodzice dziękują za dary, apelując jednocześnie o niewpłacanie pieniędzy. Nam więc pozostaje tylko przekazać gratulacje!



Rys. Piotr Blachut

Dalekowschodni trzonowiec

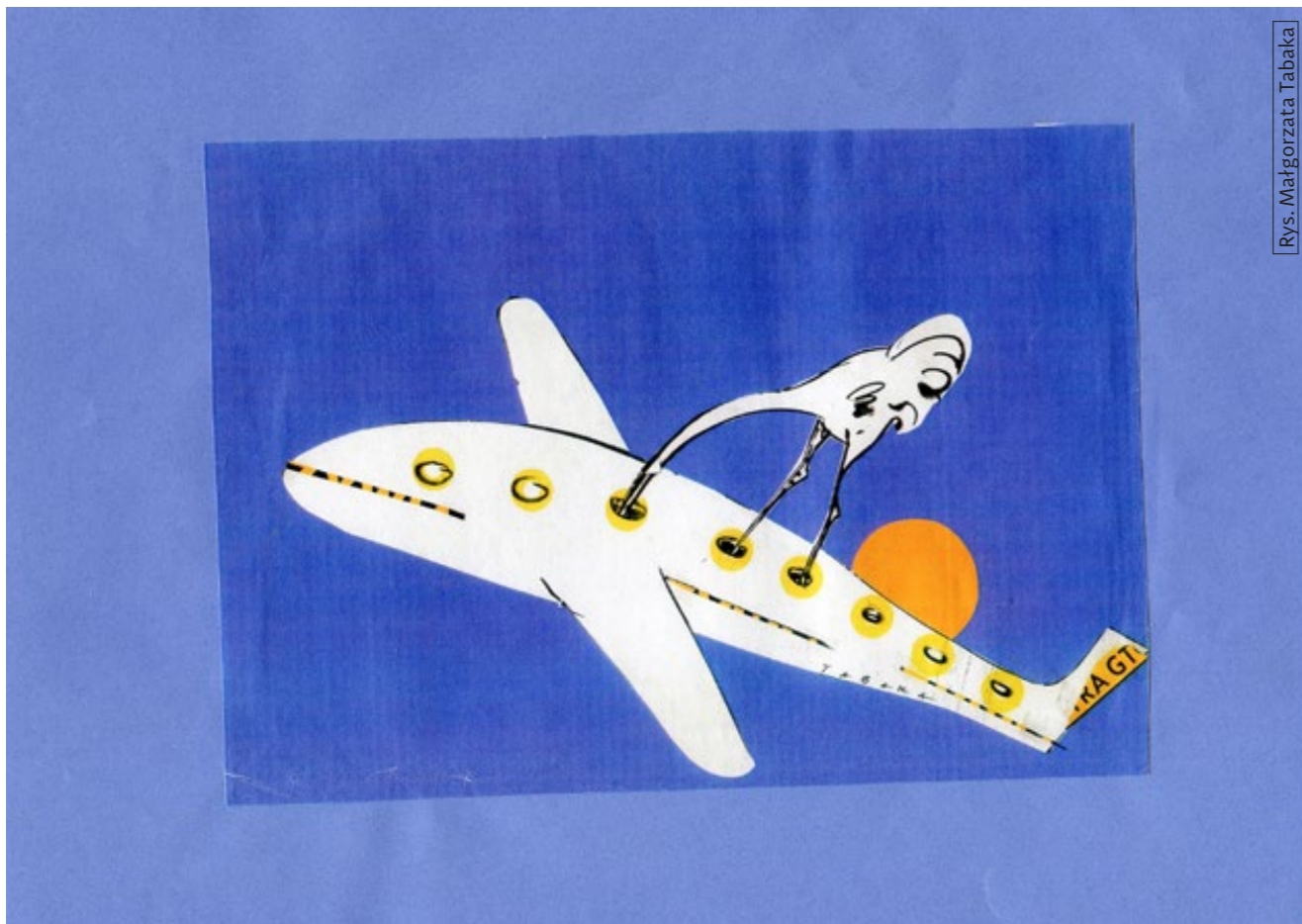
Gigantyczny ząb – jakieś 120 cm wysokości i niecałe 90 cm szerokości – wniesiony został na Giewont przez... grupę Azjatów. Świadcami takiego widowiska byli turyści, którzy pewnego piątkowego popołudnia postanowili wybrać się na jeden z najpopularniejszych tatrzańskich szczytów. Nie obyło się oczywiście bez pytań. Niestrudzeni Azjaci w trakcie swojej podróży dziesiątki

razy usłyszeli ze strony zdumionych turystów krótkie „po co?”. Pytanie to zbywali wytłumaczeniem, że realizują projekt naukowy.

Dopiero po pewnym czasie okazało się, że za pomysłem stała artystka Makiko Yamamoto. Japonka przyjechała do Polski na wystawę *Celebration* poświęconą stuleciu relacji polsko-japońskich. Sam zaś *performance* miał nawiązywać do

japońskich legend – m.in. do giganta Dadaboshi, który według podań miał własnoręcznie usypać górę Fuji. Artystka od kilku lat zajmuje się ludowymi podaniami związanymi z krajobrazem naturalnym, próbując zwrócić uwagę na postępującą zmianę klimatyczną.

Zagadką pozostaje, czego japoński olbrzym miałby szukać na Giewoncie.





Piotr Błachut, *Guliwerzyca*, rysunek

Klub przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
 Piotr Maciukiewicz, Kraków
 Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
 Grzegorz Szymański, Warszawa
 Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
 Aleksander Skotnicki, Kraków
 Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
 Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
 Andrzej X., Kraków
 Stanisław Dudzik, Kraków

Adam Michnik, Warszawa
 Marek Borkowski, Kraków
 Janusz Szerla, Kraków
 Grzegorz Kogut, Kraków
 Robert Barański, Kraków
 Józef Palinka, Warszawa
 Krzysztof Kołtun, Chełm
 Marek Braun, Kraków
 Krystyna Zachwatowicz, Kraków
 Wanda Chmielowska, Kraków
 Aleksander Herzog, Warszawa
 Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
 Jacek Purchla, Kraków
 Gwidon Dziwoki, Kraków

Artur Wolski, Warszawa
 Kazimierz Sumera, Zawoja
 Lidia Hanusiak, Kraków
 Andrzej Gaworski, Warszawa
 Tomasz Janowski, Kraków
 Józef Opalski, Kraków
 Halina i Leszek Domańscy, Kraków
 Katarzyna Janowska, Warszawa
 Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
 Stanisław Bisztyga, Kraków;
 Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;
 Krzysztof Bień, Kraków
 Teresa Bergier, Kraków
 Antoni Legeżyński, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
 pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
 31-154 Kraków
 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
 tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
 – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
 Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Dwa pokoje, dwa telewizory

Tekst: Jerzy Pilch

Dziewiętnastego maja koło piętnastej w naszym domu napięcie było już wyczuwalne, do końca sezonu 18/19 brakowało kilku godzin.

Siedziałem przed telewizorem i czułem, że Legia przegląda się w lustrze z pucharem w dłoni. Pomysł obejrzenia „Multiligi” odpadł od razu, tak jak od kilkunastu lat od razu odpada. Duży pokój i większy telewizor zajęłem ja i mecz Cracovii. Mały pokój i mniejszy telewizor zajęła entuzjastka Korony i mecz Piasta. Drzwi otwarte, komunikacja zapewniona.

Garbaty rachunek prawdopodobieństwa nie pozwalał przypuszczać, że Piast – cichy zabójca chwytający za gardło swoich rywali – w przedostatniej kolejce zostanie *number one* i tym *number one* do końca pozostanie. Historia tego zwycięstwa jest romantyczna jak historia Tristana i Izoldy – trubadurzy długo głośić będą legendę Mistrza Piasta Fornalika, klubu z dziesięć razy biedniejszego od Legii, klubu, który nieomal spadł z Ekstraklasy w zeszłym sezonie. Ekspresowe zmarł twychwstanie?

Powiedzieć, że obejrzelśmy niemal wszystkie odcinki Turbokozaka, to nic nie powiedzieć. W jednym z nich smutny wyrzutek z Łazienkowskiej – Jodłowiec opowiadał o planach odbudowy swojej formy w Gliwicach i powrotu z wypożyczenia. Rok później Jodłowiec strzela wielkiej urody bombę, zabijając tym samym ostatni nit na tamie oddzielającej Legię od wielkiej imprezy z konfetti i szampanem. Ile w tym uderzeniu było determinacji, hardości sportowej, a ile chęci rozkosznego przypierdolenia tym, co go nie chcieli, wie tylko on sam. Tak czy tak trzeba przyznać – to była jedna z najlepszych bramek tego sezonu.

Utrzymywana przez większość roku pokerowa mina Waldemara Fornalika zniknęła, wybuch radości po meczu z Jagiellonią spowodował u trenera uraz nogi – szczęście prawdziwe, a i bolesne, rozerwany mięsień to nie byle co. Po zdobyciu pucharu było już tyl-

ko lepiej, trener porządnie zlany piwem przez swoją drużynę śpiewał *We are the champions...* Co jeszcze może chwytac za serce w Piaście? Badía – Hiszpan, który opanował język polski

Cracovia swój ostatni mecz w lidze przegrała, a i tak zaszczytne czwarte miejsce obronione. Z ewentualnych pucharowych tryumfów nie wyciągnąłbym za daleko idących wniosków. Co będzie, to będzie.

niemal do perfekcji i którego kochają trybuny. Oczywiście zdrowy rozsądek podpowiada – ten czar może prysnąć, kiedy drużyna rozpadnie się na drobne kawałki jak Górnik Zabrze, i do walki w europejskich pucharach Piastowi zabraknie nóg. Siła gliwiczian może imponować, aczkolwiek jest trochę jednorazowa, Piast od wielu sezonów pokazuje od czasu do czasu mistrzowskie ambicje, o mistrzostwo otarł się parę lat temu. To wszystko są wady swych zalet i zalety swych wad.

Cracovia swój ostatni mecz przegrała z Pogonią 0 do 3, a i tak zaszczytne czwarte miejsce obronione. Z ewentualnych pucharowych tryumfów nie wyciągnąłbym za daleko idących wniosków. Co będzie, to będzie. Raczej tak, jak w meczu z Pogonią. Średnio.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.



Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

AZIZA BRAHIM / SAHARA ZACHODNIA

BEL AIR DE FORRÓ / BRAZYLIA

TUULETAR / FINLANDIA

FÉLIX LAJKÓ TRIO / WĘGRY

KUKURBA-SŁOWIŃSKI PROJECT / POLSKA

TAMARA OBROVAC TRANSHISTRIA ENSEMBLE
CHORWACJA / WŁOCHY / SŁOWENIA

JOACHIM MENCEL QUINTET / ARTISENA / POLSKA

ART COLOR BALLET / BURSZTYNOWE DRZEWO / POLSKA

MESZECSINKA / WĘGRY **TRIMAGINE** / POLSKA

VIRTUALNAJA DEREVNIA / ROSJA / UKRAINA

SVETLANA SPAJIC GROUP / SERBIA

SZÉPSZERÉVEL / WĘGRY

MUZIČKA & DRAGUNI / SŁOWACJA

SWADA / RARASZEK / POKRZYK / POLSKA

LASSATIL ABBALLARI / WŁOCHY

TERESA MIRGA & KAŁE BAŁA / POLSKA

LOOGAROO / BELGIA **MR. FOLXLIDE** / CZECHY

CZEREMSZYNA-HORYNA-TODAR
POLSKA / UKRAINA / BIAŁORUŚ

BARTŁOMIEJ KOSZAREK & KAPELA BUKOWIANIE / POLSKA

MANCHESTER INSPIRATIONAL VOICES / WIELKA BRYTANIA



etnokraków

rozstaje

2 — 7.07.2019



organizatorzy:



www.etnokrakow.pl

wsparcie finansowe:



Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach programu „Kultura – Interwencje 2019”



Projekt realizowany przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego

